



*On przynależy do nieba.
Ona została obiecana piekłu.*

SERCE OGNIA

MEREDITH WILD,
& ANGEL PAYNE

PRZEKŁĘCI. TOM 2



MEREDITH WILD
& ANGEL PAYNE

SERCE OGNIA

PRZEKŁĘCI. TOM 2

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska



Aedanowi, mojemu mańkiemu ognikowi
– Meredith

* * *

Thomasowi,
świadkowi wszystkich moich
płomiennych wybuchów,
któremu żaden ogień niestraszny.
– Angel

*Podobnie we mnie otucha wystrzeli,
A serce taka umocni odwaga,
Że wołam jako człek, co się ośmieli [...].*

– Dante Alighieri, *Boska komedia, Raj*, pieśń II
(tłum. Edward Porębowicz)

Rozdział 1

Maximus

„Oto początek nowego życia”.

Mój ochrypliły szept ginie w absolutnej ciszy panującej w sypialni Kary. Od dwudziestu czterech godzin ten pokój jest naszym rajem na ziemi.

Po wczorajszej niezapowiedzianej wizycie człowieka twierdzącego, że jest moim zaginionym ojcem – a przy okazji władcą Olimpu i wszystkich zamieszkujących go nieśmiertelnych istot – moja kawalerka w śródmieściu przestała być bezpieczna. Wkrótce potem ulicę zalała fala paparazzich. Sceny znane z Hollywood Hills wydawały się przy tym sielanką.

Gwiazdy nad sennymi wzgórzami powoli bledną w świetle nastającego świtu, gdy po raz drugi powtarzam słowa Dantego z *La Vita Nuova*. Czytałem te wiersze setki razy i choć zawsze były mi bliskie, jeszcze nigdy nie przemawiały do mnie z taką mocą. Ani nie wzbudziły we mnie tak silnego pragnienia, by stawić opór.

Tylko wobec czego? Przecież od lat błagałem los, by zaprowadził mnie w to właśnie miejsce. Moje prośby zawsze jednak pozostawały mgliste – może w tym tkwił mój błąd. Nigdy nie zakładałem, że prawda będzie racjonalna. Albo logiczna czy wiarygodna.

I jest jej od tego jak najdalej.

Mrugam kilka razy, by się obudzić i zbyt śmiechem te dziwaczne rojenia rozgorączkowanego umysłu. Zaraz przeniosę się z powrotem do wczorajszego poranka i w ciepłe ramiona nagiej kobiety, która zawładnęła moim sercem, duszą i umysłem. Do drzwi nie zapuka żaden nieznamy i nie wejdzie jak do siebie z rewelacjami tak absurdalnymi, że na usta aż ciśnie się pytanie, z którego wariackowa nawiał i czym go tam szprycowali. Bo taka powinna być logiczna reakcja na słowa człowieka utrzymującego, że jest władcą bogów i ma wobec ciebie do nadrobienia dwadzieścia siedem lat ojcowskiej nieobecności.

Jakby tego było mało, Z. zdetonował trzecią bombę, mniejszą od dwóch poprzednich, choć wybuch i tak był spektakularny. Do tej pory jestem w szoku. Zwłaszcza kiedy patrzę na drobną, niewinną i delikatną postać Kary leżącej ze mną w tym królewskim łóżu. Na jej lekko wykrzywione usta, na których maluje się błogi spokój. Burzę gęstych ciemnych włosów odcinającą się na tle kosztownej śnieżnobiałej pościeli. Melancholijnie złożone dłonie. Nawet symetrycznie zaokrąglone paznokietki.

Wygląda jak anioł.

A jest moim idealnym małym demonem.

Zaczynam myśleć, że naprawdę jest cała moja.

Przekręcam się do okna, bijąc się z myślami. Zawładnęła moimi zmysłami i na stałe weszła do krwiobiegu... który powinien ją odrzucić. A tymczasem właśnie dzięki mojemu DNA pragnę jej – i tylko jej.

Tu los znowu ze mnie zakpił, bo w każdej chwili mogę ją stracić przez to DNA, które jest jej przekleństwem i które decyduje o jej przeznaczeniu. Ucieczka przed nim bynajmniej nie zjednała nam przyjaciół, mimo że mój ojciec – jeśli naprawdę nim jest – zaproponował interwencję w naszej sprawie. Wczoraj rano byłem na tyle zdesperowany, by mu zaufać. Nie miałem innego wyboru i nadal nie mam. Chyba że... chyba że to wszystko nie dzieje się

naprawdę, a Z. zamiast negocjować z Hadesem, jak obiecywał, jest nieźrównoważonym ćpunem, który właśnie daje sobie w żyłę w jakimś brudnym zaułku.

Ale czy rzeczywiście chce wiedzieć, jak jest naprawdę?

– Maximusie Kanie, błagam, powiedz, że nie wstałeś przed kurami.

Oto odpowiedź na moje wątpliwości. W każdej sylabie słodkiej porannej chrypki Kary. W jej widoku, którym karmię wygłodniały wzrok, gdy przeciąga się zmysłowo pod cienką kołdrą podkreślającą jej idealne, jedwabiste krągłości. A nade wszystko w pytającym spojrzeniu jej pięknych, wyrazistych oczu, które mówi, że od początku mi się przyglądała.

Momentalnie czuję wzwód w spodniach od dresu, w które wskoczyłem parę godzin temu. Nie muszę chyba dodawać, że ochota na melancholijne rozmyślania natychmiast mi przechodzi. Nie ma o nich mowy, gdy Kara jest rozbudzona i znów tak na mnie patrzy. Widząc to spojrzenie, nabieram pewności, że wczorajsza pośpieszna ucieczka z mojego miejsca zamieszkania była tego warta. Zresztą mogliśmy trafić dużo gorzej w kwestii kryjówki, mamy tutaj gargantuiczny taras, niemałą bibliotekę, wszelkie możliwe nowoczesne udogodnienia, no i ten zapierający dech w piersi widok. I bynajmniej nie mówię o drzewach, wzgórzach czy słynnym napisie „Hollywood”.

Przebywanie tu z tą zabójczą pięknnością jest jak sen. Jestem równie podniecony jak wtedy, gdy po raz pierwszy mnie dotknęła i zmieniła na zawsze. Wzruszam ramionami i przybieram maskę swobodnego czaru.

– Więcej robali dla mnie. Mogę się z tobą podzielić.

Kara siada i podciąga nogi pod brodę.

– Zamiast robakami podziel się ze mną swoimi myślami.

Znowu wzruszam ramionami, próbując ukryć mętlik w głowie. Nie mam najmniejszych problemów z poprowadzeniem wykładu dla setki studentów, ale ta kobieta potrafi mnie rozbroić jednym spojrzeniem.

– Nigdy nie potrzebowałem dużo snu – mówię w końcu. – Kilkugodzinna drzemka i jestem jak nowo narodzony.

– Hmm. – Przekrzywia głowę. – To w sumie ma sens.

– Tak? A dlaczego?

– Biorąc wszystko pod uwagę...

– Wszystko, czyli co? – Bynajmniej nie chcę jej przepytawać z samego rana, ale muszę to usłyszeć z innego źródła niż głos w mojej głowie. – Po prostu powiedz to jeszcze raz, Karo. Dla mnie.

Zadziera brodę.

– Biorąc pod uwagę, że jesteś półbogiem.

Oczy zaczynają jej błyszczeć, przypominając szklane kulki, którymi bawiliśmy się z Jessem w dzieciństwie. W nagłym przypływie szczęśliwych wspomnień mam ochotę się do nich uśmiechnąć, ale są osobliwie chaotyczne. Inne.

– Ty też możesz powiedzieć to na głos, Maximusie. I jeśli chcesz o tym porozmawiać, to... nie spanikuję.

– Ty nie. – Opadam na materac z ciężkim westchnieniem. – Ale ja tak.

– Czemu? – pyta ze szczerym zdziwieniem. Czuję to tak samo jak jej ciepło, gdy się prostuje i do mnie przytula. – Musiałeś coś podejrzewać. Przecież już wcześniej zacząłeś zadawać niewygodne pytania. Podzieliłeś się ze mną wątpliwościami.

Obejmuję jej nadgarstki.

– Odtąd będę się z tobą dzielił wszystkim.

Wzdycha, owiewając ciepłym oddechem mój bark.

– Nawet teraz? – dopytuje. – Nawet gdy wiesz, czym jestem?

Przewracam się na bok, przyciągam ją do siebie i obejmuję. Miękkie kremowe okrycie ciaśniej owija jej ciało.

– Zwłaszcza teraz – zapewniam, głaszcząc knykциями jej policzek. – Gdy wiem, kim jesteś.

Wygina usta w uśmiechu, który jednak nie sięga oczu.

– Tak... – mruczy. – Kim jestem. Karą Valari, pomiotem demonów, który doszczętnie zniszczył ci życie.

– Nie. – Przesuwam dłoń na jej kark i delikatnie ściskam, zmuszając ją, by na mnie spojrzała. – Jesteś Karą Valari, odważną i błyskotliwą istotą, która zbuntowała się przeciwko rodzinie i losowi, na jaki cię skazano. Jesteś demonem, który ośmielił się rzucić wyzwanie przeznaczeniu, ale i człowiekiem, który zawalczył o dużo więcej. Zawalczyłaś o nas.

Do jej okrągłych oczu i pełnych warg nareszcie wlewa się ciepła pewność siebie. Niewiele, ale wystarczająco, bym rozluźnił uścisk.

– Czyli... naprawdę w to wierzysz? Że my... że ja jestem...

– Demonem? – Od razu się uśmiecham i przyciskam usta do jej gładkiego czoła. – Byłem o krok od odkrycia prawdy, moja piękna. Przeczytałem wszystkie scenariusze twojego dziadka, by rozwiązać tę zagadkę, pamiętasz?

Nagradza mnie melodyjnym chichotem.

– Już choćby za to należy ci się medal, bohaterze. Ewentualnie tytuł szlachecki. Albo jedno i drugie.

– Czy w bonusie dostanę parę godzin w łóżku z tobą? – Uśmiecham się szelmowsko. – A najlepiej dni albo tygodni?

Żrenice jej się rozszerzają.

– Wątpię, by władze uniwersyteckie zechciały panu przyznać urlop w takim celu, panie profesorze.

Uśmiech momentalnie znika mi z ust.

– O, bardzo wątpię, że odmówią – odpowiadam sztucznie lekkim tonem.

Otwiera szeroko oczy.

– Jak to? – dopytuje z mocą. – Co się dzieje?

Chrząkam i wykrzywiam usta.

– To pewnie nic takiego. Rano dostałem maila...

– Od kogo? – podchwytuje.

Moje chrząknięcie przeradza się w głęboki jęk protestu.

– Od przewodniczącego rady uczelni.

– Co napisał? – pyta dużo ciszej. Nie mogę znieść, że boi się podnieść przy mnie głos.

– Uważa, że kilkudniowy urlop dobrze mi zrobi.

Zapominając o ostrożności, Kara głośno wstrzymuje oddech.

– Dlaczego?

– To tylko sugestia, nie polecenie służbowe. Ale po tym, co się stało, nie mam wyjścia i muszę się podporządkować. Jeżeli nie chcę stracić pracy.

Podnosi się i zagląda mi w oczy, nie kryjąc frustracji.

– Przecież ty kochasz swoją pracę.

Mam ochotę ją pocałować, ale opieram się pokusie. Jak to możliwe, że ta kobieta tak dużo już o mnie wie? I to szanuje?

– Tak – mówię spokojnie. – Masz rację. Kocham swoją pracę.

– A oni wydają ci takie okrutne polecenie.

– To nie polecenie. – Wzdycham ciężko. – Tylko sugestia, zapomniałaś?

Ale nie z Karą takie numery.

– Co oni sobie, do diabła, myślą? To nie pierwszy związek z celebrytą na tym kampusie. Pamiętasz, jak poprzestawiali słupki na stołówce, kiedy do tej studentki mikrobiologii przyjechał chłopak z boysbandu? Albo jak zamknęli szatnie, kiedy wszyscy myśleli, że rzucił ją dla trenerki siatkarek? Mam wymienić dalej?

– Sam mógłbym to zrobić – odpowiadam. – Jako wykładowca widziałem na tej uczelni niejedno. Ale w naszym przypadku jest inaczej i oboje dobrze o tym wiemy.

– To przeze mnie. – Odsuwa się, owijając się okryciem niczym polem siłowym. – Bo zrobiłam się nieostrożna i zapomniałam o kamerach, myśląc, że jesteście niewidoczni.

– Mnie można zarzucić dokładnie to samo. – Obracam się i siadam przed nią na piętach. – Wiesz o tym, prawda? Jesteśmy w tym razem, Karo. Jak dwa magnezy. Dwa pasy chmur burzowych. Oboje byliśmy w tej reżyserce i oboje zapomnieliśmy o ostrożności.

Patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Ale zrobiłbyś to znowu, prawda?

Wędruję palcami wzdłuż jej nogi, rozkoszując się jej drżeniem pod luksusową tkaniną.

– Nie zmieniłbym ani sekundy.

– Zabawne... To ty jesteś bogiem, którego powinni się bać.

Siadam prosto i potrząsam głową, zdradzając panujący w niej mętlik. To wciąż do mnie nie dociera, choć intuicja podpowiada mi, że Kara ma rację.

– Nawet jeśli w tym całym obłądnie jest część prawdy, nie zależy mi na tym.

Kara znowu przekrzywia głowę.

– Jeśli jest w tym prawda?

Zaciskam szczękę.

– Wiesz, co mam na myśli. Musimy przyjąć, że mogę nie być... – Przerывam na pół sekundy. – Że Z. nie jest... Że nie wróci. Że to tylko jakiś umyty włóczęga, który robił rekonesans przed włamaniem.

– No tak – odparowuje z twarzą wykrzywioną rosnącym napięciem. – Bo włóczędzy noszą szyte na miarę włoskie garnitury i pachną równie kosztowną wodą kolońską.

– Owszem, jeśli niedawno kogoś skroili.

– Wierzysz w to zamiast w prawdę, którą masz przed oczami.

– Niezupełnie przed oczami – odpowiadam i wyciągam rękę w stronę brzoskwiowo-zielonej mozaiki wzgórz. Po drugiej stronie wawozu tu i tam widać jakiegoś rannego ptaszka, który wybrał się na przebieżkę wzdłuż Montlake Drive. – Minęły już dwadzieścia cztery godziny, Karo. – Nie żebym je liczył. – A on wciąż się nie odezwał.

Chociaż możliwe, że akurat to oczekiwanie jest niezupełnie rozsądne. Przecież nie wysłę mu esemesa z informacją, że jestem tu, a nie w swoim mieszkaniu. Z drugiej strony jeśli naprawdę jest Zeusem, czy w ogóle potrzebuje adresu?

– I to ci daję pretekst, żeby nie wierzyć ani jednemu jego słowu?

– No cóż, nie mówię, że mu nie wierzę.

– Ale łatwiej go zbyć jako przypadkowego psychola niż dać wiarę jego słowom. Łatwiej ci nawet uwierzyć, że ja jestem demonem, niż przyznać, że mówi prawdę o twoim pochodzeniu.

Gdy tylko opuszczam dłoń, napotykam jej kolano i je chwytam. Nie namyślając się ani chwili, rozkładam jej nogi i moszczę się między nimi.

Napieram na nią, aż nasze ciała wpasowują się w siebie jak dwa elementy układanki. Jest mi jak w niebie. Czuję harmonijne bicie naszych serc i rytmiczne uderzenia pulsu. Obejmuje mnie za szyję i owija nogami w pasie, przyciskając podbrzusze do mojego twardego penisa.

DNA w mojej krwi przestaje być ważne, bo jest w niej tylko Kara.

Cofam swoją wcześniejszą przechwałkę, że jest cała moja. Wszystko pokręciłem.

To ja należę do niej.

– Jedyna prawda, która się liczy, to tu i teraz – mówię, po czym przywieram ustami do jej warg. Pieszczę je powolnymi, okrężnymi ruchami. W końcu niechętnie odrywamy się od siebie z westchnieniem. – I mam nadzieję, że nikt nas nie znajdzie. Nigdy.

– Hmm... – Wzdycha z rozmarzeniem. – Jakie cudowne życzenie. – Wsuwa palce w moje włosy, leniwie masując mi skórę głowy. – Może zostaniemy hipisami i zamieszkajmy w jurcie na jakiejś plaży.

Parskam śmiechem z twarzą przy jej szyi.

– I z psem o imieniu Bubba?

– Oczywiście. Ale Bubba będzie musiał się ulatniać, kiedy najdzie mnie na ciebie chętką.

– A kto powiedział, że będziemy to robić w namiocie?

– Aaa – piskliwie, acz ochryple szepcze, gdy wędruję wargami do jej ucha, skubiąc i muskając skórę. – Wolałbyś na piasku? To mi się podoba, Maximusie Kanie.

Jej pochwała dodaje mi skrzydeł. Przyciskam ją mocno do siebie i staczamy się z materaca na podłogę. Mój chichot miesza się z jej okrzykiem zaskoczenia i zaczynamy się namiętnie całować. Białe okrycie nadyma się nad nami i opada. Jej usta są ciepłe i rozchylone, gotowe mnie przyjąć, a ciało nagie i piękne, spragnione dotyku i słodkiej udręki. Ale najlepsza ze wszystkiego jest jej ognista namiętność, nie mniejsza od mojej... Zwłaszcza te hipnotyzujące płomienie w jej oczach...

Spowity ich blaskiem ledwo jestem w stanie wydusić przez suche gardło:

– Proponuję udawać, że to piasek.

– Coraz bardziej mi się to podoba.

Przyciągam ją do siebie, zarzucam sobie jej nogę na biodro i podkładam biceps pod jej głowę. Chcę jeszcze jednego pocałunku i go sobie biorę. Jej usta są gorące i soczyste jak zawsze. Między nogami jest równie wilgotna, w pełni na mnie gotowa. A ja jestem bardziej niż gotów, by w nią wejść.

Jęczy, jakby wyczytała wszystko z mojej duszy. Po raz kolejny jestem wdzięczny za jej wrażliwość na innych. „Odejdź, mały demonie, odejdź”.

Nie.

„Zostań, mały demonie, zostań”.

Uśmiecha się z ustami przy moich.

– Cóż – szepcze, ciągnąc za sznurek w moich spodniach – skoro nalegasz...

Nie jest mi dane odpowiedzieć, bo zanim otwieram usta, rozlega się trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Nieruchomieję. Kara też się spina, ale nie wygląda na zaskoczoną, że ktoś łąduje się do mieszkania o szóstej rano.

– Spokojnie, olimpijczyku – beszta mnie, po czym delikatnie całuje. – To tylko Kell. Pewnie wraca z migdalenia.

Nie zamykając oczu, oddaję pocałunek i unoszę brew.

– Z migdalenia?

– Tak to nazywa. Ale wracając do naszych uciech i wyimaginowanego piasku...

Pozwalam się znowu pocałować, ale nadal nie potrafię się rozluźnić. Coś – instynkt, szósty zmysł, przeczucie – blokuje moje libido. Coś jest nie tak w rytmie kroków w salonie. Nie kierują się do sypialni Kell... ani nawet do kuchni.

– Kara? Nie śpisz?

Oddycham z ulgą. To jednak Kell.

– Kara.

Cholera, a to już nie. Od razu rozpoznaję ten głos.

– Kara! – Powtórzone wołanie Veroniki Valari zdaje się przenikać przez ściany. – Wyjdź natychmiast. Musimy porozmawiać.

Rozdział 2

Kara

Najlepsze, co można powiedzieć o spotkaniu z moją matką o tak wczesnej porze, to to, że obok niej stoi Z. Abstrahując od wątpliwości i rezerwy Maximusa, jego obecność dodaje mi otuchy, a lodowate spojrzenie matki tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że udało mu się wyciągnąć nas z tego bagna. Inaczej nie byłaby taka skwaszona.

Skrzyżowane ręce przyciska do wydatnego biustu, napinając materiał bluzki w panterkę. W pokoju niczym poranna mgła wisi ciężka cisza – z tą różnicą, że jest bardziej upiorna niż malownicza.

Kell przestępuje z nogi na nogę, udając, że widzi za oknem coś szalenie interesującego, ale cała jej sylwetka aż krzyczy: „Winna!”.

– Powiedziałaś jej, że tu jestem – wyrzucam z siebie z goryczą zrezygnowana.

Jej okrągłe ciemne oczy są niemal bliźniaczo podobne do moich.

– To nie tak.

– Chciałam się tylko na chwilę zadekować – przypominam jej.

– Zadekować? Po tym, jak odpaliłaś tę atomówkę? – szydzi moja matka, unosząc ciemną, dorysowaną brew. – A poza tym nie miałaś dużego wachlarza kryjówek do wyboru, kochanie. – Ostatnie słowo wymawia ze słodyczą kontrastującą z jej usztywnioną sylwetką. – Nie odbierałaś moich telefonów, co jest do ciebie zupełnie niepodobne. – Zadziera głowę i skupia wzrok na mężczyźnie u mego boku. Gdy wędruje spojrzeniem do jego paska i dalej w dół, nozdrza lekko jej się rozszerzają. – Przynajmniej miałaś na tyle przyzwoitości, by nie wziąć sobie człowieka.

W odpowiedzi rozlega się cichy chichot Z., który zwiedza salon, jakby przyjechał tu podziwiać wystrój wnętrza.

– Moja krew. – Ta uwaga i swobodny spacer po moim mieszkaniu tworzą wrażenie inwazji.

Nie wiem, czy mam się czuć zagrożona, czy zwyczajnie zażenowana tą rozmową.

– A jakie to ma znaczenie w ogólnym rozrachunku?

– Ma, kochanie, ma.

– Niby dlaczego? – odgryzam się.

– Maximus jest półbogiem – mówi matka, wyniosłe rozplatając ręce. – Nie jest najlepiej, ale to zmienia postać rzeczy.

– Jakich rzeczy? – Głos mi drży, zdradzając, co mnie dręczy, odkąd złamałam przysięgę daną piekłu. – Idą po mnie?

Maximus chwytą mnie za rękę swoją ciepłą, zaborczą dłonią. Tak bardzo chcę się do niego przytulić, ale nie mam odwagi.

– Udało mi się wypracować porozumienie z Ardenem. – Matka odgarnia za ucho krótkie czarne włosy, dzwoniąc drogimi bransoletkami. – Chociaż po tym, jak od niego uciekłaś, był bardzo rozczarowany. Nie sądziłam, że zdążyłaś zrobić na nim aż takie wrażenie.

Maximus ściska mocniej moją dłoń i niemal niedostrzegalnie wysuwa się przede mnie, jakby chciał mnie osłonić nawet przed wzmianką o moim niedoszłym oblubieńcu.

– Nigdy więcej się do niej nie zbliży.

– A niby po co miałyby się do niej zbliżyć? Kara nie ma mu nic do zaoferowania, już ty o to zadbałaś – warczy.

Gdyby temat nie był tak krępujący, z przyjemnością bym ją poprawiła. Maximus wcale mnie nie uwiódł, jeśli nie liczyć mojego przesiadywania na jego wykładach i słuchania, jak z pasją czyta na głos poemat Dantego strona za stroną. Oczywiście działo się między nami dużo więcej. Tysiące krótkich chwil, które coraz bardziej splatały ze sobą nasze dusze, aż w końcu nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że oddaję się komuś innemu.

Ale to wszystko nie będzie miało znaczenia, jeśli zapłacę za nasz związek życiem. Dotychczas myślałam, że nie mam szans wyjść z tego obronną ręką, coś w postawie mojej matki, jej wyraźne zdecydowanie, napełniło mnie jednak autentyczną nadzieją.

– Czyli co? Jesteśmy bezpieczni?

– Jeśli chodzi o Maximusa, to pociągnęłam za parę uniwersyteckich sznurków. Zgodzili się puścić wszystko w niepamięć. – Patrzy spokojnie w oczy mężczyźnie, którego kocham. – Od piątku może pan wrócić na uczelnię, profesorze.

Wypuszczam z ulgą powietrze. Choć nawiedza mnie widmo ogni piekielnych, nie mniej od nich bałam się, że przeze mnie Maximus straci wszystko, na co tak ciężko pracował. Źródło utrzymania. Pasję.

– Czy to znaczy... – Boję się nawet zapytać, ale nie jestem w stanie odeprzeć fali ulgi przetaczającej się przez mój krwiobieg do przepelnionego nadzieją serca. – Że ja też mogę wrócić na uniwersytet?

Nozdrza mojej matki znowu lekko drgają.

– Tak. Na razie.

Nie mogę powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Na razie? – Moją radość przecina ostre pytanie Maximusa.

– Kara zgodziła się rzucić studia – wyjaśnia matka, zanim otwieram usta. – Zrobiła to oczywiście dla ratowania twojej kariery. Nie mogliśmy pozwolić na kolejne skandaliczne nagłówki z wami w rolach głównych. Któreś z was musiało odejść z uczelni.

Na twarzy Maximusa maluje się oszołomienie.

– Karo, dlaczego mi nie powiedziałaś?

Staję przed nim, kładę mu dłoń na piersi i zaglądam w udęczone oczy.

– Studia się nie liczyły. Nic się nie liczyło – szepczę. Ważny był tylko Maximus i ta noc, która mogła być ostatnią w moim życiu.

– Karo – ostry ton matki kładzie kres naszej krótkiej chwili intymności – tu nie chodzi o sentymenty. Twój powrót na uczelnię nie ma związku z moją aprobatą dla waszego związku czy jej brakiem. Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

– Nie rozumiem.

– Ten skandal był zagrożeniem dla twojego powołania. Wątpię, czy zdołałabym cię ochronić, gdyby Maximus był zwykłym śmiertelnikiem. Można rzec, że dopóki sprawy się nie wyklarują, jesteśmy w stanie zawieszenia, ale być może uda się wykorzystać ten rozgłos na naszą korzyść.

Maximus śmieje się ochryple.

– Rozgłos? Ma pani na myśli związek w świetle jupiterów?

Z. przerywa spacer po salonie.

– Dokładnie tak.

– Ale... czy to nie jest niebezpieczne? – pytam.

Z. wzrusza ramionami.

– Nazwij to PR-em. Polityką. Albo błogosławieństwem.

Usłyszawszy to ostatnie, wybałuszam oczy.

– Słucham?

– Generalnie – ciągnie – nieposłusznych łatwiej się pozbyć, jeśli nikt nie wie o ich istnieniu. Pstryk! i po kłopotcie. – Gdy pstryka palcami, strzelają między nimi niebieskie iskierki. – Ty, Karo, nosisz nazwisko Valari, co oznacza, że masz niepowtarzalną możliwość stanąć w świetle jupiterów. I dopóki sprawa się nie rozwiąże, to dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce. A w zasadzie dla was obojga.

Odrywam się od Maximusa i podchodzę do Z. Nie mam pojęcia, co powiedziec. Powinam dziękować losowi za sławne nazwisko, ale i tak usiłuję znaleźć jakiś logiczny argument, który przekonałby ich, że spokojne życie z dala od blasku fleszy jest rozsądniejszym rozwiązaniem. Że jest lepsze niż robienie z siebie medialnego przedstawienia, co znam od dziecka.

– Błagam, musi istnieć jakiś inny sposób. Nie możemy po prostu się nie wychylać? Dopóki nie rozwiążesz problemu?

Z. rozluźnia kołnierzyk swojej bladoniebieskiej koszuli idealnie współgrającej z przejrzystą barwą jego oczu.

– Jak powiedziała Veronica, na chwilę obecną jesteśmy w stanie zawieszenia.

– Obiecałeś, że zadzwonisz, do kogo trzeba – przypominam mu z wyrzutem, choć pewnie nie mam do tego prawa.

– Zadzwoniłem i jeszcze zadzwonię. Szykuje się nam spotkanie rodzinne, na którym będą moi bracia. Ludzie nie bez powodu organizują takie koszmarnie zloty. Czas ma to do siebie, że przepływa przez palce, urazy się pogłębiają. Niektórzy traktują zasady trochę zbyt poważnie. Musimy po prostu oczyścić atmosferę i tyle.

– Skoro to takie proste...

– To wcale nie jest proste – odpowiada szybko z pewnością wszechwiedzącego boga. – Jak wszystko na tym świecie. Od zarania dziejów nigdy nie trafiło się nic prostego. Tego możesz być pewna.

Wzdycham. Gardło mam ściśnięte.

– I naprawdę uważasz, że to zda egzamin?

– Kochanie – wtrąca moja matka. – Rozgłos to moja specjalność. W każdym wydaniu. Jeśli trzeba wywołać szum medialny, by cię ochronić, nikt nie zrobi tego lepiej ode mnie.

Milczę, próbując uwierzyć w jej okraszone arogancją i zdecydowaniem obietnice.

– Czemu chcesz mi pomóc?

Krzywi się.

– Jeszcze pytasz?

– Kiedy się ostatnio widziałyśmy, miałaś zupełnie inne plany co do mojego życia. Żądałaś, żebym przerwała studia, zerwała kontakt z Maximusem, i wpychałaś mnie w ramiona Ardena...

– Moim celem nigdy nie było zapewnienie ci szczęścia. Najważniejsze było twoje bezpieczeństwo i wypełnienie przeznaczenia. Zbuntowałaś się przeciwko mnie, a mimo to jestem tu i robię, co w mojej mocy, byś była bezpieczna. Bynajmniej nie zamieniłam się w orędowniczkę miłości. To wierutna bzdura. Robię to, bo jesteś moją córką i nie pozwolę cię sobie odebrać. – Wypuszcza powietrze z cichym syknięciem. – A przynajmniej nie bez walki.

Ogarnięta emocjami sama mam problem z oddychaniem. Nigdy nie sądziłam, że aż tak jej na mnie zależy. Może po prostu inaczej patrzyłyśmy na świat, skupiałyśmy się na tak rozbieżnych sprawach, że nie zauważałam jej miłości? Może i nie dała mi matczynego ciepła, ale pomimo jej zjadliwości i egocentryzmu w jej zdeterminowanej postawie jest coś, czego nie mogę

zignorować. Ma lekko obnażone zęby i charakterystyczny wygląd dzikiej samicy gotowej do ataku w obronie swoich młodych.

Choć rzadko się ze sobą zgadzałyśmy, teraz wierzę i ufam temu, co widzę. Na tyle, by wbrew wszelkim instynktom wyjść ze strefy komfortu i przystać na ten plan. Plan, który na zawsze zmieni też życie Maximusa, bo nie ma pojęcia, co go czeka, gdy media powiążą go z naszym nazwiskiem, choćby na krótko.

Ale nie mamy innego wyjścia. Jeśli to nasz jedyny plan, muszę odegrać swoją rolę.

– Co mamy robić? – pytam w końcu.

– Cóż – matka zerka na Z. i przenosi wzrok z powrotem na mnie – musicie się razem pokazywać, to jasne. I od czasu do czasu z resztą naszej rodziny.

– A Arden... tak po prostu zrezygnuje? – dopytuję, ostrożnie dobierając słowa.

Moja matka lekko zaciska usta.

– Niezupełnie.

– To znaczy? – nie odpuszczam.

– Oczywiście ostrzył sobie na ciebie pazury, ale ostatecznie doszliśmy do porozumienia. Został odpowiednio zmotywowany i dostosował swoje oczekiwania do nowej sytuacji.

Matka zerka ukradkiem na podenerwowaną Kell i nagle wszystko pojmuję. Z przerażeniem. Momentalnie budzi się we mnie demoniczna wściekłość.

– Nie!

Matka zaciska szczęki.

– To był jedyny sposób.

– Nie. – Tym razem warczę i staję między nią a moją młodszą siostrą gotowa jej bronić. W okamgnieniu łapie mnie od tyłu za ramiona, unieruchamiając w żelaznym uścisku.

– K-Demon – błaga chrapliwym głosem. – Proszę, nie pogarszaj sprawy...

– Kell, nie będziesz po mnie sprzątać.

Matka przewraca oczami.

– Nie dramatyzuj, błagam. Mogła trafić dużo gorzej niż Arden Prieto.

– To gad!

– To demon, któremu obiecano coś, czego już nigdy nie dostanie. Jest wściekły, a twoje życie wisi na włosku. Czego się spodziewałaś, Karo? Że pójdziesz sobie za głosem serca i nikt nie poniesie konsekwencji?

– Niczego się nie „spodziewałam”. Urodziłam się w tym koszmarze wbrew swojej woli i jestem zmuszona żyć według ich praw. Tak jak ona.

Moja matka prychna obruszona.

– No cóż, gdyby wasz dziadek nie...

– Gdyby dziadzio nie zrobił tego, co zrobił, nie byłoby nas tutaj, by się na nim mścić, mam rację?

Pod ostrzałem spojrzeń moja matka tężeje i krzyżuje ręce na piersi.

– Wszyscy musimy grać swoje role, prawda?

– Jest okej, Karo – mówi cicho Kell, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że kłamię.

Przenoszę spojrzenie z powrotem na nią.

– Wcale nie jest okej.

– A właśnie że tak, do diabła. Nie jestem taka jak ty. – Przełyka z trudem. – Zrobię, co muszę. Zwłaszcza jeśli dzięki temu zyskasz trochę czasu.

Rozdział 3

Maximus

– Może wybierzemy się na małą przejażdżkę?

Bezskutecznie staram się ukryć brak entuzjazmu wobec propozycji stojącego obok mnie mężczyzny. Nie licząc kącików ust, które lekko unosi, Z. ani drgnie. Wyszliśmy na taras z salonu Kary i Kell, jesteśmy tymczasowo odizolowani od reszty. Po nierównej walce poranny chłód oddaje pole królującemu na tych wzgórzach południowokalifornijskiemu słońcu, którego promienie błyskawicznie nagrzewają kamienną płytę pod moimi bosymi stopami.

Ale to jedyne ciepłe części mojego ciała.

Odwilż nie przyjdzie szybko, bo złodowacenie sięga mi szpiku kości i komórek krwi w żyłach. Moje trzewia toczą bitwę bardziej zaciętą niż niepohamowani w gniewie na bagnach Styksu. Powinienem czuć ulgę i wdzięczność, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że plan Veroniki Valari to raczej ultimatum niż rozwiązanie, dzięki któremu jej imperium zalśni jeszcze jaśniejszym, wręcz oślepiającym blaskiem.

Ale rozgoryczenie zda się tu na nic. Bez względu na to, jak bardzo pragnę wbiec do środka, złapać Karę za rękę i zaszyć się z nią w najdalszym zakątku świata, gdzie nikt nas nigdy nie znajdzie, muszę skapitulować przed rozsądkiem i ocenić sytuację trzeźwym okiem. Jeśli mamy przeżyć gniew piekieł, może rzeczywiście musimy ogień zwalczyć ogniem. Nawet jeśli jego blask to flesze paparazzich, krzykliwe nagłówki i życie na świeczniku.

Innymi słowy ziszcza się mój największy koszmar – choć kiedy się odwracam i zaglądam do środka, znowu jestem w raj. Między mną a Karą jest szyba, ale w ułamku sekundy nasze spojrzenia się spotykają, jakbyśmy byli do siebie idealnie dostrojeni. Gdy tak na nią patrzę, dostrzegam odbicie swojej twarzy. Nie poznaję tego mężczyzny, bo nigdy wcześniej nie istniał. Zakochany to mało powiedziane. Jestem jej całkowicie oddany. Skupiony wyłącznie na zapewnieniu jej szczęścia i bezpieczeństwa.

Zwłaszcza tego drugiego.

Tak więc na razie podpisuję się obiema rękami pod śmiałym planem mamusi Valari. A co za tym idzie, muszę dotrzymać słowa danego Z. Pora zacieśnić ojcowsko-synowskie więzy, jeśli mam uwierzyć w to, o czym są przekonani chyba wszyscy dookoła. Że jestem synem boga. Synem samego Zeusa.

Ta wycieczka będzie co najmniej ciekawa.

Niechętnie odrywam wzrok od Kary i przenoszę go z powrotem na mężczyznę, który uśmiecha się właśnie do wschodzącego słońca, jakby to on stworzył tę ognistą kulę.

– Przejażdżka – powtarzam za nim. – Chcesz powiedzieć, że nie możesz pstryknąć palcami i przenieść nas w dowolne miejsce na ziemi?

Podnosi dłoń i ją odwraca. Porusza palcami, między którymi natychmiast tworzą się opalizujące pajęczyny srebrzystego światła.

– W każdej chwili – odpowiada. – Ale słyszałem, że przejażdżki to dobra okazja do rozmów.

– To chcesz robić? Porozmawiać?

– Wolisz zostać tu?

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś, bo nie mam ochoty na tę rozmowę, ani tu, ani nigdzie indziej. – Wzruszam ramionami. – Chyba po prostu spodziewałem się czegoś innego.

Na jego twarzy maluje się rozbawienie przemieszane z powagą.

– To znaczy?

Przyglądam mu się uważnie i naprawdę mam ochotę przestać się hamować i zasypać go lawiną myśli kołoczących mi się w głowie. Ale to nie czas ani miejsce. Im szybciej odhaczę to ojcowsko-synowskie spotkanie, tym lepiej.

– Nieważne – mówię w końcu. – To dokąd jedziemy?

– Też nieważne. Może po prostu wsiądźmy do auta. – Mruży oczy, jakby znowu chciał mnie rozszyfrować. – Może masz jakieś wyjątkowe miejsce, w które chciałbyś pojechać?

„Tak. Najdalszy zakątek świata. Z kobietą, którą zostawiam tu samą. Kiedy potrzebuje mnie najbardziej”.

Odsuwam te myśli na bok. W tej chwili to mało konstruktywne. Tylko przypominają mi o katuszach, jakie mój mały, słodki demon musi teraz przechodzić. Uciekła spod topora Ardena Priety tylko po to, by się dowiedzieć, że tym samym skazała nań swoją młodszą siostrę.

Jest załamana. Odsłonięta. Nie powinienem jej teraz zostawiać.

Ale niestety muszę.

Jestem tym rozgoryczony, co pomimo starań na pewno słyhać w moim głosie.

– Wyjątkowe miejsce? Na przykład park, w którym nigdy nie grałeś ze mną w piłkę, albo szkoły, do których nigdy nie wpadałeś na lody z rodzicami? Tego typu miejsce?

Z. zgina palce, jakby chciał zacisnąć pięść.

– Jesteś trochę sfrustrowany, rozumiem to.

– Sfrustrowany? – Kręcę głową. – Sfrustrowany to byłem w piątej klasie podstawówki.

– W takim razie zły. Zdezorientowany. To też rozumiem. Tak się składa, że podzielałm twoje odczucia.

– Dzięki, od razu mi lepiej.

Na dźwięk jego cichego, niemal aprobującego chichotu robi mi się dziwnie ciepło na sercu, ale szybko przywołuję się do porządku. Nie mam teraz czasu pławić się w jego ojcowskiej dumie. To absurdalne marnotrawstwo czasu. Im szybciej dostanie ode mnie to, czego chce, tym szybciej wrócę do Kary.

– Chodźmy – mówi ciepłym, melodyjnym głosem. – Poprowadzisz?

Zawsze lepiej się czułem za kółkiem mojej furgonetki niż jako pasażer. Kilkanaście minut później, gdy przejeżdżamy przez rozrośnięte przedmieścia Encino, Woodland Hills i Calabasas, wciąż panuje w niej błoga cisza.

– Supermarkety ze „zdrową” żywnością – duma głośno Z., w końcu przerywając milczenie. – Jakby smoothies ze spiruliną i masło migdałowe domowej roboty dodawały sił witalnych. Kiedy ludzie wreszcie zrozumieją, że spacer w słońcu i popołudniowy orgazm działają tak samo?

Mam ochotę się roześmiać, ale się powstrzymuję.

– Mówisz serio?

– Tak, i mam rację.

Trudno się nie zgodzić. Gdybym mógł zdecydować, jak spędzić dzisiejszy dzień, wybrałbym się na pieszą wycieczkę za rękę z Karą, a potem godzinami uprawialibyśmy seks.

– Na pewno wiesz, co mówisz – odpowiadam zaintrygowany. – W końcu jesteś Zeusem, władcą Olimpu, najwyższym z bogów itepe.

– To niezupełnie tak.

Irytacja w jego głosie tylko wzmacnia moje zainteresowanie.

– A jak? Przecież władasz żywiołami. – Jakie Jesse będzie miał używanie, kiedy mu o tym powiem. Jeśli mu powiem. Te strzępy informacji, którymi zdążyłem się z nim podzielić, rozpały jego ciekawość do czerwoności. Ogień w oczach Kary. Scenariusze jej dziadka o demonach i ucieczce z piekła. Gdyby wiedział, że jestem potomkiem potężnego władcy pogody... – O cholera – szepczę. – To nie była tylko wczorajsza burza. Wszystkie te nawałnice z ostatnich tygodni... – Odrywam wzrok od drogi i gapię się na niego. – To byłeś ty, prawda?

– Nie. – Z. unosi brew. – To byłeś ty.

Zszokowany zupełnie nie wiem, co powiedzieć, więc wbijam wzrok z powrotem w jezdnię.

– Tkwią w tobie wielkie namiętności, Maximusie. – Wbija przenikliwe spojrzenie w mój profil. – Po prostu do tej pory trzymałeś je na uwięzi.

– Co ty nie powiesz.

Wciąż nie mogę wyjść z podziwu, że Karze tak błyskawicznie udało się wyzwolić we mnie to, co było zapomniane i stłumione. Ale panowanie nad żywiołami? Wmówiłem sobie, że to domena Z. Samemu mieć podobne zdolności to zupełnie inna para kaloszy. Które nie są wcale wygodne.

– Dlaczego przez tyle lat je tłumileś? – pyta cicho pewnym, niemal oskarżycielskim tonem, ale moja ciekawość jest już za bardzo rozbudzona.

– W zeszłym tygodniu byliśmy z Karą w obserwatorium i nagle rozpętała się burza. Przyszła dosłownie znikąd. Jeśli masz rację co do moich... namiętności... Okej, ale Kell widziała wtedy przez okno jakiś dziwny gwiazdozbiór.

– A, to akurat byłem ja.

– Co tu robiłeś? – pytam jednym ciągiem, doszczętnie skołowany. – Łapałeś oddech przed uwiedzeniem kolejnej niczego nieświadomej śmiertelniczki?

Przez chwilę sprawia wrażenie zranionego moją pogardą, ale nie mam zamiaru przeproszać. Przemawiają przede mną lata frustracji. Lata zamętu, izolacji, rozpaczliwej nadziei na powrót ojca i zastanawiania się, na ile pytań wreszcie odpowie. Stopniowo ta gmatwanina emocji przemieniła się w gniew i rezygnację, a na koniec w posępną akceptację.

Gdzie on się podziewał?

Z. wciąga powietrze przez nos i już wiem, że tak łatwo nie wydobędę z niego odpowiedzi na to pytanie.

– Może odrobinę przystopujmy.

Ściskam kierownicę, aż bieleją mi knykie. Ale to betka w porównaniu z burzą, jaka we mnie wzbiera.

– Zaczynasz mówić jak mama.

Gdy tylko z moich ust padają te słowa, moje myśli posępnieją, a znad Hidden Valley zaczynają nadciągać potężne, spiżowe chmury deszczowe. To, że mama wszystko przede mną zataiła, było w moim mniemaniu aktem zdrady. Czy Z. miał w tym udział? To by wiele wyjaśniało, ale też rodziło kolejne pytania. Mam wrażenie, że błędę w jeszcze większej mgle.

– Kochałem twoją matkę, Maximusie. – Co ciekawe, jego cichej, acz zdecydowanej deklaracji nie zagłuszają nawet krople deszczu dudniące o przednią szybę. – Wciąż ją kocham.

– Tak samo jak każdą kobietę, która wpadnie ci w oko?

– Teraz zaczynasz mówić jak moja żona.

– Może ma rację.

– A może jest królową, która myśli, że korona upoważnia ją do każdego okrucieństwa.

Nie muszę się zastanawiać, czy żartuje, bo to jasne, że nie. Stajemy w korku, dzięki czemu mam okazję lepiej mu się przyjrzeć. Jego nagła zjadliwość jest niemal równie niepokojąca

co szczegóły jego wyglądu, które dopiero teraz zauważam. Niebieskie obwódki wokół oczu. Zmarszczone brwi, które prawie się stykają. Nawet sposób, w jaki ściąga usta, kiedy je zaciska. To samo codziennie rano widzę w lustrze.

Strąca niewidzialny paproch ze spodni i ponownie przerywa ciszę.

– Posłuchaj. Jestem władcą królestwa tak pradawnego, że nikt już nie wierzy w jego istnienie. Dreszczyk emocji związany z uwodzeniem to jedno z niewielu ciekawych zajęć, jakie mi zostały. Nie licząc zażegnania groźby wojny z jednym z moich braci, które nie skończyłoby się dobrze dla wszystkich twoich przyjaciół śmiertelników.

– Jak to? – pytam, zamiast ugryźć się w język. Ale Z. nie ma oporów, by udzielić odpowiedzi.

– Nie jesteśmy w stanie zatrzymać przemocy w naszym świecie, więc w waszym dzieją się złe rzeczy.

– Złe rzeczy? Na przykład?

Prychnięcie Z. mrozi mi krew w żyłach, bo chyba już wiem, o jakie „złe rzeczy” chodzi.

– Powiedzmy na przykład, że wszyscy myślą, że Pompeje zostały zniszczone przez erupcję wulkanu – odpowiada. – A wielki pożar Chicago spowodowała nadpobudliwa krowa pani O’Leary. Ale najczęściej sprowadzamy trzęsienia ziemi. Shaanxi, Damghan, Aleppo, Kanto to wszystko my. Plus najbardziej spektakularne huragany...

– Okej, okej – przerywam mu. – Rozumiem. – Zwłaszcza że autostrada, którą jedziemy, biegnie rzut kamieniem od uskoku San Andreas.

Korek się rozładowuje i ładnych parę kilometrów przemierzamy w nie takiej znowu niezręcznej ciszy. Gdy ponownie zaczynamy się zbliżać do oceanu, Z. postanawia wziąć mnie w krzyżowy ogień pytań.

– Pamiętasz coś ze swojego dzieciństwa? Cokolwiek sprzed Los Angeles? – Zawiesza głos, jakby chciał zapytać o więcej. – Czy pamiętasz choć jedno... z naszych spotkań?

Cholera. Facet umie zrzucić na człowieka te bomby. Bębnię palcami w kierownicę ogarnięty nagłą ochotą, by uciec z auta i od tej rozmowy. Ale Z. zna odpowiedzi na pytania, które dręczyły mnie przez całe życie. Teraz jestem tego pewien.

– Nigdy wcześniej cię nie widziałem. – „Tato”, mam ochotę dorzucić kaśliwie, ale gryzę się w język i wymyślam coś mniej uszczypliwego. – Przysięgam. Po raz pierwszy zobaczyłem cię wczoraj rano w swoim mieszkaniu.

Nie odpowiada, a ja robię się coraz bardziej nerwowy. Głębokie, ciemne bruzdy na jego zmarszczonym czole są nie mniej niepokojące.

– Nie powiem, żeby mnie to zdziwiło.

– Ale jesteś wkurzony.

– Nie. – Opiera łokieć na drzwiach i przykłada pięść do ust. – Nie jestem zły, synu, tylko smutny. I zbity z tropu.

– Chyba coś mi umknęło, bo nic nie rozumiem.

Nie odrywam wzroku od drogi, ale kątem oka dostrzegam, jak sztywnieje.

– Może i jestem hulaką, raptusem i kapryśnym skurczybykiem, ale jednego na pewno nie można o mnie powiedzieć: że jestem złym ojcem. I jeśli nie wierzysz ani jednemu mojemu słowu, uwierz choć w to: ty i twoja matka mogliście zamieszkać w złotym pałacu na Olimpie, wystarczyłaby tylko jej prośba. Nie nadeszła, więc myślałem, że jest szczęśliwa w domu, który wam podarowałem, dopóki...

– O czym ty, do diabła, mówisz? – pytam przez zaciśnięte zęby, ale Z. patrzy mi w oczy z filozoficznym spokojem. – Chcesz powiedzieć, że przed przeprowadzką do Los Angeles mieszkaliśmy w... w... królestwie bogów i bogiń?

– No... tak. – Z. uśmiecha się półgębkiem. – Mniej więcej.

– Mniej więcej? – Unoszę brew. – To znaczy?

– Olimp nie jest tylko „królestwem bogów i bogiń” – tłumaczy. – Mieszkają na nim również tytani, muzy, gracje, półbogowie, a nawet kilka wywyższonych wyroczeni. – Unosi lekko kąćki ust, poszerzając uśmiech. – Pod wieloma względami przypomina Los Angeles. To tygiel kultur.

– Tygiel kul... – Ponownie przerywam, nie będąc w stanie uspokoić nawałnicy myśli. Jak może mówić to takim lekkim tonem, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem?

Może dlatego... że to prawda?

Dlatego że mówi mi prawdę?

– Kurwa – udaje mi się wreszcie wychrypieć w miejsce miliarda pytań, które właśnie przecięły twarde dyski w moim mózgu. Dopóki nie zrestartuję systemu, w moich oczach będzie gościć pustka, a na twarzy tępe osłupienie. Funkcje myślowe tymczasowo zawieszono.

Na szczęście Z. chyba wszystko rozumie. Daje mi chwilę na dojście do siebie, a potem jeszcze jedną.

– Halo, jesteś tam? – pyta w końcu. – Potrzebujesz trochę czasu, żeby to przetrwać?

– Nie. Muszę wypić piwo.

Albo dwa.

Albo dziesięć.

Jeśli zacznę się słać na nogach, najpotężniejszy tatyś świata odwiezie mnie do domu. Choć wątpię, by jakakolwiek ilość alkoholu była w stanie stłumić szok, który z pewnością jeszcze mi szykuje.

Rozdział 4

Kara

– A teraz musimy się zająć waszym grafikiem. – Mama otwiera swoją torebkę z krokodylej skóry od Stalveya i spokojnie wyjmuje telefon, zupełnie jakby przed chwilą wcale nie skazała mojej siostry na spędzenie wieczności w szponach bezwzględneho demona.

Wciąż cała się trzęsę na tę myśl, Kell natomiast zdaje się całkowicie pogodzona ze swoim przerażającym losem. Takie sprawia wrażenie, gdy rozsiada się obok nas na sofie i wyciąga telefon.

– A zatem: zarezerwowałam wam stolik w Yamashiro's na dziś wieczór – mówi szybko mama. – Subtelne, na rozgrzewkę. Damy cynk paru osobom, więc nie bądźcie zaskoczeni. Pozwólcie się sfotografować przy wejściu, a po kolacji wyjdźcie tylnymi drzwiami, będzie tam na was czekał samochód. W piątek w Chinese Theater jest premiera filmu Piper, na której bezwzględnie musimy być. To idealna okazja, by Maximus zadebiutował na czerwonym dywanie. – Nagle marszczy brwi. – Przydałaby mu się pomoc stylistki.

– Ma już smoking.

– Wiesz może, od jakiego projektanta? – pyta po chwili wahania.

– Mógłby włożyć zgrzebny worek, a i tak nikt by tego nie zauważył – mruczy pod nosem

Kell.

– Nieważne. – Mama marszczy brwi i macha ręką. – Przyślę kogoś, żeby zdjął miarę i dostarczył kilka smokingów do wyboru. Mamy czas.

Robię kilka głębokich wdechów i ośmielam się jej przerwać.

– Mamo, proszę...

– Milcz, Karo. Wiem, co robię, a ty masz na tyle oleju w głowie, by nie protestować. Jeśli nie będzie wyglądał, jak należy, reporterzy rozszarpiają was na strzępy.

Zaciskam mocno pięści, jakby to mogło mi pomóc w zachowaniu spokoju.

– Ale on nie jest taki jak my.

Mama rzuca mi niewzruszone spojrzenie spod gęstych rzęs.

– Owszem, pod żadnym względem nie jest taki jak my, kochanie. Ale jeśli chce cię ustrzec przed spędzeniem wieczności w ogniu piekielnym, sugeruję, by zaczął udawać, że obraca się w naszych kręgach. Ten tydzień i tak będzie spokojny. Dopiero się rozkręcamy...

Unoszę rękę, by ją uciszyć.

– Posłuchaj. Dorastał w śródmieściu, wychowywany tylko przez matkę, która urabiała sobie ręce po łokcie. I teraz, i wtedy jego życie nie mogło się bardziej różnić od naszego. I nie zmieni tego faktu żadna nowa garderoba czy usilne granie jakiejś roli.

Mama obraca w palcach cienki rysik, po czym wymierza go we mnie.

– To mi się podoba. Przystojny intelektualista ze skromnego domu zakochuje się w swojej sławnej studentce. Zupełnie jak Kopciuszek, tylko na odwrót. To się da pociągnąć. – Robi kolejną notatkę w telefonie. – Postawimy na dyskretną elegancję.

Wzdycham z irytacją i spoglądam na Kell, szukając u niej wsparcia. Jak zwykle wzrusza tylko ramionami z rezygnacją. Może moja siostra ma rację: nie jest taka jak ja. Zupełnie. Ale nie mam pojęcia, co to o nas obu mówi. Ja nigdy nie mogłam znaleźć sobie miejsca w świecie

celebrytów i ostentacyjnego zbytku, a ona zawsze czuła się w nim jak ryba w wodzie. A przynajmniej w akwarium. Teraz żałuję, że ta jej cecha nie może mi się udzielić w drodze osmozy, choćby na kilka tygodni. Byle przetrwać nadchodzącą burzę.

– *À propos* skromnego domu, powinnaś zrobić parę ustawek pod jego mieszkaniem.

Usłyszawszy ostatni pomysł mojej rodzicielki, rozdziawiam usta.

– I koniecznie wybierz na tę okazję coś vintage’owego. Ostatnio zrównoważona moda jest na topie. Paparazzi umrą z zachwyty. A! – Gdy układa usta w pierwszą samogłoskę alfabetu, jej ciemne oczy się rozjaśniają. – W który dzień tygodnia przypada targ rolny przy Pershing Square?

– Chyba w środę – odpowiada znudzonym, monotonnym głosem Kell.

– Doskonale. Idealna pokazówka w środku tygodnia. I taka... swojska. To powinno rozwiać resztki wątpliwości. Wypad na wspólne zakupy na ryneczku to prawie jak ślub.

Przyciskam opuszki palców do pulsujących skroni, modląc się o cierpliwość.

Kell, patrząc na mnie łagodnie i ze współczuciem, klepie dłonią poduszkę obok siebie. Korzystam z zaproszenia i kładę na niej głowę. Gapię się w sufit i udaję, że słucham paplania mamy o jej planach na resztę mojego tygodnia.

Powtarzam sobie, że wbrew pozorom ma serce na właściwym miejscu. Jest bez reszty skupiona na zapewnieniu mi bezpieczeństwa i robi to najlepiej, jak potrafi. Tym razem modlę się w duchu, by Maximus przetrwał jakoś medialny szum, którego sama przez lata unikałam jak ognia. Ja już się nauczyłam obchodzić z tymi zapałkami, ale dla niego to będzie całkiem nowy świat. Strasznie się boję, co sobie pomyśli. Jak zareaguje.

I czy zostanie.

– Z sobotą może być mały problem...

Słyszac wahanie w głosie mamy, przenoszę na nią wzrok.

– Aż się boję zapytać dlaczego.

Krzyżuje ręce na piersi i zerka na Kell.

– Władze uniwersyteckie organizują uroczystą galę...

– Znowu? – Odchylam głowę, nie kryjąc osłupienia. Dopiero co pozdejmowali dekoracje po Conquistador Crush.

– Ta jest mniejsza i poza kampusem – wyjaśnia mama. – Kolacja w zamkniętym gronie organizowana przez panią rektor w jej rezydencji, która podobno jest wyjątkowo piękna. Zbierają fundusze na centrum sztuk plastycznych. To będzie finał waszego debiutu jako pary. Oczywiście ja też tam będę, więc pojawi się prasa. Nasza wspólna obecność będzie stanowiła dowód nie tylko mojej aprobaty dla waszego związku, ale i przyzwolenia władz uniwersytetu.

Milczę przez dłuższą chwilę. Choć z początku byłam przeciwna temu pomysłowi, cieszę się, że kiedy cały ten cyrk się skończy, Maximus będzie miał czystą kartę na uczelni.

Wykonam każdą sztuczkę, której chce treser, byle tylko przywrócić mu dobre imię.

– W sumie do przełknięcia – przyznaję w końcu. – To gdzie jest haczyk?

– Arden też tam będzie – odpowiada mama, ściskając w zębach czubek rysika.

Wiem, że to nie z mojego powodu się denerwuje. Owszem, chodzi o Ardena i wszystko, co musiała zrobić, by go obłąskawić. Podsunięcie mu mojej siostry powinno wystarczyć, choć na pewno tak nie jest. Na samą myśl o poświęceniu Kell znów ogarnia mnie wściekłość.

Siadam prosto.

– Nie.

Mama przechyla głowę.

– Kara...

– Naprawdę myślisz, że spotkanie Ardena i Maximusa dobrze się skończy?

– No cóż, Arden jest wściekły, co zresztą zrozumiałe. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce będziemy rodziną, więc im szybciej oderwiemy ten plaster, tym mniej będzie bolało. A poza tym odrobina dramatu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wyobraź to sobie tylko: znany marszand i wykładowca uniwersytecki biją się o Karę Valari. – Uśmiecha się złośliwie. – Notowania Kell w mediach społecznościowych poszybowałyby w górę. Bosko! – Wzdycha z zadowoleniem i wrzuca telefon z powrotem do torebki. – Jeśli coś takiego nie odwróci uwagi bogów, to już nie mam pomysłu.

– Dzięki, mamu – rzuca Kell z wymuszonym uśmiechem.

Stukając obcasami na marmurowej podłodze, nasza matka podchodzi do niej i nachyla się, by pocałować ją w policzek.

– Nie ma za co, kochanie. Jesteśmy w kontakcie. – Prostuje się i celuje we mnie palcem. – A ty zacznij odbierać telefon, młoda damo. Przed nami pracowity tydzień. Nie mogę cię ciągle ścigać.

Kiwam w milczeniu głową – po dzisiejszym poranku chyba tylko na tyle mnie stać. Przynajmniej w tym czarnym tunelu pojawiło się światełko nadziei, choć niestety kosztem Kell. Ona znalazła się w najgorszym położeniu. Nie mogę przestać myśleć o tym, co ją czeka. Czuję się jak zając, który wymknąwszy się wilkowi, odwraca się i widzi, że bestia zatopiła kły w kimś, kto jest mu drogi.

Muszę zatamować jej krwawienie. Mimo że sama czuję się bezradna.

Odwróciwszy się, staję jak wryta. Moja siostra zdążyła się już zagłębić w świat mediów społecznościowych i właśnie przegląda aktualności w telefonie.

– Hej... – zagajam cicho, nieśmiało.

– Hmm? – mruczy pytająco, wciąż nieobecna myślami. Albo przynajmniej taką udaje.

– Wszystko w porządku?

– Tak, a co?

Przekrzywiam głowę.

– Kell... Mamu już nie ma. Możesz przestać grać.

Wreszcie podnosi wzrok.

– Wszystko w porządku, okej? Wiedziałyśmy, co nas czeka.

– Ale nie z Ardenem.

– Kara...

– To moja wina.

– Kara.

– Masz pełne prawo się na mnie wściekać. – Na sekundę przerywam, zastanawiając się, na ile mogę przed nią odkryć plan kielkujący w mojej głowie. – Musimy cię jakoś z tego wymiksować.

Śmieje się z ironią, a może nawet z goryczą.

– Przystopuj, okej? Obu nam nie odpuszczają. I wątpię, by Zeus miał więcej synów w Los Angeles, ale jeśli jakiegось znajdziesz, to daj mi znać. Z miłą chęcią go uwiodę, żeby się z tego wykrcić.

– Nie uwiodłam Maximusa.

Od razu żałuję swojego obronnego tonu. Ostatnio mam problemy z utrzymaniem czegokolwiek w tajemnicy. Zwłaszcza przed Kell. Pierwszy raz w życiu prawie czuję, że mogłabym się jej zwierzyć ze wszystkiego. Prawie.

I dlatego wciąż zachowuję niektóre myśli dla siebie. Te ukryte najgłębiej, w najmroczniejszych zakamarkach umysłu.

„Czyżbym naprawdę uwiodła Maximusa?”

Może. Ale tylko odrobinę...

Kell wzdycha ze zmęczeniem, wędrując palcami po lamówce sofy.

– Nieważne. To przecież nie ma znaczenia, prawda? Od razu widać, że jest w tobie szaleńczo zakochany. A poza tym wątpię, by udało mi się tak szybko wykręcić podobny numer.

To zamyka mi usta, bo przyznanie na głos, że może mieć rację, wydaje się przerażające samo w sobie. Przez całe życie byłam przekonana, że nie jest mi pisana miłość. Gdybym była zmuszona sypiać z Ardenem i urodzić mu dzieci, jestem pewna, że nie miałyby to nic wspólnego z miłością. Może moja matka właśnie dlatego się od niej odżegnuje. Nie ma w niej ani krzty czułości, tylko nagi instynkt.

Teraz zaczynam myśleć, że z Maximusem to możliwe. W tamtych chwilach uniesienia w jego łóżku, gdy szeptaliśmy sobie obietnice i słowa uwielbienia, niemal uwierzyłam, że nasza więź może być miłością.

Skoro grozi mi utrata życia, powinno być mi łatwiej wyznać wszystko, co do niego czuję, ale nie potrafię powiedzieć tego na głos ani nawet zrobić bilansu uczuć. Nasze jutro jest takie niepewne... Co, jeśli moja miłość do niego jest po prostu aktem egoizmu? Co, jeśli dopiero to wyznanie wzbudzi w nim uczucia? Albo, co gorsza, on tego wyznania nie odwzajemni?

Jedna odpowiedź wydaje się logiczna: jest na to za wcześnie, a my z marszu rzuciliśmy się w szaleńczy wir namiętności i ryzyka, nie mogąc się sobą nasycić.

Ale czy zdecydowałabym się na to z innego powodu niż miłość? Gdybym go nie kochała, czy posunęłabym się tak daleko? A on?

– Jaki on jest?

Pytanie Kell wrywa mnie z zamyślenia i kilkakrotnie mrugam, żeby wrócić do rzeczywistości.

– Maximus?

– Nie, głuptasie, Arden. Spotkaliśmy się na uczelnianym balu charytatywnym, ale tylko przelotnie. Nie mam pojęcia, jaki on jest, a dziś jesteśmy umówieni na kolację, więc chciałabym się dowiedzieć, w co się pakuję.

Zaciskam szczęki, powstrzymując nienawistne słowa, które cisną mi się na usta. Nie zostawię Kell na pastwę Ardena, ale skoro już się pogodziła z losem, może odmalowywanie go w najczarniejszych barwach nie jest najlepszym posunięciem. Gorączkowo myślę nad jego zaletami. Choćby jedną zaletą.

– Jest miły dla oka.

Kell szczyrzy się do mnie.

– Tyle zauważyłam.

– No dobra... temu człowiekowi nie można ufać.

Moja siostra ściąga ciemne brwi.

– Pod jakim względem?

„Każdym”.

To mówię w duchu, a na głos formułuję bardziej dyplomatyczną odpowiedź.

– Jest inteligentny. Niebezpiecznie inteligentny i niebezpiecznie spostrzegawczy. Naprawdę myślę, że nie da się go przechytryć, więc musisz o tym pamiętać. Wszystko jest dla niego grą strategiczną. Nawet się nie zorientujesz, że bierzesz udział w subtelnych negocjacjach albo walce o dominację.

Co dziwne, Kell się rozluźnia.

– Okej. To... interesujące.

– I wie, kiedy się kłamie.

Unosi z zaciekawieniem brew.

– Naprawdę?
– Ty wyczuwasz emocje, a on najwidoczniej ma wbudowany wykrywacz kłamstw czy coś w ten deseń. Ale jest tak wyrachowany, że nie daje tego po sobie poznać. Dopóki nie powiedział mi, co tu tak naprawdę robi, ani razu nie wytknął mi kłamstwa.

– A przybył tu po ciebie...

Kiwam głową.

– Po mnie.

– Wiem, że czujesz do niego wstręt, ale przecież musiało być w tobie coś, co go szczerze zaintrygowało.

– Zapewniam, że nie zachowywałam się prowokacyjnie.

– To co takiego zrobiłaś?

Wzruszam ramionami.

– Nic. Po prostu... byłam sobą.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Kell chce wiedzieć, co go kręci. Może rzeczywiście powinnam dać jej to, o co prosi.

– Tak między nami, Arden uważa, że nasza matka jest banalna i płytką.

Kell się krzywi.

– Bo jest. Nie trzeba być geniuszem, żeby to zauważyć.

– Odnoszę wrażenie, że jako marszand wykorzystuje jej kiepski gust i daleko mu do zachwyków. Cały ten pomysł z kolekcją sztuki był dla niego jednym wielkim żartem – mówię. – Proszę cię tylko, żebyś o tym pamiętała, bez względu na to, czy chcesz go do siebie przekonać, czy zrazić – dodaję, ostrożnie dobierając słowa.

Przez dłuższą chwilę patrzy na mnie w milczeniu.

– Czyli jeśli będę udawać głupią, od razu mnie przejrzy.

– Dokładnie tak. – Tej odpowiedzi udzielam bez wahania.

– I zapała do mnie odrazą.

– Albo gorzej. – Tej również.

Kell wciąga powietrze. Czuję ulgę, że wreszcie zaczyna brać na serio inkuba, za którego ma wyjść. Mam nadzieję, że się dogadają, ale odrobina zdrowego respektu dla dominującej natury Ardena na dłuższą metę się przysłuży mojej upartej siostrze.

– Kell, posłuchaj – mówię po chwili – po prostu nie chcę, żebyś cierpiała. A jeśli Arden jest tak wkurzony, jak twierdzi mama...

– Poradzę sobie z nim.

– To dobrze – mówię, choć w duchu modlę się ze wszystkich sił, by naprawdę tak było. Boję się, że będzie inaczej. Bardziej niż tego, że mnie znienawidzi, bo sprowadziłam na nią tę klątwę przedwcześnie, gdy wciąż nie jest gotowa porzucić swojego dotychczasowego życia i służyć bezwzględnemu demonowi z jego dzikimi zachciankami.

Jej wyprostowana sylwetka i pewność, z jaką to mówi, ostatecznie mnie uspokajają.

Rozdział 5

Maximus

– Piwo. Znakomity pomysł.

Zjeżdżając z autostrady tuż przed San Buenaventura Beach, nakazuję sobie zignorować ciepło, które rozlewa mi się w piersi po komplementach ojca.

– Znam superlokal – mówię.

– Świetnie. Ja też.

– Ale mój jest nad samą wodą.

– Cóż za zbieg okoliczności. – W ramach przerywnika pstryka palcami. – Mój też.

Nagle szosa wzdłuż plaży znika mi sprzed oczu, a moja furgonetka stoi zaparkowana na piasku. Nie mam pojęcia, co to za plaża. Wszystko wygląda dziwnie. Nie ma stanowisk ratowników, pryszniców dla surferów ani budek z przekąskami, po których mógłbym się zorientować, gdzie jestem.

Jest tylko... bar, dokładnie tak, jak obiecywał. Tyle że zupełnie niepodobny do żadnej znanej mi miejscowej knajpy.

Co prawda nie jestem znawcą najmodniejszych południowokalifornijskich lokali – to domena Jessego – ale na pewno bym o nim słyszał od mojego przyjaciela. Pierwsze, co rzuca się w oczy, to elegancka, nowoczesna bryła budynku utrzymana w neutralnej tonacji i ozdobiona drewnianymi akcentami. W skrzyniach rosną zadbane tropikalne kwiaty, a cień zapewnia kilkanaście gatunków palm. Na piasek wychodzi otwarty taras.

Wnętrze przedstawia się zgoła inaczej. Można je porównać do zaskakująco pięknej krzyżówki Partenonu, Atlantydy i Las Vegas. Luksusowe kącki wypoczynkowe są otoczone greckimi kolumnami, a złożony bar owija się wokół ogromnej tuby wielobarwnego ognia. Za salą główną znajduje się szerokie patio, a w nim gigantyczne akwarium z morską wodą, w którym pływają delfiny i egzotyczne rybki.

Całość po prostu przekracza ludzkie pojęcie i po raz pierwszy się cieszę, że nie jestem zwyczajnym śmiertelnikiem.

Gdy wchodzimy do głównej części wypoczynkowej, na tafli oceanu tańczą promienie październikowego słońca jaśniejącego na niebie dokładnie tam, gdzie je zostawiliśmy. W środku nie ma tłumów. Gdy zierzamy do baru, przyglądają nam się chyba wszyscy goście. Siadamy, a chwilę później podchodzi barman.

– Wasza królewska mość – mówi, uśmiechając się promiennie znad złocistobiałej brody. Długie włosy, a także słońca, księżycy i gwiazdy wytatuowane na jego smagłych rękach są tej samej niecodziennej barwy. – Stęskniony Labirynt wita z powrotem.

– Honey, znasz zasady. – Z. zdejmuje kapelusz, uwalniając własną gęstą grzywę. – Daruj sobie tę „królewską mość”, jeśli ci życie miłe.

Barman unosi krzaczastą blond brew.

– Tak jest. Nie chciałbym zostać ośmieszony przy moim nowym kliencie. – Przenosi wzrok na mnie, przyglądając mi się z nieskrywaną ciekawością. – Jestem Honey. Czego się napijesz, kolego?

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć.

– Honey?

Odpowiedź poprzedza wybuch gromkiego śmiechu właściciela tego osobliwego imienia.

– Honey Bacchus. Od trzech tysięcy lat właściciel tego pięknego przybytku. – Podaje mi rękę. – A ty to...?

– Nieważne. – Przerwywnik Z. to polecenie osłodzone uprzejmością, choć z pewnością jest świadom, że Honey już się domyśla prawdy. – Poprosimy dwa kufle Zemsty Meduzy.

Honey kłania się lekko i odchodzi, by nalać nam piwa, a ja usiłuję poskładać myśli. Obecnie mam problem, by objąć rozumem najbardziej podstawowe koncepty, takie jak czas i przestrzeń.

Doświadczyłem w życiu paru szalonych dni, ale to było nic w porównaniu z ostatnią dobą. Szalę przeważyl nasz mały wypad do tego baru nad barami.

– Co to za miejsce? Jakaś knajpa dla bogów?

Z. uśmiecha się półgębkiem.

– Coś w tym stylu.

Honey przynosi nam piwo, a ja mam cichą nadzieję, że wonny pszeniczny napitek ukoi wreszcie moje skołatane nerwy. Nie mam jednak wobec niego zbyt wygórowanych oczekiwań, a to dlatego, że nigdy w życiu nie udało mi się wstawić. Słowo „podchmielony” zwyczajnie nie figuruje w moim słowniku. I wygląda na to, że teraz mogę z niego wykreślić także „tylko człowieka” i „zwykłego śmiertelnika”.

Czy nadal mogę tak o sobie mówić? Że jestem człowiekiem? Śmiertelnikiem?

Czy kiedykolwiek nim byłem?

Najbardziej wiarygodnej odpowiedzi na te pytania może mi udzielić osoba, która siedzi obok mnie przy barze, krzywiąc się na swoje piwo.

– Coś nie tak? – pytam pod nosem.

– Nie chcę wyjść na kapryśnego boga, ale w innych okolicznościach zamówiłbym specjalny nektar Honeya spod lady.

– To czemu nie zamówiłeś?

Pociera o siebie opuszki palców, strzelając iskierkami, ale natychmiast przerywa.

– Jak powiedziałem: w innych okolicznościach. Następnym razem, obiecuję. Bo jak rozumiem, chcesz zapamiętać naszą dzisiejszą rozmowę.

Prycham cicho. To nie wybuch śmiechu, ale wystarczy, by zademonstrować pełnię wiary w moją mocną głowę.

– Byłoby miło, biorąc pod uwagę wszystkie szokujące informacje, które zaserwowałeś mi w aucie tytułem wstępu.

Z. odsuwa od siebie kufel, opiera łokcie na pustym barze i splata dłonie. Widać, że władcze pozy to jego druga natura, zupełnie jakby szlifował je przez tysiąclecia.

– Może zacznijmy od tego, co już wiesz.

– Czyli od zera. – Imituję jego pozę, obejmując kufel.

Milczy przez kilka sekund, ale nie sprawia wrażenia zaskoczonego, co z kolei nie jest żadnym zaskoczeniem dla mnie.

– Czy matka kiedykolwiek ci o mnie opowiadała?

– Twierdzi, że poznaliście się w Egipcie, kiedy przebywała tam z misją humanitarną, a zorientowała się, że jest w ciąży, już po tym, jak wasze drogi się rozeszły i nigdy więcej się nie spotkaliście.

Z. wydaje z siebie aprobujące chrząknięcie.

– Prawie wszystko się zgadza.

– Prawie? Okej... który fragment?

Brzmi to bardziej jak żądanie niż pytanie, ale nie mam głowy do przeprosin. To napięcie jest niemal nie do wytrzymania. Trudno mi przełknąć fakt, że mama przez dziesięć lat mnie okłamywała, i jestem spragniony szczegółów, o których nigdy nie chciała mówić. Z. zna je wszystkie.

Moje pochodzenie. Prawdę o mnie.

Moją tożsamość.

– Rzeczywiście poznaliśmy się w Egipcie. – W zamyśleniu wyciąga rękę, by zetrzeć rosę z kufła. – To była jedna z tych chwil, w których czas niemal staje w miejscu. Taka, która na zawsze odciska się na duszy.

Zerka na mnie, jakby chciał zobaczyć, czy mam go za wariata. Nie mam. Dobrze znam to uczucie, bo tego samego doświadczyłem, gdy po raz pierwszy dotknąłem Kary.

Nie chcąc mu przerywać, w milczeniu kiwam głową z niemą prośbą, by mówił dalej.

– Kilka dni wcześniej przyleciała do Kairu i po raz pierwszy wyszła z hotelu. Nasze ścieżki skrzyżowały się na bazarze. Ja jak to ja, gdy tylko ją ujrzałem, zaprosiłem ją na drinka. Była nieśmiała, ale się zgodziła. – Mruga, uśmiechając się szelmowsko. – Potrafię być bardzo czarujący.

– Podobno. – Przetykam kolejny haust piwa, przygotowując się psychicznie do zatarcia w pamięci fragmentu pod tytułem „jak uwiodłem twoją matkę”, gdy tylko skończy opowiadać.

– Jedna butelka Cru des Ptoleemes zamieniła się w dwie – ciągnie. – Drugą wypiliśmy po zmroku w parku. W ogrodach panowała niezmacona cisza. Niebo było bezchmurne. W powietrzu pachniało jaśminem. Przegadaliśmy całą noc. – Wypuszcza cicho powietrze. – No... prawie całą.

Dopijam piwo z nadzieją, że daruje mi resztę szczegółów mojego poczęcia.

– I... to wszystko? – pytam, gdy po trzech sekundach znaczącego milczenia wciąż się nie odzywa. – Jedna namiętna noc i się zmyłeś?

Marszczy brwi.

– Postanowiłeś mieć o mnie jak najgorsze mniemanie, co?

Parskam ironicznym śmiechem.

– Usiłuję tylko ułożyć to sobie w całość, Z. W sekundę wszelki ślad po tobie zagaął.

Bruzda między jego brwiami się pogłębia.

– Wyobrażam sobie, jak to wygląda z zewnątrz.

– Żebyś wiedział, że z zewnątrz. – Nie mam pojęcia, jak udaje mi się zachować spokój.

Byłem „na zewnątrz” tej opowieści, odkąd pamiętam.

Z. w końcu podejmuje przerwany wątek.

– Parę dni później pojawiły się jakieś poważne problemy związane z bezpieczeństwem jej zespołu, więc władze przeniosły go w inne miejsce.

– Powiedziała ci o tym?

– Naturalnie. – Raz po raz patrzy mi w oczy, prawie nie mrugając. – Nie mogliśmy się od siebie oderwać – dodaje chrapliwym szeptem. – Nie namyślając się ani chwili, pojechałem za nią do Aleksandrii, ale gdy już się upewniłem, że jest bezpieczna, musiałem wracać do domu, bo miałem pewne sprawy do załatwienia.

– Do domu – powtarzam za nim. – Na Olimp?

– Tak.

– Załatwić „pewne sprawy”? – pytam lakonicznie.

– Tak. – Jego odpowiedź jest jeszcze bardziej lakoniczna.

– Jakie?

Zaciska usta.

– Teraz to nieważne. Ale próbowałem wrócić do twojej matki. Chcę, żebyś o tym

wiedział. Gdy wreszcie udało mi się wyrwać, Nancy już opuściła misję. Jak mówiłem, wszystko stało się tak szybko... Spędziła w Egipcie raptem miesiąc.

Znowu ta znacząca cisza. Aż dziw, że jesteśmy w ukrytym przed wzrokiem śmiertelników barze, a nie zbudowanym przez człowieka kościele. Ale abstrahując od tego porównania, jestem skłonny mu uwierzyć. Jak na razie relacja Z. nie różni się zbyt od opowieści mamy.

Nagle przypominam sobie jego wcześniejsze słowa i znowu głupieję.

– Powiedziałeś, że jej wersja jest prawie zgodna z prawdą – przypominam mu.

– W istocie.

– Więc gdzie ta rozbieżność?

– Powiedziała ci, że nigdy więcej się nie spotkaliśmy.

I tak wracamy do punktu wyjścia, do oświecenia sprzed kilku chwil. Dlaczego nie pamiętam nic a nic sprzed Los Angeles.

– Niech zgadnę – zaczynam. – Przemilczała nasz ośmioletni pobyt na Olimpie. Zapewniam, że to dla mnie nowość.

Z. składa dłonie w piramidkę zamyślony.

– W pewnym sensie rozumiem, czemu to przed tobą zataiła. Niełatwo wytłumaczyć coś takiego małemu chłopcu, zwłaszcza że wygląda na to, że wymazano ci wspomnienia z tamtego okresu bądź założono na nie jakąś blokadę. Ale gdyby została, nie byłoby czego tłumaczyć.

– Dlaczego odeszła?

Z. unosi brwi.

– Chciałbym ją zapytać o to samo.

Czuję rosnące napięcie. Wszędzie. W barkach. W podbrzuszu. Patrzę na kufel, który ściskam w rękę, i mam ochotę go zgnieść. Ale za bardzo potrzebuję płynu. Z tych całych nerwów zaschło mi w gardle. Myśl o zaaranżowaniu spotkania mamy z Z. jest niepokojąca, ale i osobliwie intrygująca.

– Chciałbyś się z nią znowu zobaczyć?

Jego wyraz twarzy dziwnie się zmienia, a tęczęwki wyostrzają.

– Czemu miałbym nie chcieć?

– Chyba nie układało się między wami najlepiej, skoro uciekła przed tobą z Olimpu pod przysłowiową osłoną nocy.

– A kto powiedział, że uciekła przede mną? – Mruży oczy, jakby się bał, że trafiłem w sedno.

– No tak, nikt. – Znowu spuszczam wzrok, zastanawiając się, czemu właśnie to wytłumaczenie przyszło mi do głowy jako pierwsze. Ale to zbyt złożona kwestia, która musi poczekać.

Dopijam piwo i wzdycham ze zmęczenia. Siedzimy tu niespełna godzinę, a ja już się czuję kompletnie wyprany. Kto by przypuszczał, że wypełnianie luk w przeszłości będzie tak skomplikowane i... wyczerpujące? Z drugiej strony mojego dzieciństwa raczej nie można nazwać zwyczajnym.

– Przynajmniej będzie musiała się wreszcie przyznać – mówię. – Nam obu.

– Być może twoja matka nie jest już tamtą autentycznie szczerą kobietą, w której się zakochałem – odpowiada Z. – Ale możliwe, że istnieje inne wyjaśnienie.

– Na przykład jakie?

– Mój brat.

Krzywię się.

– Posejdon?

Wzdycha ze spokojem.

– Wygląda na to, że wbił swój trójząb w moje sprawy głębiej, niż przypuszczałem. Nie mogę obarczyć winą wyłącznie jej, choć cię wykradła.

– Czemu Posejdon miałby się w to mieszać?

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć. – Dopija piwo, patrząc gniewnie na fale rozbijające się głośno o brzeg.

– Myślę, że mama kogoś kryje – mówię bez ogródek. – Ale nie dlatego, że chce, tylko że jest zmuszona. – Krzywię się, zdając sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi. – Jakby się... bała.

Mam wielką nadzieję, że to nie Z. się boi. Mój niepokój rośnie, gdy oczy mu ciemnieją, a sylwetka nieruchomieje.

– Jeśli ktoś ją zastraszył – mówi cicho i powoli – możesz być pewny, że prędzej niż później się dowiem kto. Co się stało, to się nie odstanie, ale teraz, gdy wreszcie cię odnalazłem, nikomu nie pozwolę znowu cię sobie odebrać. Straciliśmy już dość czasu.

Przez dłuższą chwilę siedzę równie nieruchomo, co on. Ileż to razy fantazjowałem o tej chwili, wyobrażając sobie wszechogarniającą ojcowską dumę i opiekuńczość? Rzeczywistość okazała się równie piękna, co marzenie – z tym że jest tysiąc razy bardziej niezręcznie.

Z. chyba się domyśla, dlaczego milczę. Nachyla się z oczami płonącymi błękitnym ogniem i ani drgnie.

– Bez względu na to, co mówi twoja matka, bez względu na to, co ci powiedziała, a czego nie, jesteś moim synem. Nic nie jest w stanie tego zmienić. Znam cię. Lepiej od jakiegokolwiek śmiertelnika.

Jego deklaracja – i jej implikacje – uderzają mnie mocniej niż cokolwiek wcześniej.

Naprawdę jestem jego potomkiem.

Jego synem półbogiem.

To zdanie odbija się echem w mojej głowie, przemieniając tę chwilę w coś surrealistycznego. Czuję, jak końcówki moich nerwów skwierczą. Równowaga staje się moim wrogiem. Usiłuję się skupić na czymś innym, żeby tylko o tym nie myśleć. Na wietrze hulającym na tarasie za oknem. Na rytmie fal rozbijających się o brzeg. Na rytmie mojego serca...

Wyrwywającego się do jednej osoby.

Tej, której potrzebuję najbardziej.

I na jedynej istocie we wszechświecie, która w całej swojej na wpół demonicznej doskonałości jako jedyna jest teraz w stanie przywrócić mi człowieczeństwo.

Bez względu na to, co było, bez względu na to, jak niewiarygodną, niesamowitą i tragiczną mam przeszłość, Kara jest przyszłością. Moją przyszłością. To ona wszystko uwolniła. To ona przemieniła moje przekleństwo w coś, z czym mogę żyć. W coś, co mogę zaakceptować.

Mam do Z. dużo więcej pytań, ale coś mi mówi, że nie będzie trudno go znaleźć.

– Powinniśmy już wracać – stwierdzam.

Wzdycha głośno.

– Dobry pomysł. Mam przecucie, że Veronica Valari ma ambitne plany względem nadchodzącego tygodnia.

Tłumię jęk. Ledwie.

– Już nie mogę się doczekać.

Z. uśmiecha się od ucha do ucha.

– Jeśli za tę cenę kupisz życie ze swoją małą diablicą, to chyba warto się przemęczyć, nieprawdaż?

Kiwam bez zastanowienia głową. To się rozumie samo przez się. Zrobię wszystko, by

Kara była bezpieczna. By spędzić z nią więcej czasu. Całe życie... Na tę myśl zapiera mi dech w piersi, aż boli – ale to przyjemny ból. Nie muszę się zastanawiać, czy tego pragnę. Po prostu to wiem, tak jak wiem, że zbiera się na deszcz. I że bez niej nie jestem w pełni sobą. Tak jak od naszego pierwszego dotyku wiedziałem, że zmieni mnie na zawsze.

Rozdział 6

Kara

– Gdzieś ty był?

Krzywię się, gdy tylko te słowa wychodzą z moich ust. Pobrzmiwiają w nich niemoc, desperacja i panika, które, owszem, są moim udziałem, ale to nie powód, by wyżywać się na Maximusie. Niczym sobie nie zasłużył na takie wymówki.

Staje jak wryty w progu, z tyłu oświetlają go promienienie popołudniowego słońca. Ma zmęczone oczy i zmierzwiłone, rozwiane włosy. Pachnie oceanem, co jeszcze bardziej rozbudza moją ciekawość. Ulga, że wreszcie wrócił, pozwala mi na chwilę zapomnieć o zmartwieniach.

W końcu zamyka za sobą drzwi i wchodzi do środka.

– Przecież wiesz, że byłem z Z.

Podchodzi bliżej i wyczuwam jego zmęczenie, które w pierwszej chwili łączy się z moim, przytłaczając mnie swoim ciężarem. Niech ten koszmary dzień wreszcie się skończy. Zakręcam kosmyk włosów na palcu i mocno zaciskam, żałując, że nie mogę cofnąć czasu o jakieś pół minuty, by zaserwować mu miłsze powitanie. Ale już za późno.

– Długo cię nie było. Martwiłam się i...

Zanim mam szansę opowiedzieć mu o młynie, jaki tu zapanował, gdy rano moja matka oznajmiła, iż przejmuje kontrolę nad naszym życiem, z pokoju gościnnego wyłania się Nathalie, jedna z jej asystentek. Na widok Maximusa zaświecają jej się oczy.

– O, jesteś, super. W samą porę, stylistka właśnie skończyła kompletować twoją nową garderobę.

Maximus mruga w zwolnionym tempie.

– Stylistka... a po co?

– Tylko na dzisiejszą elegancką kolację – tłumaczę pośpiesznie. – I parę innych wyjść, które mama zaplanowała nam na ten tydzień.

– Okej – mówi równie powoli, wciąż lekko oszołomiony. – To gdzie idziemy na tę kolację? Obowiązuje smoking i mucha?

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu...

– W takim razie co jest nie tak z moim strojem? – Machnięciem ręki pokazuje na swój ubiór, choć mój wyglądniały wzrok nie potrzebuje zachęty, by wędrować po jego ciele.

Kell się nie pomyliła. Ani o jotę. Maximus Kane, mój olśniewający półbóg, we wszystkim wygląda nieziemsko. Elegancki podkoszulek i sprane džinsy podkreślają jego boski tułów w kształcie litery V i długie, kształtne nogi. Niemniej jego nadmorski look zdecydowanie nie wpasowuje się w definicję niedbalej elegancji według mojej matki. Już słyszę jej utyskiwania, a to tylko przedsmak awantury, jaką zrobi nam jutro rano, jeśli dziś zaliczymy modową wpadkę.

– Nic – odpowiadam piskliwym, spiętym głosem zdradzającym kłamstewko. – Po prostu zrób to dla mnie, dobrze?

Biorę go za rękę i prowadzę do pokoju gościnnego, ale zanim mam szansę złożyć obszerniejsze wyjaśnienia, Nathalie ciągnie go do stylistki, która właśnie przegląda kolekcję ubrań na wieszaku.

Patrzę na zegarek.

– Mamy dziesięć minut do przyjazdu auta.
Maximus odwraca się do mnie z osłupieniem.

– Auta?

– Pomyślałam sobie, że przyda nam się dziś szofer. – Zmuszam się do uśmiechu z nadzieją, że wygląda na szczerą.

– Możemy pojechać moją furgonetką...

– Nie trzeba. Wierz mi, tak będzie wygodniej.

– Czemu?

W jego głosie pobrzmiwa kąśliwa nuta. Bystrzacha. Między innymi dlatego tak szybko się w nim zakochałam. I dokładnie z tego samego powodu moje podenerwowanie rośnie – wraz z jego irytacją. Zaczyna wszystko rozumieć. „Tylko kolacja” nie będzie „tylko kolacją”.

Ale nie ma czasu na wyjaśnienia. Nathalie i stylistka już wokół niego skaczą, poprawiając mu włosy i zdejmując miarę. Po raz pierwszy od rana mam na czym skupić uwagę i zapomnieć o stresie, niemniej korzystając z okazji, wymykam się, szczęśliwa, że oszczędzono mi dalszych niewygodnych pytań.

Znalazłszy torebkę w kuchni, piszę właśnie esemesa do szofera, gdy do salonu nieśpiesznym krokiem wchodzi Kell w swoich ulubionych szpilkach i zabójczo obcisłej kremowej sukience bez ramiączek. Szczeka mi opada.

– Tak się ubrałaś na spotkanie z Ardenem?

Kell uśmiecha się szelmowsko.

– Przecież nie mogę pozwolić, by pomyślał, że wciśnięto mu brzydkie kaczątko, prawda? Rozumiem ją, ale to mnie wcale nie uspokaja.

– Jesteś pewna, że to właściwa taktyka? Po tym wszystkim, co ci o nim powiedziałam?

– Nie, ale mówiłaś, że i tak mnie przejrzy. Więc pomyślałam sobie: dlaczego by nie podkreślić temperatury?

Odpowiadam na wpół kiwnięciem głowy, na wpół wzruszeniem ramion, zastanawiając się, o ile stopni będzie musiała ją podkreślić, żeby zbić Ardena z pantałyku i wyszarpać sobie odrobinę władzy w nowym związku.

Kto wie, może to właściwa strategia.

Opiera się biodrem o blat, przyglądając mi się badawczo.

– A ty? Jesteś pewna, że profesorek jest gotowy na burzę z piorunami?

Kręcę głową.

– Nie wiem nawet, czy sama jestem na nią gotowa. Ale to tylko tydzień. Tyle chyba wytrzymamy.

Patrzy na mnie pustym wzrokiem, a jej zwykle ekspresyjny nos nie zdradza żadnych emocji.

– Tydzień, hm?

– Tak. Tyle wystarczy...

Chyba że nie wystarczy. Chyba że odtąd tak będzie wyglądało nasze życie. Nasza codzienność.

Odgłos kroków odrywa mnie od tej wyjątkowo niepokojącej myśli. Gdy się odwracam, w drzwiach staje Maximus – mój dwumetrowy, niebezpiecznie przystojny półbóg w zupełnie nowym wydaniu. Eleganckie spodnie idealnie podkreślają jego muskularne uda, a jasnoszara koszulka z długim rękawem wygląda, jakby była utkana z westchnień aniołów.

Dobrze je rozumiem.

Sama bym powzdychała... gdyby została mi choć odrobina powietrza w płucach. I tlenu we krwi. I świadomości... poza świadomością jego porażającego piękna.

– Co? – mówi na widok moich rozdziawionych ust, jakbym wydała z siebie dźwięk. I staje się cud, bo udaje mi się wykrztusić słowo.

– Wow.

– Ooooo – szczebiocze Kell, przechodzi przez salon i okrąża go. – Teraz wyglądasz, jak trzeba. – Przesuwa palcem po ramionach jasnego wełnianego płaszcza, który na siebie narzucił.

Maximus przestępuje z nogi na nogę. Biją od niego tak silne fale rozdrażnienia i podenerwowania, że czuję je aż tutaj. Delikatne drganie nozdrzy Kell mówi mi, że i ona je wyłapuje.

– Kell – rzucam ostrzegawczo.

W odpowiedzi mruczy melodyjnie pod nosem.

– Miłego wieczoru, gołąbeczki – żegna się i znika w korytarzu.

Maximus wpatruje się we mnie z zaciśniętymi szczękami, jakby dla dobra sprawy raz po raz gryzł się w język. Powinnam go zapytać, jak było z Z., ale boję się, że wtedy nigdy stąd nie wyjdziemy.

Rozlega się dzwonek do drzwi, ratując mnie w samą porę. Zmuszam się do uśmiechu.

– To nasz sofer. Pora się zbierać.

Chwilę później wsiadamy do czarnego SUV-a i ruszamy. Z podniesioną przegrodą we wnętrzu panuje cisza i spokój, co jest miłą odmianą. Opieram się o zagłówek i ciężko wzdycham.

Gdy mkniemy Mulholland Drive w stronę Hollywood Heights, Maximus przeklina pod nosem, siłując się z płaszczem. Wreszcie rzuca go za siebie. Gdy się odwraca, nasze spojrzenia znowu się spotykają. Patrzy na mnie przepraszająco, jakby przyłapany w chwili szczerości.

– Zrobiło mi się gorąco – mówi, podwijając rękawy. – Poza tym w końcu to Los Angeles. Po co tu komu wełniany płaszcz?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu i chichotu, który wrywa mi się z piersi. Nareszcie upragniona chwila wesołości. Maximus odwzajemnia mój uśmiech i też się odpręża.

– Przepraszam – mówi, czule zamykając moją dłoń w swojej cieplej ręce. – Nie chcę niczego utrudniać, po prostu się nie spodziewałem, że będzie aż tak intensywnie.

– Wierz mi, ja też nie. I ja przepraszam. Nie chciałam tak na ciebie naskoczyć w progę. Przez cały dzień kręci mi się w głowie.

– Coś mi mówi, że gdy o świcie w twoich drzwiach staje Veronica Valari, należy się tego spodziewać.

Znowu wzdycham, tym razem z ulgą, że jest taki wyrozumiały.

– To prawda, ale dla ciebie to coś zupełnie nowego.

– Owszem, ale zrobię to, co muszę. – Odwraca moją dłoń i delikatnie całuje knykcie. – Jesteś warta o wiele więcej.

Czuję, jak tętno mi przyspiesza. A może na chwilę gubi rytm. Jedno z dwojga, ale to nieważne. Nie po raz pierwszy słyszę z jego ust to czułe, szczere zapewnienie. Tyle że teraz boleśnie przypomina mi, że nie na to się pisał, wchodząc ze mną w związek.

Pozostaje tylko przygotować go na resztę. Lepszego miejsca niż w zaciszu auta nie znajdę.

– Musisz wiedzieć, że to nie będzie zwykła kolacja.

Przyglądam mu się, próbując wy badać jego reakcję, ale zachowuje stoicki spokój, czekając, aż skończy.

– Chodzi o to, żeby się pokazać publicznie.

– To już wiem, moja piękna – zapewnia.

– Ale nie będzie jak wtedy w księgarni. Będą nas oglądać i fotografować ze wszystkich stron. O to w tym wszystkim chodzi. Inaczej moglibyśmy wejść tylnymi drzwiami.

Splata ze sobą nasze dłonie, pieszcząc kciukiem grzbiet mojej.

– W porządku. Dam sobie radę.

Mam taką nadzieję. Mam nadzieję, że gdy tylko wysiądzie z auta przed Yamashiro's, nie pożałuje tego całego planu. Ani związku ze mną i chaosu, jaki wniosłam do jego życia.

Ściąga brwi, jakby wiedział, co mnie dręczy.

– Karo, posłuchaj. Nieważne, jaki cyrk zaplanowała nam twoja matka. Na pewno wystawi mnie na próby, o jakich mi się nawet nie śniło, ale to nic. Muszę tylko wiedzieć, że bez względu na teatrzyk przed kamerami nic się między nami nie zmieni.

– Obiecuję. Przy mnie nie musisz niczego udawać. Tak naprawdę chodzi tylko o to, żeby wszyscy zobaczyli, że... – Przerywam, udając, że łapię równowagę, gdy kierowca wjeżdża na strome wzgórze. Wszyscy muszą uwierzyć, że jesteśmy w sobie zakochani, ale jeszcze nie jestem gotowa, by wypowiedzieć te słowa na głos. Biorę głęboki oddech, by się uspokoić. – Musimy tylko pokazać, że jesteśmy w związku, to wszystko. Wciąż jesteśmy sobą, po prostu w innych ciuchach prezentujemy się publicznie w strategicznych miejscach w asyście szofera, który będzie nas prowadził przez tłum fotoreporterów. Ale pod tą całą fasadą – biorę kolejny głęboki oddech, po części na uspokojenie – to wciąż tylko ty i ja, Maximusie.

– I płaszcz. – Mruga do mnie, nie kryjąc dumy ze swojego rozbijającego uroku, i rzuca sobie rzeczony płaszcz na kolana. – Nie zapominajmy o naszym modnym piątym kole u wozu.

Zaczynam chichotać, gdy szofer zwalnia i skręca na wzniesienie, na którym mieści się restauracja, śmiech jednak szybko zamiera mi na ustach, bo naturalnie nie tracę okazji, by popatrzeć, jak mój piękny mężczyzna zarzuca na siebie to luksusowe, choć grube okrycie.

Auto zwalnia przed ostatnim ostrym zakrętem w prawo, za którym znajduje się bogato zdobiona brama wjazdowa Yamashiro's. Przed nami rozciąga się olśniewająca panorama miasta: jasne budynki na tle isticie filmowego zachodu słońca.

Słyszę zbliżające się głosy i pstrykanie aparatów, jeszcze zanim przez przyciemniane szyby dostrzegam chmurę fotoreporterów. Mama musiała dotrzymać słowa, że da im cynk. Zresztą ani przez chwilę nie wątpiłam, że to zrobi.

Gdy zatrzymujemy się na niemiłosiernie wąskim podjeździe, ściskam mocniej dłoń Maximusa. Bez względu na to, czy jesteśmy gotowi, czy nie, pora przedstawić go światu. Pocięszam się, że przynajmniej zostaliśmy uprzedzeni, co, gdzie i kiedy.

Szofer wysiada i otwiera nam drzwi, tym samym likwidując ostatnią zaporę przed migawkami aparatów, pokrzykiwaniami i napierającym tłumem. Momentalnie spięta obracam się, by wysiąść, przygotowując się psychicznie na zderzenie z tą wielką ludzką falą. W tej samej chwili Maximus, który wciąż trzyma mnie za rękę, ciągnie mnie do tyłu. Jego opór tylko dolewa oliwy do ognia moich spanikowanych zmysłów.

Odwracam się, by go przekonać, że próba przedarcia się przez ten dziki tłum nie jest takim szaleństwem, jak mogłoby się wydawać, ale kogo ja chcę oszukać? To przecież skończone szaleństwo.

Musimy jednak to zrobić, a ja muszę mu jakoś pokazać, że jestem przy nim. Że nie puszcze jego ręki. Że jesteśmy w tym razem. Ale na widok jego lekkiego uśmiechu zapominam języka w gębie. Kładzie mi dłoń na policzku i przyciąga do siebie. Nagle czas staje w miejscu i przestaje cokolwiek słyszeć. Przyciska usta do moich, wplatając mi palce we włosy, żebym mu nie uciekła. Jakbym kiedykolwiek chciała to zrobić. Choć teraz rzeczywiście mnie zaskoczył.

Gdy wkłada mi język do ust, zalewa mnie fala gorąca i w przypiływie dzikiej żądy zapominam na chwilę o publice niecierpliwiejszej się kilka stóp od nas. Ściskam jego koszulkę, przytrzymując go równie mocno jak on mnie. Nie mam pojęcia, jak długo tak trwamy, dzieląc się oddechem, duszą i powiewem spokoju. Wystarczy, by równocześnie ukoić i rozpalić moje

zmysły.

Odrywa się ode mnie pierwszy, dając mi moment na złapanie tchu. W jego boskich błękitnych tęczęwkach odbijają się błyski fleszy.

Uśmiecham się.

– Nie ma co, umiesz zrobić dobre show – szepczę mu do ucha.

Muska nosem mój, posyłając mi uśmiech, dzięki któremu zapominam o reszcie stresu.

– To nie było show. Umierałem z pragnienia, żeby cię pocałować, więc to zrobiłem.

Z każdą sekundą wrzawa na zewnątrz zdaje się rosnać – robią ją zapewne pechowcy, którym się nie udało strzelić nam fotki. Ale Maximusa to nie obchodzi.

Po kolejnym nieśpiesznym buziaku wskazuje brodą drzwi.

– A teraz pozwól, że zabiorę cię na kolację.

Rozdział 7

Maximus

Nasz kelner, który chyba ze sto razy podchodził i pytał, czy nam smakuje, teraz materializuje się z kartą deserów i przesłodzonym uśmiechem do kompletu. Gdyby to była zwyczajna kolacja na mieście, nie miałbym nic przeciwko przedłużeniu wieczoru. Ale Veronica zasypuje Karę nieprzerwaną lawiną esemesów, a dwaj paparazzi, którym udało się wślizgnąć do środka, są równie subtelni co siedzące przy sąsiednim stoliku kobiety udające, że robią sobie selfie – oczywiście z nami w tle.

– Hmm, co wygląda najlepiej? – pyta Kara, nachylając się do mnie.

Rzucam okiem na fantazyjny pergamin.

– Tarta jabłkowa – odpowiadam szybko.

Kara uśmiecha się do kelnera.

– Poprosimy dwie tarty.

Podnoszę palec, zatrzymując go przed odejściem.

– Na wynos.

Kara unosi brew i sięga po moją dłoń.

– Śpieszno nam się stąd zmyć, co?

Splata palce z moimi, a ja przenoszę wzrok na bar.

– Jak udało im się tu wślizgnąć? – mruczę pod nosem. – Przecież przed wejściem stoi ochrona.

– Chylmy czoła przed wszechpotężną Veroniką Valari. Tam, gdzie demoniczna wola, tam znajdzie się i sposób.

Zbliżam opuszki jej palców do ust, nie pozostając ślepy na furorę, jaką ten gest robi na sali. Dziwnym trafem wszyscy jak jeden mąż sięgnęli po telefony.

Ale to nieważne. Nic nie jest ważne oprócz kobiety będącej w centrum mojej uwagi. Jej pięknej, wyrazistej twarzy. Pociemniałych nagle oczu, gdy przytrzymuję usta na jej knykciach.

– Coś takiego – mówię z cichym jękiem w jej pachnącą cynamonem skórę.

Kara odpowiada mi spojrzeniem, które sprawia, że prawie zapominam o bożym świecie.

Przybliżam się do niej jak zahipnotyzowany, gdy ukradkiem seksownie przygryza usta, ale sekundę później wyciąga przed siebie ręce i odsuwa się z gracją, dając wszystkim aparatom na sali okazję do zrobienia jeszcze lepszej fotki. Uśmiecham się pod nosem. Wygląda, jakbyśmy usiedli w domu na sofie, żeby się poprzytulać.

Na tę myśl chichoczę cicho.

– Co? – pyta z uśmiechem.

– Nic. Po prostu nie mogę się nadziwić, że po setkach, jeśli nie tysiącach takich wieczorów udało ci się... – Nie mogę znaleźć słów i w końcu mówię pierwsze, co przychodzi mi do głowy. – Pozostać sobą – wyrzucam z siebie, śmiejąc się niezręcznie. – Wiedziałem, że masz niespotykany hart ducha, ale teraz mam wrażenie, że dopiero odkrywam jego kolejne warstwy.

Na szczęście Kara zdaje się rozumieć moje mgliste, na wpół poetyckie dywagacje.

– Po pierwsze musisz wiedzieć, że nigdy nie spędziłam takiego wieczoru. A co do bycia „sobą”... Jeszcze nie wiem, co to tak naprawdę znaczy. – Przy tym ostatnim zdaniu ucieka

wzrokiem i zasysa wargę. – Ale kiedy jesteś obok i dotykasz mnie w ten sposób, jest mi tak dobrze...

Na te słowa czuję, że serce zaraz rozsadzi mi klatkę piersiową, a cała atmosfera ziemi nie jest w stanie pomieścić moich uczuć.

– Tylko w ten sposób?

Podnosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają, tonąc w pokładach znaczeń. By odkryć wszystkie jej sekrety, potrzeba wielu, wielu godzin. Całego życia. A i ono może nie wystarczyć. Jest jak wielowarstwowe piekło Dantego, tylko na opak. Każdy kolejny krąg, który odkrywam, przybliża mnie do raju.

Podoba mi się ten obraz. I to bardzo. Choć wiem, że Kara nie potrafi odczytać moich myśli słowo w słowo, wyczuwa je na tyle, by się teraz uśmiechnąć. Ale nie jest nam dane długo się w nich pławić. Wraca kelner z naszym deserem w pudełkach, które na chwilę otwiera, by zaprezentować fantazyjne tarty, na których błyszczą syrop obiecujący eksplozję smaku.

– Wow! – woła Kara. – Wyglądają rewelacyjnie.

– Poczekaj, aż zobaczysz, gdzie będziemy się nimi zajadać. – Gdy tak zachwyca się naszym deserem, korzystam z okazji i piszę szybkiego esemesa do Reginy, która nie jest nim w ogóle zaskoczona. Nasza randka już zdążyła się stać w mediach społecznościowych przedmiotem gorącej dyskusji, którą razem z Sarah śledzą z wypiekami na twarzy, odkąd tylko weszlśmy do restauracji.

Jestem trochę zdziwiony ich entuzjazmem, ale to miła odmiana od władczej Veroniki. Choć nie wiedzieć czemu wyczuwam tu jej obecność.

Co prawda dała nam chwilę wytchnienia, ale niedługo. Tylko dziś ta kobieta wzbudziła u mnie jednocześnie wdzięczność, irytację, podziw i gniew. Bez dwóch zdań zasługuje na reputację żywiołowej. Niemniej Kara wygląda znacznie apetyczniej od tego deseru i jestem bardziej niż skłonny zerwać się ze smyczy królowej matki – przynajmniej na godzinę albo dwie.

Pora zabrać mojego słodkiego małego demona w jakieś ustronne miejsce.

– Hmm – grucha w odpowiedzi na mój szelmowski uśmiech – ktoś tu snuje jakieś plany.

– Owszem, ale chcę, żeby to była niespodzianka.

W odpowiedzi uśmiecha się uroczo.

– Wiesz, jak trzymać dziewczynę w napięciu.

Kwadrans później ciągnę Karę w głąb restauracji, w drugiej ręce trzymając pudełko z naszym deserem. Przechodzimy przez kuchnię i wychodzimy tylnymi drzwiami, za którymi rozciąga się gęsty zagajnik. Z ulgą stwierdzam, że nie ma tu żadnych fotografów, bo właśnie w cieniu tych drzew Reg zaparkowała swojego vintage'owego burgundowego mustanga.

Sarah wysiada z auta, akurat gdy wychodzimy z restauracji. Idealne wycucie czasu. W tym tygodniu pofarbowała swoje charakterystyczne pasemko na ciemnoczerwono, pod kolor karoserii. Na tym nie koniec, bo cień do powiek i szminkę również dobrała w tej samej tonacji.

– No dobra, zakochana paro! – woła. – Wsiadajcie, zanim tłum sprzed wejścia nas wywęszy.

Teatralnym gestem pokazuje na Karę, a Reg wysiada z gracją zza kółka.

– Nie gasiłam silnika – informuje mnie i milcząco wita się z Karą sztywnym skinieniem głowy.

Albo wciąż nie może się przyzwyczaić do widoku członkini klanu Valarich u mojego boku, albo zna ich najgłębiej skrywaną tajemnicę. Cholera, to możliwe. Ale na razie jestem za bardzo skołowany, żeby o tym myśleć. Ostatnia doba to jeden wielki młyn, który nie zatrzymał się ani na moment, więc na razie nie jestem w stanie nic z tym zrobić i muszę się zadowolić płytką, niewerbalną komunikacją. Okrążam tylko auto, by ją uściskać.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałyście – szepczę. – Naprawdę to doceniam.
Klepie mnie czule po łopatkach.

– Dzwonisz i odbieram. Przecież zawsze tak było.

– Wymiana samochodów z szoferem też nie jest zła – wtrąca Sarah i obejmuje Reg w pasie, odciągając ją. – Teraz mogę cię spokojnie upić i wykorzystać, kochanie.

– Nie krępuj się. – Reg daje żonie buziaka w policzek.

Podczas ich rozmowy zaintrygowana mina Kary przeradza się w świetlisty uśmiech.

– Naprawdę się wymykamy?

– Tylko jeśli się zgadzasz – odpowiadam.

– Skoro one nie mają nic przeciwko temu, ja tym bardziej nie mam. – Odwraca się na chwiejnych nogach do Reg i Sarah. – Ale wiecie, że na waszą randkę wkręca się ze cztery tuziny fotoreporterów?

Sarah wzrusza ramionami.

– To tylko o garstkę więcej niż pod księżarnią.

– Będzie zabawa – dodaje Reg znajomym, buńczucznym tonem, od którego robi mi się ciepło na sercu. – Robienie im wody z mózgu jest lepsze niż wycieczka do Disneylandu.

Kara nagradza moje przyjaciółki perlistym śmiechem, po czym ściska je na pożegnanie i wsiada do auta.

– Zwrócę tę bestię jutro. – Zerkam na Reg przez odsuniętą szybę.

– Jasne.

Zdaje się, że serdeczny urok Kary na nią podziałał, ale na razie trudno orzec, czy to zmiana na lepsze.

– Dbaj o nią – dodaje Reg. – I nie mówię tylko o mojej bryce.

– Ma się rozumieć – obiecuję, gdy zapinamy z Karą pasy.

Na zjeździe ze wzgórza w stronę Mulholland powietrze przecina lawina okrzyków protestu. Ale zanim reporterzy dobiegną do aut, zostanie po nas tylko obłok kurzu.

Kwadrans później, gdy zjeżdżam z szosy i zatrzymuję się w jednym z najbardziej malowniczych punktów widokowych dla zmotoryzowanych, okazuje się, że nie ja jeden wpadłem dziś na ten genialny pomysł. Wzdłuż krawędzi wzgórza jedno przy drugim stoją auta z parami, które się obłapiają albo słuchają koncertu w słynnym amfiteatrze Hollywood Bowl położonym w wąwozie poniżej.

Nie poddaję się i w poszukiwaniu prywatności skręcam w jedną z bocznych drózek prowadzącą do szerszego, opustoszałego zakątka.

Gdy tylko gaszę silnik, naszych uszu dobiegają dźwięki koncertu muzyki klasycznej – idealny podkład dla spokojnego wieczoru. Z osobliwym zadowoleniem i ulgą opieram głowę na zagłówku. Może właśnie tak się czują moi studenci po sesji egzaminacyjnej, gdy stają u progu wakacji i kilku miesięcy wolności.

„Moi studenci...”

Opuściłem tylko jeden dzień zajęć, a mam wrażenie, jakby minął rok. Nie ma sensu ukrywać dręczących mnie obaw, choć dotyczą one bardziej uczelnianego politykierstwa niż konieczności nadrobienia nieobecności.

– Dobrze się czujesz? – Przez płynące z dołu dźwięki orkiestry przebija się cichy głos Kary.

Spoglądam na nią i jak zawsze nie mogę wyjść z podziwu. Tu i teraz, u boku tej zniewalającej piękności, moje uczucia rozrastają się do rozmiarów bezkresnego wszechświata, w porównaniu z którym moja cielesna powłoka to zaledwie pyłek.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odpowiadam z absolutną szczerością.

Uśmiecha się do mnie, po czym zwraca oczarowane spojrzenie ku rozciągającej się przed nami panoramie. Usiłuję znaleźć właściwe porównanie, ale jedyne, co mi przychodzi na myśl, to wakacyjne wypadki z Jessem do obserwatorium, na które wydawaliśmy całe kieszonkowe. Świadomość własnej znikomości nigdy nie była tak błoga.

– Maximusie... to jest... po prostu niesamowite.

– Podoba ci się? – Tym razem moje obawy wynikają z osobistych pobudek. Może tylko tak mówi, żeby nie zranić mojego ego.

– Czy mi się podoba? – powtarza z mocą. – Nie. Jestem zachwycona. Naprawdę. Zachwycona. – Przykłada dłoń do gardła. – Jakbym po raz pierwszy widziała to miasto.

– Nigdy tu nie byłaś? – Przerywam. – Mówisz serio, prawda?

Na moje skonsternowane spojrzenie odpowiada bliźniaczym.

– Jesteś tym zaskoczony. Czemu?

Przez krótką chwilę łapię powietrze jak ryba.

– Po prostu myślałem, że... – Opieram łokcie na kierownicy. – Oboje tu dorastaliśmy. A ty jesteś absolutnie zniewalająca. Nie mogę uwierzyć, że żaden facet przy zdrowych zmysłach przynajmniej nie próbował cię tu zaciągnąć na finał randki.

Mówiąc to, cały czas patrzę przed siebie. Upłynęło dużo wody, odkąd mogłem się nazywać ekspertem w tych sprawach, i czuję z tego powodu kuriozalne zażenowanie. Ale przynajmniej nie jestem odosobnionym przypadkiem. Zerkam pośpiesznie na Karę i jej ściągnięte brwi.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił, panie profesorze. Z kimś, kto chodził na normalne randki, a nie na wyreżyserowane przedstawienia.

– A pani myli mnie z kimś, kto by w to uwierzył.

– Słowo honoru demona. – Kładzie dłoń na pudełkach z deserem spoczywających na jej kolanach. – Uroczyście przysięgam na obie tarty.

Chichoczę.

– Okej, okej. Uwierzyłem od razu.

– Wiem, ale tarty wszystko uwznioślają.

– Nie. – Nachylam się ku niej. Twarz Kary momentalnie jaśnieje, oczy błyszczą zachęcająco, a pełnym, różowym ustom, które przygryza, nie sposób się oprzeć. – Ty wszystko uwznioślasz – mruczę i biorę w posiadanie jej wargi.

Są takie cudowne.

Tak delikatne, miękkie i smakowite.

Przez cały wieczór o nich marzyłem.

Są balsamem na mój rozgorączkowany umysł. Dopełnieniem mojej niespokojnej duszy. Ale w tej chwili są przede wszystkim boskim ogniem podsycającym moje rozbudzone pożądanie. Gdy Kara wpuszcza mój wygłodniały język głęboko do swoich ust, surrealistyczne płomienie w moich żyłach zaczynają strzelać. Ich żar podpala pochodnie w moim krwiobiegu niczym flary na rzece. Ale już nie boję się tego ognia.

Choć w oczach omdlewającej w moich ramionach Kary płonie takie samo pożądanie, do mojej świadomości przebija się jedna myśl, która każe mi się od niej oderwać.

Powieki Kary drgają, a głowa się kołysze, jakbym wyrwał ją z hipnotycznego transu.

– Co się stało?

Wbrew sobie odsuwam się jeszcze trochę. Ale nie potrafię oderwać od niej rąk i muszę jej cały czas dotykać. Jedną ręką odgarniam jej z policzka niesforne kosmyki gęstych mahoniowych włosów, wędruję palcami po jej wyrazistych brwiach, obejmuję zarys dumnej szczęki.

– Jesteś zniewalająca. Mój idealny mały demon.

Nagradza mnie rozmarzonym uśmiechem, więc nie przerywam wędrówki po jej twarzy. Nie schodzę niżej, choć mam nieprzewartą ochotę ją schrupać. Mój następny oddech jest przesiąknięty jej cynamonowym zapachem cudnie podkreślonym przez kuszącą woń jabłeczników, które trzyma na kolanach.

Nadludzkiem wysiłkiem zmuszam się, by się odsunąć jeszcze dalej, pozwalając jej się wychylić w moją stronę. Dławię jęk, bo pragnę tylko dać jej więcej. I więcej wziąć... Pamiętając, że to prawdopodobnie jej pierwsza prawdziwa randka, poskrabiam drzemiącą we mnie wygłodniałą bestię. Za nic w świecie nie chciałbym zepsuć jej tego doświadczenia.

– Chodź. – Zabieram od niej pudełko i wysiadam z mustanga. Biegnę, by otworzyć jej drzwi. Po drodze zdejmuję płaszcz, rozkładam go na masce i zostawiam na nim tarty. Niech się wreszcie na coś przyda.

Kara robi nadąsaną minę, gdy podaję jej obie dłonie, by pomóc jej wysiąść, ale jakoś nie słyszę, żeby narzekła, gdy wykorzystuje je jako podpórki, by przywrzeć do mnie całym swoim boskim ciałem. Zanim mam szansę po dżentelmeńsku zaprotestować, oplata mnie w pasie swoimi idealnie zgrabnymi nogami.

Chwilę później już rozgniatam ustami jej wargi, a nasze języki znowu się splatają. Smakuje cholerne apetycznie. Zaczynam się zastanawiać, czy reszta jej ciała ma równie upajający smak zmieszany z wonią dzikiej szaławii, nocnego wiatru i tarty jabłkowej.

Wydam z siebie mroczny, pierwotny jęk, w którym prawie nie rozpoznaję swojego głosu. Ten sam wewnętrzny jaskiniowiec każe mi złapać ją za pupę, by nie upadła plecami na maskę, choć ta perspektywa jest bardzo kusząca. Zmiażdżyłaby pudełko z deserami, które musiałbym z niej zlizać...

Z gardła znowu wrywa mi się niskie mruknięcie, tym razem bardziej na jej użytek.

– Wiesz, gdyby to była scena z moich fantazji, leżałabyś pode mną naga.

– Cóż za zbieg okoliczności, kino w moim umyśle gra ten sam film.

Kara daje tyle samo, ile dostaje, i to z nawiązką i śmiechem wpisującym się idealnie w następną piosenkę, której dźwięki płyną z legendarnego amfiteatru pod nami. Nie rozpoznaję tej współczesnej melodii, ale jest wisienką na torcie atmosfery wieczoru. Jest tak podobna do siedzącej tu ze mną pod rozgwieżdżonym niebem kobiety. Delikatna, acz silna. Czysta, acz namięta. Szczera, acz złożona.

Złożona z tylu niesamowitych warstw...

Mój Boże, jest warta dużo więcej niż to, co może zaoferować jej jakakolwiek moja fantazja.

Cofam się o krok na chwiejnych nogach, by nie ulec łączącej nas pierwotnej żądzy, ale równie dobrze mógłbym sobie przesyć krocze mieczem.

– Karo...

Wsuwam obie dłonie we włosy, szukając właściwych słów. Przez boleśnie długą chwilę stoimy tak w otrzeźwiający milczeniu. Zamykam oczy i znowu je otwieram. Nawet kątem oka widzę, że nie straciła nic ze swego powabu. Ta dziewczyna jak z marzeń na masce auta wciąż wystawia moją siłę woli na morderczą próbę.

Zdeterminowany, by to powiedzieć, wypuszczam powietrze.

– Może i jestem półbogiem, ale także mężczyzną, i gdy jesteśmy tak blisko, moje myśli wędrują w wiadomą stronę. Nazwij mnie wariatem, ale chcę, żeby wszystko było, jak należy, a ty musisz mi na to pozwolić, dobrze? W końcu to twoja pierwsza prawdziwa randka.

Na chwilę się zamyśla, po czym przekrzywia głowę.

– Skoro nalegasz.

Moja siła woli wisi już na tak cienkim włosku, że wystarczy jeden gest z jej strony, by go

przerwać. Ale trzymam się twardo.

– Owszem, nalegam.

Ta mała szelma uśmiecha się niewinnie.

– Czy to znaczy, że mam trzymać ręce przy sobie?

Śmieję się, żeby nie zrobić czegoś innego, na przykład nie zetrzeć jej tego uśmiešku z ust brutalnym pocałunkiem. Przy okazji ryzykując zrobienie jeszcze większego przedstawienia niż przed restauracją, gdyby ktoś nas tu zauważył. Ta myśl działa na mnie jak wiadro zimnej wody. Te przekłete aparaty mogą być wszędzie.

Odchrząkuję i chowam ręce do kieszeni dżinsów.

– A może zajmijmy ręce i usta tymi pysznymi tartami i opowiesz mi, jak ci minął dzień?

Rezygnuje z kolejnej próby złamania mojego oporu, za co niemal jej dziękuję, i otwiera pudełko.

– Tak się składa, że chciałam cię zapytać o to samo. – Odłamuje kawałek ciasta i wkłada go sobie do różowych usteczek. – Co Z. miał do powiedzenia? Coś obiecującego?

Zmuszam się do koncentracji na jej słowach, ignorując pauzy, które robi między nimi, by zlizać cukier z opuszek palców. Wbrew pozorom to jednak nie próba flirtu, a w jej pytaniach znać szczere zainteresowanie i nadzieję. Nie ją jedną dręczy pytanie, czy mój ojciec naprawdę zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wskakuję na maskę, siadam obok niej i dołączam do słodkiej uczty. Delektując się deserem, przypominam sobie miniony dzień. Dopiero teraz mam chwilę, by w spokoju wszystko przetrwać. Jednego jestem pewien: przed nami jeszcze wiele takich dni. Gorączkowych i przytłaczających. Słodko-gorzkich. Ale wszystkie spędzę z nią, więc będzie dobrze.

– Opowiadał mi o tym, jak poznał moją mamę. To mi trochę rozjaśniło w głowie.

Usta jej drżą i patrzy na mnie łagodnie.

– Mam nadzieję, że to romantyczna historia.

Odwzajemniam jej uśmiech.

– Bardzo. Szczerze mówiąc, nie byłbym zaskoczony, gdyby nadal ją kochał.

Mrugając, Kara otwiera usta ze zdumienia.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Myślisz, że naprawdę chce się z nią zobaczyć?

– Takie odniosłem wrażenie. Jestem tym pomysłem zaskakująco zaintrygowany, ale nie wiem, czy to nie odciągnie jego uwagi od naszej sprawy. Spotkałem się z nim, tak jak obiecałem. Nie mam pojęcia, czy będzie chciał spędzić ze mną więcej czasu. Nie zdążyłem mu zadać wszystkich pytań, ale najpierw niech się rozmówi ze swoimi braćmi.

Kara kiwa głową, ściągając brwi w zamyśleniu. Mam ochotę wygładzić te bruzdy pocałunkami, ale wiem, że teraz bardziej pomogą słowa.

– Powiedział, że wróci za parę dni. Wkrótce będziemy mieli większą jasność – dodaje uspokajająco.

Gdy tylko jej uśmiech wraca, czuję się jak prawdziwy mężczyzna. Przysuwa się do mnie i opiera policzek na moim bicepsie.

– O czym jeszcze rozmawialiście? Chcę wiedzieć wszystko.

– Cóż, jeśli mu wierzyć, nie bez przyczyny nie pamiętam prawie nic z dzieciństwa. – Przełykam kawałek tarty, zbierając się na odwagę, by powiedzieć następne słowa. I w nie uwierzyć. – Z. twierdzi, że pierwsze osiem lat życia spędziłem na Olimpie. Uważa, że po naszym odejściu coś się stało z moimi wspomnieniami.

Kara odrywa się ode mnie gwałtownie, robiąc wielkie oczy.

- To znaczy co?
- Jakby... ktoś przy nich majstrował.
- Wow. Serio?

Wzruszam ramionami. Nadal trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– To... to fascynujące. – Każda sylaba jest pełna nabożnej czci zdradzającej jej rosnące zaciekawienie.

Szkoda tylko, że go nie podzielam. Mam wrażenie, że to dziwny sen, którego nijak nie umiem pogodzić z rzeczywistością. Z bezwzględną, zagmatwaną rzeczywistością, w której żyłem tyle lat. Mam nieodparte wrażenie, że za chwilę z krzaków wyskoczy gwiazdka popularnego reality show z mikrofonem i kamerzystą u boku i krzyknie: „Mamy cię!”.

– A teraz powiedz mi, mały demonie – zaczynam, przenosząc spojrzenie na migoczące na horyzoncie światła – co na resztę tygodnia zaplanowała nam Veronica Valari?

Nagle Kara robi równie niepewną minę co ja przed chwilą.

– To i owo.

– Aż boję się dociekać. – Naprawdę.

Tylko wzdycha.

– W pierwszej kolejności chce, żebyśmy w środę wybrali się na targ rolny niedaleko twojego mieszkania.

– Bułka z masłem. Może uda nam się wpaść na trochę do mnie. Jesse mówi, że szeregi fotoreporterów pod kamienicą znacznie się przerzedziły.

– Szczerze mówiąc, mama na to właśnie liczy.

– Okeeej – mówię przeciągle, czekając, aż rozwinię wątek, bo wciąż odnoszę niepokojące wrażenie, że Veronica Valari wysyła nas na leczenie kanałowe, a nie po świeże owoce. – Mów dalej.

– W piątek jest premiera filmu Piper, ale to pomysł z ostatniej chwili, więc po cichu liczę, że spali na panewce. Chociaż znając moją matkę, znajdzie sposób, żeby nas na nią wkłębć.

– Wow. To byłby mój pierwszy raz na czerwonym dywanie.

– Stąd te garderobiane rewolucje.

Wybucham niepowstrzymanym śmiechem.

– Teraz wszystko jasne. No cóż, mogło być gorzej.

– A w sobotę mamy prywatną kolację z władzami uczelni. – Mówiąc to, wpatruje się w linię horyzontu, co nie wiedzieć czemu budzi moją ciekawość.

– Masz na myśli przyjęcie Złotego Kręgu u pani rektor?

Kara kiwa głową i jeszcze mocniej przygryza dolną wargę. Po krótkiej, nerwowej chwili przenosi wzrok z powrotem na mnie.

– Musisz wiedzieć, że... będzie tam Arden.

Nieruchomieję z nadzieją, że się przesłyszałem.

– Oczywiście wystąpimy tam jako para, ale chciałam cię uprzedzić. – Wędruje niespokojnym wzrokiem po mojej twarzy. – Na wypadek gdyby... no wiesz.

– Na wypadek gdyby co?

– No, gdyby zrobiło się... gorąco.

Jeszcze mocniej ściągam brwi.

– Czy twoja matka postradała zmysły?

– Maximusie – bierze mnie za rękę z błagalnym spojrzeniem i rozpaczająco malującą się na twarzy – rozumiem twoje zdenerwowanie. Owszem, może to kuszenie losu, ale to wyjście, tak samo jak pozostałe, ma wszystkim pokazać, że jesteśmy parą. Udowodnienie władzom uczelni, że to poważny związek, jest równie ważne, co przekonanie hollywoodzkiej elity. – Przetyka

z trudem. – A poza tym Kell jest moją siostrą, więc czy nam się to podoba, czy nie, Arden będzie obecny w naszym życiu.

– W ogóle mi się to nie podoba – burczę.

– Wiem. – W jej oczach pojawia się smutek. – Mnie też. Przede wszystkim z uwagi na Kell. My będziemy musieli tolerować jego obecność tylko od czasu do czasu, a ona jest na niego skazana. Przez nas.

Splatam nasze dłonie otrzeźwiony tymi ostatnimi słowami. Gdyby Arden zdołał dopaść Karę wcześniej, nie byłoby żadnych „nas”. Ale z drugiej strony wtedy nie umierałaby ze strachu o swoje bezpieczeństwo.

Zrezygowany w milczeniu przyjmuję to wszystko do wiadomości. Cóż, trzeba się pogodzić z tym, co nieuniknione. Za kilka dni ponownie stanę twarzą w twarz z Ardenem Prietem, demonem, który chciał położyć łapy na Karze.

Mam tylko nadzieję, że dla dobra wszystkich zainteresowanych naprawdę zmienił zdanie.

Rozdział 8

Kara

– Proszę!

Słyszę przez drzwi głos dziadka, otwieram sobie i wchodzę do domku gościnnego. Nie muszę go długo szukać. Siedzi przy wbudowanym biurczku w kuchni, pochylony nad elektroniczną maszyną do pisania w otoczeniu porozrzucanych, na wpół zapisanych kartek. Przerzedzone włosy ma zmierzwiłone, a kardigan zmięty.

Nawet gdy zamykam za sobą drzwi, odcinając dopływ jasnych promieni popołudniowego słońca, nie przestaje stukać w klawiaturę. W środku panuje zaduch, jakby od wielu dni nie otwierał okna.

– Cześć, dziadziu – witam się z nim, przypominając o swojej obecności.

W odpowiedzi słyszę tylko rozkojarzone mruknięcie, które raczej nie ma nic wspólnego ze mną, po czym dziadek wyjmuje kartkę z maszyny, gniecie ją i rzuca na podłogę. W końcu się odwraca, błyskając jasnymi oczami zza grubych szkielek. Posyła mi powitalny uśmiech, który jednak szybko gaśnie.

– Wszystko w porządku? – pytam zdjęta nagłym niepokojem.

Dziadek wstaje od biurka.

– W jak najlepszym – mruczy pod nosem, podchodząc do kuchenki. Nalewa wody do czajnika i stawia go na palnik. – Herbaty?

– Chętnie, dziękuję.

Kolejne mruknięcie.

Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

– Wróciłeś do pisania? – Od lat nie widziałam tej zakurzonej maszyny, ale może powinnam się cieszyć, że nie spędza całych dni w fotelu, oglądając stare filmy.

– Raczej do marnowania papieru. To zupełnie bez sensu. – Ścisła się za kark.

Teraz to już naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Dobrze się czujesz? Jesteś jakiś przygnębiony.

– Przygnębiony? – Unosi brwi i zaciska usta tak mocno, że prawie ich nie widać. Przez ułamek sekundy przypomina mamę zbierającą siły przed wybuchem złości.

Jak można się domyślać, to podobieństwo tylko zwiększa mój niepokój.

– Mam oczy, tak? – Ściąga okulary i wskazuje płaski telewizor wiszący na ścianie w salonie. – Mówią o tobie we wszystkich wiadomościach, biedroneczko. Od lat nie przestąpiłem progu domu twojej matki, ale Bóg mi świadkiem, że dziś kusilo mnie, żeby tam wparować i zobaczyć, co się, do diabła, dzieje. Czy ona o tym wie?

– Jasne, że tak. To był jej pomysł – odpowiadam automatycznie obronnym tonem. Nie wiedziałam, czego się spodziewać po dzisiejszej wizycie u dziadka, ale nie sądziłam, że będzie aż tak zdenerwowany.

Zszokowany rozluźnia zaciśnięte szczęki.

– Słucham? Czyli wie o tym młodym człowieku, którego nie możesz zostawić w spokoju, mimo że...

– ...mimo że byłam przeznaczona innemu. Tak, wie o wszystkim. I możesz wierzyć lub

nie, ale próbuje nam pomóc.

Dziadek parska zdumionym śmiechem i nagle opada z sił zrezygnowany. Przygarbione ramiona. Rozluźnione pięści. Wykręcam sobie palce ogarnięta wyrzutami sumienia. Jest kłębkim nerwów i wahań nastrojów i to moja wina. Dobrze zrobiłam, że tu dziś przyszedłam, ale to nie będzie miła wizyta.

– Dziadziu, może usiądziesz? Wszystko ci wyjaśnię.

Siadamy bez słowa przy stoliczku kuchennym, przy którym jeszcze niedawno spędzaliśmy takie przyjemne chwile. Od tamtego czasu tyle się zmieniło!

Splatam dłonie przed sobą, zbierając myśli.

– Pamiętasz, jak mówiłam, że Maximus jest inny? I może nawet nie być śmiertelnikiem?

Dziadek kiwa głową, ściągając w skupieniu brwi.

– Coś wypłynęło? Dowiedziałas się więcej?

– Oboje się dowiedzieliśmy. I to wszystko tłumaczy. Jego nadludzką siłę, bystry umysł, zdolność uleczenia się, a nawet naszą więź.

Macha ręką ze zniecierpliwieniem.

– Wyduś to z siebie, Karo. Zanim kopnę w kalendarz.

– Jest synem Zeusa.

Jedno mrugnięcie. Dwa. Nagle opiera się plecami o krzesło, potrząsając energicznie głową.

– To prawie niemożliwe.

– Prawie. Jego matka jest śmiertelniczką. Zawsze wypowiadała się mgliście o jego ojcu i teraz już wiemy dlaczego.

– Jesteś tego pewna?

– Moja matka jest.

Skoro ona wierzy, że Zeus jest tym, za kogo się podaje, to znaczy, że to prawda. A poza tym Kell w moment wyniuchałaby oszustwo.

Dziadek kiwa ze zrozumieniem głową.

– No dobrze. Więc pokazałaś się na mieście z półbogiem. – Przerzywa na sekundę. – Veronica pewnie myśli, że to niezła gratka. Jej jedyną życiową ambicją jest wspinaczka po szczeblach drabiny społecznej. Takie coś podnosi jej pozycję niemal w każdym wymiarze. Nie mogła sobie tego lepiej wymarzyć.

Krzywię się na jego ocenę sytuacji, częściowo dlatego, że nie przyszło mi to do głowy. Intrygi mojej powierzchownej matki zawsze były przejrzyste jak kryształ. A przynajmniej do tej pory tak myślałam.

– Nie zająknęła się o tym – dodaję cicho, nie chcąc przyznać mu pełnej racji. – Chyba się jej nie podobało, że zaświaty tak szybko kogoś po mnie przysłały. Ewidentnie pokrzyżowali jej wielkie plany. – Przerywam, przypominając sobie, jak szybko i bezboleśnie dostosowała je do nowej sytuacji. – Ale misję przedstawienia Maximusa światu podjęła z typowym dla siebie wigorem. A nawet z dodatkową szczyptą entuzjazmu, ale czasem tak ma. Jestem jej nowym projektem. Ona tym żyje.

Jak karierę Kell w mediach społecznościowych i Jadena w filmie. Nareszcie może kształtować mnie i moje życie tak, jak zawsze chciała. Co więcej, usiłuje zapewnić mi bezpieczeństwo. I utrzymać na powierzchni. Chcę wierzyć, że to znajduje się wyżej na jej liście priorytetów niż własna wspinaczka po drabinie społecznej.

Dziadek pozostaje niewzruszony. Przeciąga dłonią po nieogolonym policzku.

– No tak, zawsze chodziło jej o rodzinę. A dokładniej o zbudowanie hollywoodzkiej dynastii. Misję wykorzenienia waszego człowieczeństwa przeniosła na wyższy poziom. Chyba

nigdy żaden demon nie brał udziału w karaniu człowieka z taką wykalkulowaną zuchwałością. Nawet twoja babka nie wytrzymała długo w świetle ludzi.

– Może właśnie dlatego, że była pełnokrwistym demonem. Czasami zapominam, że mama jest człowiekiem bardziej ode mnie. Oczywiście nie twierdę, że jest dzięki temu bardziej współczująca czy dobra niż my, ale może przez to czuje się mocniej związana z ziemskim światem. A może tak stara się nadrobić...

Nie kończę. Nawet jeśli któreś z naszej trójki snuło podobne przypuszczenia, nigdy nie ośmieliło się powiedzieć ich na głos.

Dziadek marszczy brwi.

– Co?

Rozglądam się z paranoicznym strachem, że mama nagle zajrzy przez któreś okno, choć prawie nigdy nie zapuszcza się w te rejony posiadłości.

– Jeśli nie liczyć talentu do budzenia zainteresowania międzynarodowych mediów, w przeciwieństwie do nas mama nie ma żadnych nadprzyrodzonych mocy. Wyczuwam jej uczucia wcześniej niż ona sama. Kell z każdego wyciągnie prawdę, a Jaden słyszy rozmowy sąsiadów dwa domy dalej.

Dziadek kiwa w milczeniu głową.

– Może dlatego tak bardzo chce zabłysnąć tu na ziemi. Robiąc to, w czym jest najlepsza.

– Jeśli rzeczywiście tak jest, to wykazuje się niebywałą krótkowzrocznością. Zyska parę krzykliwych nagłówków, ale straci o wiele więcej. – Twarz mu się ściąga i z trudem przełyka. – Jej zabiegi nie dają ci żadnej ochrony, Karo. Wprost przeciwnie, narażają cię na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Na te słowa, wypowiedziane tak poważnym tonem, że bez wahania jestem gotowa w nie uwierzyć, przeszywa mnie zimny dreszcz.

– Zeus też próbuje coś zdziałać – mówię, żeby uspokoić zarówno jego, jak i moje rozdygotane serce. – Uważa, że uda nam się zawrzeć z nimi jakiegoś rodzaju porozumienie, ponieważ Maximus jest jego synem. Do tego czasu nie powinni po mnie przyjść, jeśli tylko będę na widoku.

– Jeżeli masz na myśli sługusów Hadesa, to może i racja. Ale istnieją też tacy, którzy mają dużo mniej dyplomatyczne podejście do zemsty.

– Tu chyba nie chodzi o zemstę, dziadziu. Oboje wiemy, że postanowili ukarać cię dla przykładu...

Dziadek śmieje się chrapliwie. To wystarczy, żeby mnie uciszyć.

– Naprawdę myślisz, że kolejny bękart Zeusa nie wzbudzi w nikim żądzы zemsty?

To nieoczekiwane pytanie kompletnie zbija mnie z tropu i porzucam wszelkie próby uspokojenia pulsu.

„O nie”.

Przez cały czas bałam się tylko o własne życie. Byłam skupiona jedynie na swoich występach, gotowa odpokutować za nie, byle tylko pozwolono nam być razem.

Co gorsza, miałam klapki na oczach i widziałam jedynie Maximusa i nasz magiczny, ognisty związek. Coraz bardziej się w nim zakochiwałam, pewna, że dopóki sprawa się nie rozwiąże, będę przy nim bezpieczna.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że on też może być w niebezpieczeństwie.

– Hera. – Wypowiadam jej imię szeptem, bojąc się, że mogę ją niechcący przywołać.

Mina dziadka mówi, że trafiłam w sedno. W niewiarygodne i równie przerażające sedno.

– Ale Zeus wie o planie mamy – przekonuję. – Zgodził się na niego. Powiedziałabym nawet, że był jednym z jego architektów. To mu daje czas na załatwienie sprawy z Hadesem...

– Jesteś pewna, że tylko Hadesa musicie udobruchać?

Kręcę głową, bo już niczego nie jestem pewna. Z. to enigma. Jest charyzmatyczny i potężny. Wyrachowany i nieuchwytny. Udając, że znam jego prawdziwe motywacje, dałabym tylko kolejny dowód swojej ignorancji. Jestem bardziej spostrzegawcza od ludzi, ale wobec bogów przypominam dziecko we mgle.

– Oprócz tego Zeus, w mitach i w rzeczywistości, jest ucieleśnieniem irracjonalnej pewności siebie i ślepego ego – ciągnie dziadek. – Jak myślisz, ile razy przez te wszystkie tysiąclecia musiał zacierać ślady swoich miłostek?

– Pewnie nie da się zliczyć. Ale czemu tym razem również miałyby o to chodzić? Maximus jest dorosły i nie stanowi zagrożenia dla Hery.

– Nie musi być dla niej zagrożeniem. Istnieje, co oznacza, że Zeus ją zdradził. Znowu. To wystarczy, by chciała zniszczyć wszelkie świadectwa jego romansu, a przynajmniej sprawić, by Maximus srodze zań odpokutował.

Kręcę gorączkowo głową.

– Czemu Z. miałby narażać własne dziecko na takie niebezpieczeństwo? To nie ma sensu. Mówił, że szukał Maximusa od wielu lat, i ja mu wierzę. Miałby wkładać tyle wysiłku w poszukiwanie syna tylko po to, by ryzykować jego utratę?

– Nie mam pojęcia. Ale radzę wam, żebyście spróbowali się dowiedzieć, o co tu naprawdę chodzi, zanim zrobi to Hera. – Znowu pociera dłonią twarz. – Jesteś albo najlepszym, albo najgorszym, co mogło spotkać Maximusa Kane'a. Czas pokaże.

Opieram łokcie na stole przygnieciona ciężarem jego słów. W głowie mam mętlik. Nie wiem, czy powinnam być przerażona, czy pełna nadziei. W końcu dziadek wyrwa mnie z zamyślenia, wstając od stołu z jękiem frustracji. Wyłącza palnik pod czajnikiem, otwiera szafkę i wyjmuje szklaneczkę, po czym znika w salonie. Gdy wraca, jest do połowy wypełniona bursztynowym alkoholem, choć nie na długo. Krzywiąc się, dziadek jednym haustem wychyla drinka prawie do dna.

– Dziadziu... nie za wcześnie na to?

Zdarzało się, że nalewał sobie przy mnie czegoś mocniejszego, ale nigdy w stanie takiego wzburzenia. Szczerze mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałam go tak zdenerwowanego. Jego ruchy są gwałtowne, a krzątanina głośna. Nagle jazgot w mojej głowie zamienia się w stłumiony szum.

– Moim zdaniem za późno. – Dopija drinka.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – pytam z nieskrywanym lękiem.

– Od lat nie rozmawiałem z twoją matką. Tak naprawdę.

Przez krótką, bolesną chwilę moje przerażenie rośnie, gdy zdaję sobie sprawę, co mówi... Co insynuuje.

– Chwila. Jak to? Zamierzasz z nią porozmawiać?

– Żebyś wiedziała, do diabła. Całymi latami pozwalałem jej kierować rodziną. Byłem posłuszny, nic nie mówiłem i schodziłem jej z drogi, ale miarka się przebrała. Zmuszę ją, żeby wysłuchała, co mam do powiedzenia. – Wymierza palec w stronę rezydencji, podkreślając ostatnie zdanie.

I zanim mam szansę wyperswadować mu te zamiary, maszeruje do drzwi. Kusi mnie, żeby mu powiedzieć, że mamy nie ma w domu, ale wiem, że jest. Gdy przyjechałam, na szczęście siedziała zamknięta w swoim gabinecie, więc udało mi się wymknąć do dziadka niezauważona.

Gdy wchodzimy do rezydencji, właśnie otwiera szeroko drzwi i wyłania się z biura w obstawie swoich trzech czarnookich chihuahua i asystentki. Na nasz widok jej nozdrza się rozszerzają.

– Giovani...

– Tato – poprawia ją ostro dziadek.

Mama parska szyderczym śmiechem i odprawia Natalie lekceważącym machnięciem ręki. Asystentka zgarnia ujadające pieski i znika z powrotem za drzwiami gabinetu. Po raz pierwszy od dawna zostajemy sami.

Mama podchodzi nieśpiesznie do jednego z mosiężnych wazonów ze świeżymi kwiatami na środku pokoju.

– Gio – grucha przesłodzonym tonem, który znam aż za dobrze – co cię do mnie sprowadza? Skończyły ci się racje żywnościowe? Potrzebujesz zaopatrzenia?

– Nie, Veronica. Porozmawiamy sobie poważnie o Karze i kłopotach, w które wpadła.

Mama krzyżuje ręce na piersi i odwraca się do nas.

– Tak? A co ty możesz o tym wiedzieć? – pyta, przesywając mnie oskarżycielskim spojrzeniem.

Dziadek podąża za nim wzrokiem.

– Zostaw nas, proszę, Karo. Twoja matka i ja musimy się rozmówić na osobności.

Mama zaciska usta i napina się cała jak cięciwa łuku. Biorę to za milczącą zgodę. Tyle razy próbowałam bronić dziadka i się za nim wstawiałam, a teraz uświadamiam sobie, że przynajmniej po części ulegał jej z własnej woli. Choć wąż się moje losy, to nie tylko moja walka. To odkrycie jest prawdziwym objawieniem i odrobinę uspokaja moje obawy. Znowu jestem w stanie bezboleśnie nabrać powietrza w płuca.

Odwracam się do wyjścia, ale ciszę przerywa głos mamy, zatrzymując mnie w pół kroku.

– Karo.

Przeklinając w duchu, ponownie się odwracam. Co to będzie za jatka, jeśli każe mi zostać?

– Tak, mammo?

– Arden czeka na wasze następne spotkanie. Liczę, że skontaktujesz się z nim przy najbliższej sposobności.

Nie mogę złapać tchu. Znowu czuję w piersi bolesny ucisk i klucie, jakby wbiły się w nią kolce bukietu róż, które układa w wazonie.

– Następne... spotkanie?

Mama przekrzywia głowę, uśmiechając się do mnie wyjątkowo złośliwie.

– Karo, chyba nie myślałaś, że wykpisz się od wszystkich zobowiązań? Zleciłam mu stworzenie naszej kolekcji antyków i wpłaciłam pokaźną zaliczkę. Oczekuję, że wywiąże się z zadania. Ty również.

Drżąc, wydycham powietrze.

– Mam z nim dalej współpracować?

Uśmiecha się szeroko jak kot syjamski, który właśnie połknął mysz.

– Owszem.

– Czy to na pewno dobry pomysł?

– Już ci mówiłam, że doszliśmy z Ardenem do porozumienia. Jesteś przy nim jak najbardziej bezpieczna. A poza tym... – Zerka na swojego ojca, po czym przenosi ostre spojrzenie z powrotem na mnie. – O ile pamiętam, jesteś moją dłużniczką.

Rozdział 9

Maximus

To dopiero mój pierwszy dzień na uczelni po przerwie, a drzwi mojego gabinetu już się nie zamykają. Gdyby odwiedzali go tylko studenci poszukujący odpowiedzi na dręczące ich pytania o władzę Boga nad światem, sprawiedliwość moralną i prawdziwe znaczenie piekła, skakałbym z radości, zamiast zgrzytać zębami, gdy po raz kolejny rozlega się pukanie w futrynę.

– Tak? – odpowiadam burknięciem, nawet nie próbując ukryć poirytowania. Już się zastanawiam, kogo tym razem nasłała na mnie Veronica Valari. Zdążyli mnie nawiedzić jej specjalistka od mediów społecznościowych, doradca prasowy, główny prawnik, ekspert od pozyskiwania sponsorów, a nawet stylistka fryzur, która próbowała zaatakować mnie nożyczkami do cieniowania włosów.

Do tej pory wykazywałem się anielską cierpliwością, ale co za dużo, to niezdrowo. Kiedy te pielgrzymki wreszcie się skończą? Nie mam już siły się zastanawiać nad odpowiedzią, więc nie odrywam palców od klawiatury laptopa i nie podnoszę wzroku znad ekranu, chcąc jak najszybciej dokończyć uwagi do eseju, z którymi od dwóch godzin nie mogę się załatwić, bo ciągle ktoś mi przeszkadza.

– Dziwne, że gość, od którego wyszła właśnie seksowna laseczka mruczająca pod nosem coś o jego złotych puklach, jest taki spięty.

Podnoszę wzrok i parskam śmiechem.

– Chyba jeszcze nigdy nie cieszyłem się bardziej na widok pańskiej facjaty, panie North.

– Dobrze się składa, że twoja też mi się podoba, słodziutki – dowcipkuje Jesse. – Bo ostatnio widzę ją na każdym kroku. A tak na marginesie, prawy profil masz chyba lepszy. Przynajmniej jak widziałem rano na stacji benzynowej. W telewizji leciał akurat *Magiel towarzyski*.

– Chryste. – Ściskam palcami grzbiet nosa.

– A wracając do tej ślicznotki zachwyconej twoją bujną czupryną... Masz jej numer? Kolega pytał.

– Mężatka – ucinam, odsuwając na bok laptopa. – Ma dziecko i stara się o drugie.

Jesse przeklina pod nosem.

– Tak, tak – mówię, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Ładuj się do środka i przekręć tabliczkę na drzwiach. – Jeśli pojawią się kolejni emisariusze Veroniki Valari, będą musieli poczekać.

Spełnia moją prośbę, po czym wbija we mnie przenikliwe spojrzenie naukowca. Jego oczy przypominają skalpele, szczeka gładką ścianę kanionu, a barki dwa klify do kompletu. Jego rysy są uwydatnione, bo nie przesłaniają ich włosy. Niesforne kędziorki związał w kucyk, odsłaniając jednocześnie wyraziste, arcyszelmowskie brwi. Nasza uczelnia powinna konfrontować z nimi każdego kandydata na wydział nauk ścisłych.

– Studenci już dali ci popalić? – pyta. – Przecież jeszcze się nie skończył październik. Za późno rezygnowanie z kursów, za wcześnie na stres egzaminacyjny. Może wszyscy są po prostu ciekawi nowego celebryty na kampusie – kpi, ale nagle przerywa z grymasem twarzy. – Czy to może kolejna odsłona dramatu z radą uczelni w roli głównej? Twoje wiadomości były dość

mgliste.

– Bo rada wyraziła się mgliście. Poproszono mnie, żebym wziął kilkudniowy urlop, po czym sugestią wycofano.

Jesse marszczy brwi.

– Tak po prostu?

Teraz to ja mam ochotę ściągnąć brwi. Nie „tak po prostu”, bo gdyby Veronica Valari nie pociągnęła za parę zakulisowych sznureczków, bramy uniwersytetu nadal byłyby przede mną zamknięte. Ale nie mam zamiaru zabijać mu teraz ćwieka. Wyobraźnia naukowca ma swoje granice – nawet tak bujna, jak Jesse’ego.

A poza tym muszę go wprowadzić w inny temat, pilniejszy od niewiarygodnych rewelacji o moim boskim ojcu i ośmiu zapomnianych latach spędzonych w krainie mitów i nieśmiertelnych.

– Tak po prostu – powtarzam w końcu. – Może rada poszła po rozum do głowy i stwierdziła, że w szerszym kontekście uczelnianych skandali jesteśmy z Karą tylko piknięciem na radarze.

Jesse opiera łokcie na poręczach wózka i znowu zaczyna świdrować mnie wzrokiem.

– Tylko piknięciem – powtarza. – Na melodię wpadających na dyżur fryzjerek i...

Przerywa mu pukanie do drzwi.

– Panie profesorze? Tu Natalie z biura pani Valari. Czy długo jeszcze będą panowie rozmawiać? Muszę zrobić zdjęcie pańskiego dowodu do wejściówki na piątkową premierę. Przyniosłam też wstępne tematy dyskusji na przyjęcie Złotego Kręgu. Musi pan je jak najszybciej przejrzeć, żeby zespół zdążył przygotować je do soboty. Mamy niewiele czasu, więc...

– Natalie? – W przeciwieństwie do niej nie lubię komuś przerywać, ale nie mam wyboru.

– Tak? – odpowiada cicho dziewczyna onieśmielona moim władczym tonem.

– Na dziedzińcu przed biblioteką jest kawiarnia. Dołączę do ciebie za pół godziny.

Już wyczuwam jej wahanie. Według zegarka mamusi Valari to bardzo dużo minut. Natomiast w moim świecie, gdzie muszę klarownie i dyplomatycznie streścić Jessemu ostatnie czterdzieści osiem godzin, to jak mgnienie oka. I bynajmniej nie jest mi do śmiechu. Mój przyjaciel osłupiał na samą wzmiankę o przyjęciu Złotego Kręgu. Ten coroczny bankiet u rektor McCarthy jest tak ekskluzywny, że większość wykładowców nie ma co liczyć na zaproszenie.

– Dobrze, panie profesorze – ustępuje w końcu Natalie.

Moje westchnienie ulgi jest wyjątkowo słyszalne. Podobnie jak cichy jęk frustracji, który tłumilem przez cały dzień.

– Mam powyżej uszu nazwiska Veroniki Valari. Mój dzienny limit został oficjalnie wyczerpany – mruczę pod nosem, na poły do siebie, na poły do mojej jednoosobowej publiczności.

– Wejściówka na premierę filmową, co? I przyjęcie Złotego Kręgu? – Jesse porusza szczęką, wpatrując się w swoje splecione na kolanach dłonie. – Rada chyba naprawdę poszła po rozum do głowy i postanowiła zgotować ci królewskie powitanie.

Wciągam gwałtownie powietrze.

– Jesse...

– Hej, wszystko gra, stary.

– Zapewniam, że nie gra.

– Daj spokój. – Opuszcza rękę. – Przecież mnie znasz, profesorku. Czy jestem wkurzony, że idziesz na uniwersytecki odpowiednik VIP-owskiego afterparty? Jasne. Ale czy będę miał ci to za złe? – Prycha burkliwie. – Pieprzyć to.

– Chcesz się zamienić miejscami? – pytam pół żartem, pół serio, czemu daję wyraz

spojrzeniem. – Dobrze wiesz, że takie imprezy przyprawiają mnie o drgawki.

– Pewnie, że wiem. Co tylko ostatecznie potwierdza moje obawy.

– Jakie obawy?

– Że zakochałeś się na zabój. – Znowu splata dłonie. – To jasne, że od naszej ostatniej rozmowy ominąłeś parę szczegółów, które zaczynają się na „Kara”, a kończą na „Valari” – dodaje, poruszając znacząco brwiami.

– I możesz sobie pomarzyć, że się nimi z tobą podzielę – odpowiadam z przekąsem.

Wzrusza ramionami.

– Twój wieloletni najlepszy przyjaciel nie traci nadziei.

Choć to tylko przekomarzanki, podsuwają mi pewien pomysł. Przyglądam mu się badawczo, pocierając brodę.

– Czy mój wieloletni najlepszy przyjaciel przyjmie zaproszenie do Złotego Kręgu jako gałązkę oliwną?

– Wow. Mówisz serio?

– Jak najbardziej. – Zginam palec i opieram brodę na knykciach. – Nie wiem, czy mam jakies wpływy u czcigodnej Veroniki, ale zapytać zawsze warto.

Jesse robi na poły pokorną, na poły zdumioną minę.

– No dobra, ale gałązka oliwna jest zupełnie niepotrzebna. Między nami wszystko gra. Nie musisz niczego udowadniać.

– Ale może chcę. I może...

– Co? – dopytuje, nie doczekawszy się reszty zdania.

Wciąż milcząc, obracam się z fotelem i wstaję, żeby wyjrzeć przez okno.

– Może mam w tym swój interes.

Na szczęście Jesse ugina się pod presją i nie draży tematu. Mam tylko nadzieję, że te kilka słów mu wystarczy, żeby załapać. Zazwyczaj czyta we mnie jak w otwartej księdze, a w najbliższą sobotę ta księga może potrzebować podpórki.

– Skoro tak wyglądają sprawy, to wiesz, że możesz na mnie liczyć, przyjacielu. Nawet jeśli skoczmy na główkę w sam środek rodzinnej burdy Valarich.

– Dzięki, ale obawiam się, że tym razem to nie moja głowa wiedzie tu prym. – „Choć możliwe, że mam najbardziej przerażane”.

Zwłaszcza jeśli znajdę się w jednym pomieszczeniu z Ardenem Prietem. Z którym może nawet będę zmuszony zamienić parę słów.

Choć zespół PR-owy Veroniki dwoi się i troi, by uczelnia zaakceptowała nowe *status quo*, Kara nie jest w stanie nawet spokojnie wymówić imienia tego faceta.

Muszę trzymać się faktów z nadzieją, że Prieto podziela te odczucia i będzie grzeczny. Że udobruchanie piekielnych zwierchników jest dla niego ważniejsze niż chęć bitki z synem cholernego Zeusa.

Zmuszam się, by zdusić w zarodku fantazje o takiej konfrontacji. Bo to przyjęcie po prostu musi się udać. Wszystko w tym tygodniu musi się udać.

Jeśli nie zrobimy z Karą furory w rubrykach towarzyskich...

Jeśli Z. schrzani pojednanie ze swoimi braćmi...

Jeśli Arden postanowi nie być grzeczny...

Nie chcę sobie nawet wyobrażać nieuniknionych konsekwencji. Życia bez Kary.

Prawda jest brutalna i mrozi krew w żyłach jak zimny wiatr, który dobija się do okna i zrywa suche liście i gałązki z rosnących na dziedzińcu drzew. Przechodzący pod moim gabinetem ludzie kulą ramiona opatuleni szalikami i lekkimi kurteczkami. Z dnia na dzień południowa Kalifornia stała się Nowym Jorkiem. Krajobraz zmienił się nie do poznania.

Tak jak ja. Stałem przed nowym, niekontrolowanym żywiołem i usiłuję wymieść suche liście z umysłu.

Bo w nadchodzących dniach, tygodniach, a nawet miesiącach zachowanie trzeźwego umysłu i samokontroli będzie ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Rozdział 10

Kara

– Co dokładnie zamierza pani zrobić z tyloma zakazanymi owocami, panno Valari?

Płacąc dziewczynie przy jednym ze straganów na targu rolnym, uśmiecham się pod nosem, próbując nie zwracać uwagi na żartobliwe pytanie Maximusa.

– Dziękuję bardzo – bąka dziewczyna, drżącymi rękoma wydając mi resztę i podając pełną torbę dojrzałych jabłek goldrush. – Życzę miłego dnia.

To zdenerwowanie, które staram się ukoić uśmiechem, od razu ją zdradza. Jest jedną z kilkunastu osób, które zdążyły mnie tu rozpoznać. Jak zwykle nagle wszyscy zapragnęli zrobić sobie selfie. Kątem oka zauważyłam paru przyczajonych paparazzich sprzed Yamashiro's, ale na szczęście tego popołudnia udało mi się uniknąć pełnej nagonki. Miła odmiana od hordy fotoreporterów, którzy od paru ładnych dni obsiadają nas jak muchy podczas każdego wyjścia.

Zanim Maximus odbiera ode mnie torbę i zawiesza ją sobie na ręce razem z innymi, częstuję się złocistym jabłkiem.

– Nie wspominając o reszcie świeżych płodów rolnych, których wystarczy nam chyba do końca życia – dodaje.

Pozwalam sobie na chwilę zachwyty nad jego olśniewającą męską urodą. Zafascynowana jego zmierzwionymi przez wiatr włosami i muskułami poruszającymi się pod obcisłą czarną koszulką i džinsami, prawie zapominam, gdzie jestem. Który to dzień tygodnia. A nawet jak mam na imię.

– Wiesz, jabłko to tylko metafora – wyduszam z siebie. – Prawie na pewno nie jest osławionym zakazanym owocem, który wpędził biedną Ewę w takie tarapaty.

Przerywa mój wykład, podkradając mi jabłko i wgryzając się w nie z łobuzerskim spojrzeniem.

– *Malus* – ciągnę – to po łacinie zarówno „zło”, jak i „jabłko”. To tylko gra słów. Dziwię się, że pan o tym nie wiedział, profesorze Kane.

– A skąd to przypuszczenie?

Odbieram mu owoc.

– Bo jesteś z tych, co przerywają, gdy znają odpowiedź. A tymczasem słyszałam tylko, jak pałaszujesz moje jabłko.

Chichocze pod nosem.

– To mi wygląda na lekką projekcję, skarbie. Tęsknisz za zajęciami na uczelni?

– Głównie twoimi – odpowiadam z westchnieniem zmęczenia.

Prawdę mówiąc, tęsknię nie tylko za jego wykładami o naturze grzechu i moralności czy swoimi jeszcze bardziej grzesznymi myślami wywołanymi jego poetyckim barytonem i pełną gracji gestykulacją. Brakuje mi spokoju panującego na kampusie i studiów w ogóle, ale moja nowa rola nie pozwala mi wrócić do życia akademickiego, które tak bardzo kocham.

Może zatem za wcześnie podziękowałam mamie za wyrozumiałość. Może zgodziła się na mój powrót na uczelnię z pełną premedytacją, dobrze wiedząc, że przy napiętym grafiku, który nam przygotowała, to będzie niemożliwe.

Tak czy inaczej mamy teraz większe problemy. Czyhają na nas zagrożenia, o jakich mi

się nie śniło. Kolejne zmartwienie, o którym nie wiem, jak powiedzieć Maximusowi – a nawet czy w ogóle powinnam o nim wspominać.

W głowie wciąż mam rozmowę z dziadkiem. A odkąd ileś godzin temu zostawiłam go z mamą, żeby porozmawiali na osobności, wypatruję najmniejszej zmiany kursu mojej rodzicielki. Ciągle nic... Czekam i się zamartwiam.

Żartobliwy uśmiech Maximusa schodzi mu z ust, gdy tylko nasze spojrzenia się spotykają, zupełnie jakby zauważył moją zmianę nastroju.

– To może jutro? Możemy pojechać na kampus razem.

Przechodząc przez ulicę w drodze powrotnej do mieszkania Maximusa, unikam jego wzroku.

– Może. Na razie nie mogę niczego obiecać.

– Dlaczego?

– Przygotowania do pojawienia się na czerwonym dywanie przypominają przedstudniówkową gorączkę. Potrafią zabrać cały dzień. – Przerrywam, usiłując ukryć przerażenie w głosie. – A co do twojego wcześniejszego pytania, to pomyślałam sobie, że skoro gramy „prawie małżeństwo”, to upiekę tarty jabłkowe. Nie znam się za bardzo na pieczeniu i pewnie daleko im będzie do tych, które zamówiliśmy w Yamashiro’s, ale... och... – Patrzę na zegarek i tracę nagle wątek. – Cholera.

– Co się stało?

– Nic, nic. Po prostu straciłam rachubę czasu. – Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Maximus marszczy brwi.

– Mamy gdzieś być?

My? Nie.

Ja? Niestety tak.

– Muszę załatwić małą sprawę – mówię, ukrywając grymas. Maximus jest najważniejszą osobą w moim życiu, co oznacza, że powinnam jak najrzadziej go okłamywać, ale ciągle muszę przed nim coś ukrywać. Nienawidzę za to siebie i całej tej sytuacji.

Na szczęście docieramy już do drzwi jego kamienicy. Kilka następnych minut zajmuje nam wniesienie toreb do mieszkania i ich rozpakowanie. W jednej z górnych szafek kuchennych znajduję drewnianą misę i układam w niej owoce, tworząc kolorowy stroik.

Po paru minutach ciszy podnoszę wzrok, zdziwiona, że tak długo milczy. Łapię go na przyglądaniu mi się przezrystymi jak niebo za oknem błękitnymi oczami, więc zaczynam wpatrywać się w niego równie otwarcie. Stoi oparty o blat z ręką w kieszeni, teraz już bezwstydnie się na mnie gapiąc.

– Miło widzieć, że czujesz się tu jak u siebie – mówi cicho.

Czuję, że rumieniec zalewa mi policzki, bo rzeczywiście tak jest. Choć w porównaniu z moim apartamentem jego kawalerka jest skromniutka, jest tu bardzo przytulnie. I cicho. A co najważniejsze, z nikim nie musimy jej dzielić. Jest tylko nasza.

Co nie znaczy, że nie doceniam mojego lokum na wzgórzach. To lepsze niż mieszkanie w ogromnej rodzinnej posiadłości, która choć wyposażona we wszystkie udogodnienia, znajduje się niebezpiecznie blisko oka cyklonu, czyli mojej matki.

Niemniej biorąc pod uwagę fakt, że za Kell prawie nie zamykają się drzwi, a wysłannicy mamy bez przerwy czegoś od nas chcą, odkąd zjawiła się tamtego ranka w towarzystwie Z., nie mamy ani chwili prywatności.

Niezbyt romantycznie...

Za to Maximus patrzy na mnie bardziej niż romantycznie. Jego płomienne spojrzenie zamknięte w kobaltowych pierścieniach tęczówek mówi o szukającym ujścia pożądaniu,

wzmagając moje własne. Niczego nie pragnę bardziej, niż je zaspokoić.

Niemniej przelykam ślinę, uspokajając kipiącą w żyłach krew, i na powrót skupiam się na układaniu owoców w misie. Nie ma sensu zaczynać tego, czego nie będziemy mogli dokończyć.

– Mama nawet chce, żebym spędziła tu parę dni. To podobno niepowtarzalna okazja, żeby zabłysnąć. Więc jeśli się zgodzisz, to może po premierze...

– Karo, gdyby to ode mnie zależało, nigdy bym cię stąd nie wypuścił – rzuca cicho i szybko. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że mówi szczerze, przy okazji rozpalając mnie na nowo.

Zamykam oczy z westchnieniem, upojona bardziej jego uwielbieniem niż gorączką zmysłów.

– Gdyby to zależało ode mnie, ja ciebie też nie. Szkoda, że to nie takie proste.

Przypada do mnie jednym długim krokiem, obejmuje szeroką dłońią za biodro i odwraca twarzą do siebie.

Podnoszę na niego wzrok i rozchylam usta, oszołomiona jego siłą i szybkością. Nie wspominając o jego obezwładniającym pragnieniu naszej bliskości. Pragnieniu mnie. Każda cząsteczka powietrza między nami jest przesycona tą piękną, niezaprzeczalną prawdą.

– Mogłoby takie być – szepcze.

– Co takiego? – wyduszam z siebie.

– Nasz związek. To wszystko. Do diabła z czerwonym dywanem. Do diabła z zajęciami, pozowaniem do fotek i wszystkim, co nas od siebie oddala. Sądząc po lawinie powiadomień w moim telefonie, mogę cię z ręką na sercu zapewnić, że nasze „działania promocyjne” przyniosły bardziej niż zadowalające efekty. Chryste, już zdążyliśmy się dorobić przydomka „Maxkara”.

Wybucham ściszym śmiechem.

– Prawie chwytliwe.

– Czy nie zasłużyliśmy na parę dni wolnego? Tylko we dwoje? – Opiera czoło na moim, wpatrując się we mnie jednocześnie namiętnym i bezbronnyim wzrokiem. – I bez ubrań – szepcze z ustami przy moich wargach.

Nabieram powietrza, ale nie daje mi dojść do słowa...

Wygłodniały wpija się w moje usta i przyciska swoje ciało do mojego, a ja daję się porwać zmysłom i tej pięknej fantazji, którą przede mną odmalował. Tylko my. Tylko ten ogień, uczucie spadania i więź. Nasze ciała znowu stają się jednością, a dusze do końca zlewają się w nierozzerwalną całość. Nasze serca biją jak jedno. Nie wychodzimy z łóżka, tracąc rachubę czasu...

Oszołomiona tą perspektywą jęczę z ustami przy jego wargach. Nie jestem w stanie się powstrzymać, choć wiem, że odczyta to jako zielone światło. Zaczyna odpinać guziki z przodu mojej vintage'owej sukienki, uważając, by nie oderwać ich od delikatnej tkaniny.

Wreszcie udaje mu się oswobodzić moje ramię, liże je i skubie zębami. Wyginam się w łuk z westchnieniem. Wsuwam palce w jego długie, gęste włosy. Jęczę z ulgą, gdy mnie podnosi i niesie do łóżka.

Dysząc z podniecenia, rzucamy się na nie w szale brutalnych pocałunków i zachłannych dotyków. Wędruję dłońią po jego umięśnionym brzuchu, podciągając mu koszulkę. Pośpiesznie ją ściąga, by jak najszybciej wrócić do pozbawiania mnie tchu pocałunkami.

Zrezygnowawszy ze zbyt czasochłonnego rozpinania reszty guzików mojej sukienki, podkasuje mi ją do bioder. Podniecona niemal do nieprzytomności czuję tylko dotyk jego palców wsuwających się w moje majteczki i delikatnie pieszczących fałdki skóry.

Gdy docierają do mojej szparki, wciągam z drżeniem powietrze, upijając się jego

zapachem. Pachnie jabłkami i deszczem, ciałem i mięśniami, gorączką i żądzą. Maximusem... mężczyzną, którego tak mocno pokochałam. Pod każdym względem...

Z ust wyrывa mi się jęk, który powtarza, wsuwając we mnie palce szybkim, mocnym pchnięciem.

– Ja... Kara, ja... – Zamyka oczy, twarz wykrzywia mu raptowny przyływ emocji.

Ja też zamykam oczy. Nagły orgazm przesłania i zagłusza wszystko – wszystko prócz idealnego nacisku jego palców na moją lechtaczkę, elektryzującego każdą komórkę mojego ciała. Cóż za rozkoszne delirium.

Cała drzę, gdy nagle jego ruchy spowalniają.

– Jeszcze – jęczę, wciąż czując pulsowanie w podbrzuszu. Pragnę, by i on stracił kontrolę, otrzymując ode mnie rozkosz, tak jak ja od niego.

W tym łóżku. Na tej pościeli.

Jak on to robi? Daje mi orgazm, sprawiając, że po chwili pragnę więcej... Nie mam czasu się nad tym zastanowić, bo ostry dzwonek mojego telefonu kładzie nagły kres obietnicy kolejnego orgazmu.

Maximus opuszcza głowę na narzutę obok mnie.

– Błagam, powiedz, że to nie twoja matka.

Zwiotczała i doszczętnie rozkojarzona jestem w stanie tylko westchnąć.

A potem sobie przypominam.

Maximus delikatnie wysuwa ze mnie palce. Pozbawiona jego dotyku, uświadamiam sobie z bólem, że to koniec naszych pieszczot.

Tym razem mój jęk jest zaprawiony gniewną frustracją.

Maximus wzdycha i przewraca się na plecy, a ja wstaję i dopadam do telefonu tylko po to, by odrzucić połączenie. Ale to nic nie da. Za parę sekund Veronica znowu zadzwoni. Nie przestanie się dobijać, dopóki nie usłyszy głosu w słuchawce. Ta autorska strategia zawsze gwarantuje jej połączenie, z kim chce i kiedy chce.

Odkładam telefon na blat i zaczynam zapinać guziki sukienki.

– Co robisz? – Maximus siada na brzegu łóżka. Od mojego dzikiego dotyku ma doszczętnie zmierzwiłone włosy, a policzki zaróżowione, co jeszcze podkreśla błękit jego oczu.

Czegóż bym nie dała, by móc wyłączyć telefon i wrócić z nim do łóżka! Na wiele godzin. Dni.

– Jestem umówiona – mówię jednak z nadzieją, że widząc mój pośpiech, nie będzie dopytywał o szczegóły.

Ale nie z Maximusem takie numery. Nadzieja opuszcza mnie, gdy tylko dźwiga się z łóżka.

– Z kim?

Przełykam ślinę, skupiając się na guzikach.

– No dobrze – mówię w końcu. – Powinieneś wiedzieć. Spotykam się z Ardenem. W jego biurze przy Rodeo Drive. Mama chce, żebyśmy dokończyli rozgrzebany projekt. Bez dyskusji.

Odpowiedź Maximusa przychodzi po kilku długich sekundach. Chyba najdłuższych w moim życiu.

– Z Ardenem.

Nie muszę na niego patrzeć, by wyczuć jego wzburzenie.

– Przykro mi. To tylko chwilowa sytuacja. Skakałabym z radości, gdybym już nigdy więcej nie musiała go oglądać, ale mama jest nieugięta...

– Nie. – To krótkie słowo brzmi w jego ustach jak kategoryczny zakaz.

Wreszcie ośmielam się na niego spojrzeć. Niemal natychmiast jeszcze wyraźniej

wyczuwam nagłą zmianę jego emocji. W mgnieniu oka dzikie pożądanie i zwierzęca chuć zamieniły się w dziką wściekłość i zaborczość.

– Nie spotkasz się z nim sam na sam. Czy Veronica postradała rozum?!

– Niewykluczone. Ale jest pewna, że będę przy nim bezpieczna.

To ostatnie mówię z udawaną żarliwością. Przy Ardenie nigdy nie czułam się specjalnie bezpieczna, a w swoim najgorszym wydaniu sprawiał, że miałam ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie. Dobrze to pamiętam. Nie chcę jednak niepotrzebnie martwić Maximusa. Jakoś wytrzymuje stres związany z tym nowym życiem, ale do kiedy? Już wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Kręci głową.

– Nie wierzę w to. Nie ufam jej. A już na pewno nie ufam jemu.

– To moja matka, Maximusie. Komu mam ufać, jeśli nie jej?

– Czy naprawdę możesz jej ufać?

Milknę, bo jego dobitne pytanie zmusza mnie do postawienia własnych. Czy na pewno jej ufam? Bezwzględnie? Biorę głęboki oddech, zyskując trochę czasu, by się nad tym głębiej zastanowić.

– Tobie ufam, a przecież znamy się stosunkowo krótko. Ufam Z., bo być może tylko on potrafi mnie teraz uratować. I... tak, ufam mojej matce, bo nią jest. To trudna osoba, wiem.

Na te słowa Maximus zaciska mocniej szczęki.

– Owszem, potrafi być podła. I nie umie okazywać miłości. Może i nie darzymy się wielkim uczuciem, ale wierzę, że leży jej na sercu moje bezpieczeństwo. I za wszelką cenę chce mnie utrzymać przy życiu.

Przez chwilę się boję, że Maximus nie odpuści, ale on tylko patrzy na mnie bez słowa. Jego oddech się wyrównuje, jakby zaczynał rozumieć to całe szaleństwo. Nielogiczną, wieczną sprzeczność drzemącą w mojej matce. I w mojej rodzinie. W moim życiu demona, który robi wszystko, by być kimś innym.

– W porządku – mówi w końcu, zakładając z powrotem koszulkę.

– Okej – odpowiadam, zaskoczona tą nagłą zmianą frontu.

– Ale idę z tobą.

Rozdział 11

Maximus

Karze nie podoba się moje ultimatum, ale gdy pomagam jej wsiąść do furgonetki, zatrzymuję dłonie na jej talii, okazując milczącą wdzięczność za tę niechętną zgodę na moją eskortę.

Mam nadzieję, że wyczuwa i resztę moich uczuć. Moją awersję do samego siebie, że stawiam ją w takiej sytuacji. Rozpaczliwy żal, że nie jestem w stanie zmienić zdania. Ale teraz to niemożliwe. Ani trochę nie ufam Veronice i Ardenowi. Ten facet to jadowita żmija na usługach piekła.

Tak więc czy Karze się to podoba, czy nie, nie odstąpię jej ani na krok. I wszyscy będą musieli to przełknąć.

– Maximusie...

– Hmm?

– Może zastanów się nad tym na spokojnie.

Uruchamiam silnik.

– Dziękuję za troskę, moja piękna. Wiem, że wypływa z głębi serca.

– Gdybyś naprawdę w to wierzył, zastanowiłbyś się nad tym jeszcze – powtarza tonem zdradzającym upór czywy niepokój.

Zamiast wygładzić pocałunkiem małą zmarszczkę między jej brwiami, wbijam wzrok z powrotem w GPS. Ależ ona jest seksowna, kiedy się denerwuje.

– Nie muszę się więcej nad niczym zastanawiać. – Moja krew rozgrzewa się niczym silnik pod maską furgonetki, zaczyna mi kipieć w żyłach i w końcu budzi się we mnie syn władcy Olimpu. Królewski duch. Dobrze jest dać mu wreszcie ujście. – Kto wie, może nawet przydam się wam w tym poszukiwaniu skarbów.

– W charakterze najcenniejszej zdobyczy?

Nie pozostaję obojętny na to pochlebstwo. Nachylam się, by podziękować jej za nie szybkim, acz gorącym pocałunkiem. Nie przeszkadza mi nawet, że jakiś uparty paparazzo dostał się do garażu i zrobił nam w tym momencie fotkę – dopóki do pojedynczego błysku flesza nie dołączy drugi.

Gwałtownie się odwracam i gdy tylko dostrzegam obu mężczyzn, włosy jeżą mi się na głowie, jak w zeszłą sobotę na widok tej samej parki przy barze w Yamashiro's. W ciągu dwóch sekund, kiedy przenieśliem spojrzenie na Karę, fotoreporterzy zdążyli się jednak zmyć, prawdopodobnie na niższy poziom garażu.

– Widziałaś ich? – pytam. Wiem, że to bez sensu, ale bynajmniej mnie to nie zraża. – Jeden z nich wyglądał jak zadowolony z siebie surfer i utykał, a drugi gapił się na mnie jak jakiś cholerny wilk.

Kara wybucha lekkim śmiechem.

– To dość szczegółowy opis, nawet jak na ciebie.

– Bo już ich widziałem.

– Bardzo możliwe – potwierdza. – Wielu z nich ma swoją „specjalizację”. Niektórzy fotografują mnie i moje rodzeństwo od wielu lat.

– A czy któryś gapi się na ciebie, jakbyś właśnie spadła z nieba?

Jej uśmiech blednie.

– To wcale nie jest śmieszne.

– Bo nie miało być.

Z ciężkim westchnieniem opiera się o fotel.

– A my nie powinniśmy się spóźnić – szepcze z delikatnym naciskiem.

Poruszam barkami, próbując pozbyć się tej paranoi – bo to nic innego, do diabła. Zamiast za każdym rogiem szukać wymagowanych potworów, powinienem się skupić na prawdziwym, który czeka na nas parę kilometrów stąd. Zmierzając w stronę Wilshire w drodze do Beverly Hills, na wszystkich światłach zerkam na Karę. Na jej twarzy maluje się stoicki spokój. Stuka palcem o podłokietnik w rytm leżącej w radiu piosenki. Ewidentnie ona też nie tak wyobraża sobie wymarzone popołudnie, ale robi dobrą minę do złej gry i nie narzeka, co tylko jej się chwali.

Pomimo sfrustrowania całą tą sytuacją jestem cholernie dumny, że mogę stać przy jej boku. Kara jest moją inspiracją. Daję temu wyraz, kładąc jej pewnie rękę na kolanie.

– Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką znam, Karo – szepczę.

Przykrywa dłonią moją rękę.

– Tyle że nie do końca jestem osobą, Maximusie.

– Skoro tak, to ja też nie. A mimo to zastanawiam się, jak przez tyle godzin utrzymam ręce przy sobie.

Jej szeroki uśmiech odpowiada mojemu podnieceniu.

– Może w takim razie zrób z nich użytek w jakiejś fantazji?

– Dobry pomysł.

– Ale musisz obiecać mi jedno – szepcze.

– Tylko?

– Postaraj się wszystko zapamiętać, bo później cię przepytam.

W odpowiedzi chichoczę cicho.

– Z moich fantazji?

– Może nie tyle przepytam – poprawia się – co przeegzaminuję. I uprzedzam, że może nam zejść do rana.

Wypycham językiem policzek.

– W takim razie musisz zostać na noc. A może i dłużej.

– Bez tego z pewnością się nie obejdziesz.

– A czy w trakcie egzaminu będzie można korzystać z notatek?

– Z notatek? – Prycha uroczo. – A kto wspominał o notatkach?

Posyłam jej figlarne spojrzenie.

– To nie fair.

Gdy tylko się odwraca na fotelu, czuję, jak przepala mój profil płomiennym wzrokiem.

– Wiesz, co jest nie fair?

– Hmm?

– Tyle godzin czekania, żeby znowu mieć cię w sobie.

Mówi to praktycznie szeptem, co dodaje jej neodpartego uroku. W tym przepastnym fotelu pasażera jest taka malutka, kusząca i zniewalająca.

– O ile pamiętam, jestem demonem, nie zakonnicą.

Wciążam powietrze, chyba po raz setny sięgając po najgłębsze pokłady silnej woli, odkąd było mi w niej tak cudownie.

– Moje ciało nie pozwala mi o tym fakcie zapomnieć – zapewniam, czule na nią

spoglądając. Mam ochotę pieścić ją nie tylko spojrzeniem, ale w tej chwili sobie nie ufam. Niemniej wodzi mnie dalej na pokuszenie, krzyżując ręce na piersiach, które zamieniają się w jędrne śliweczki.

– Dość powiedzieć, że okazuje to pan w zabawny sposób, profesorze.

– Nie „zabawny”, Karo – poprawiam kojącym tonem, którego potrzebuję na równi z nią. – Chcę się tylko upewnić...

– Że? – dopytuje, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

Pieprzyć to. Postanawiam zaryzykować i zamykam jej dłoń w swojej. Jak zawsze czuję między nami ten niesamowity przepływ energii, ale biorę kilka głębokich oddechów, zanim krew zacznie kipieć mi w żyłach.

– Nasza intymna bliskość jest jak promień zachodzącego słońca na tafli oceanu. Wiesz, co mam na myśli? – Mam wrażenie, że to cholernie banalne, ale nie ma już odwrotu. – To tylko maleńki fragment czegoś dużo większego. Ocean trwa, a te światełka znikają po paru chwilach. Ale czas, gdy się na nie patrzy, to najpiękniejszy moment dnia.

Zaciska swoje paluszki na moich, a na jej ustach pojawia się cudowny, słodki uśmiech.

– Tak – szepcze. – Wiem, co masz na myśli.

– Więc rozumiesz, dlaczego nie mogę po prostu wskoczyć z tobą do łóżka i znowu cię zerznąć, Karo. – Przykładam sobie do ust jej knykcie. – Dopóki trwa to szaleństwo – odwracam jej dłoń i składam na niej delikatny pocałunek – jesteś ogniem tańczącym na moim oceanie. Zachodem słońca, na który warto czekać.

Słyszę jej urywany oddech. Upajam się nim i wspólnym biciem naszych serc, które czuję przez nasze splecione dłonie.

Nagle zdaję sobie sprawę, że już dojeżdżamy do biura Prieta. Kipiącą mi w żyłach krew momentalnie skuwa lód. Mojej uwagi nie rozprasza nawet tętniący życiem szyk Wilshire Boulevard z jego awangardowymi rzeźbami, siłowniami i salonami egzotycznych aut.

Gdy rzucam kluczyki parkingowemu pod biurem Ardena, jestem już opanowany jak nigdy i dla dobra Kary obiecuję sobie, że taki pozostanę. Podaję jej ramię i przechodzimy przez zadbane, porośnięty bujną roślinnością wewnętrzny dziedziniec, po czym wsiadamy do windy i wjeżdżamy na drugie piętro. Wychodząc z niej, udaje mi się nawet przywdziać maskę spokojnej obojętności. Docieramy do zdobionych podwójnych drzwi, które bardziej pasują do Wersalu niż eleganckiego budynku w Beverly Hills w stylu marokańskim.

Nagle drzwi się otwierają i ukazuje się w nich uśmiechnięty Arden Prieto, wystrojony, jakby od rana udawał Humphreya Bogarta.

– Droga Karo – grucha, przeciągając każdą sylabę – wyglądasz jak marzenie – mruczy uwodzicielsko, bezwstydnie rozbierając ją spojrzeniem.

Mam wrażenie, że ręce zaczynają mnie świerzbić.

Sekundy dłużej się w nieskończoność, zanim łaskawie mnie zauważy, jeśli można tak odczytywać jego spuszczonego wzrok. Uroda Kary, choć olśniewająca, z pewnością nie przesłoniła mu mojej imponującej postury i dłoni jak bochenki. Mój wygląd sprawdza się przy pacyfikowaniu uczelnianych błaznów i typowych dupków, ale w oczach Ardena pojawia się jedynie rozbawienie.

– Profesorze Kane, nie spodziewałem się pana. – Jego zadowolony uśmiešek przeradza się w grymas. – Zresztą jak my wszyscy.

– Arden – syczy Kara.

– W porządku, kochanie – szepczę, choć wcale tak nie myślę.

– Żadne w porządku. – Kara wbija w Prieta rozgniewany wzrok. – Jestem tu tylko dlatego, że mama mnie o to prosiła, okej? Z szacunku do niej i mojej siostry nie będę robiła

problemów, jeśli ty nie będziesz ich robił. Twój wybór.

– Mój wybór. – Prieto przybiera kolejną wystudiowaną pozę i przekrzywia głowę. – Jesteś tego pewna? Bo gdybym rzeczywiście mógł wybierać...

Mam wrażenie, że Karze opadają ręce, jakby jego sarkastyczne prztyczki już zaczynały ją męczyć.

Mam ochotę zmiażdżyć mu twarz.

Zamiast tego biorę Karę za rękę.

– Arden, zaskocz nas wszystkich. Bądź dżentelmenem ze swoich marzeń, a nie nastolatkiem, który się dąsa, bo dziewczyna nie chce z nim iść na bal maturalny.

– Powiedział facet, który zdążył przelecieć królową tegoż balu – odcina się Arden z przesłodzonym uśmiechem i rozbawieniem księcia zła.

Przejrzawszy jego grę, napinam każdy mięsień. Nadal otwarcie mnie prowokuje, czyli albo jest głupi, albo pomylił odwagę z brawurą. Ewentualnie dla własnych celów próbuje doprowadzić mnie do wybuchu zazdrości. Stawiam na to ostatnie, więc tłumię wściekłość. Znowu. A że to niełatwe, skupiam się na głębokim oddechu, nie zwracając uwagi na burzącą się w moich żyłach krew. Nie będę tańczył, jak mi Prieto zagra – i nigdy nie dostanie Kary.

– Niektóre rzeczy są nic niewarte – mówię, zerkając na nią. Jej pełne determinacji spojrzenie prawie zwała mnie z nóg. Jej oczy są jak zachodzące za horyzontem słońce. „Na taką chwilę warto czekać”.

– A inne wprost przeciwnie. Na przykład zamknięcie tej sprawy, żebyśmy mogli jak najszybciej wrócić do domu. – Kąciki jej ust lekko się unoszą. – I upiec tarty jabłkowe.

Tym razem jestem przygotowany na złośliwy komentarz Prieta, ale ten milczy. Już nawet nie chce mi się na niego patrzeć, ale nie odrywając oczu od Kary, czuję na sobie jego wzrok.

W końcu głośno odchrząkuje. Dla moich uszu to jak dzwony zwycięstwa.

– Veronica poprosiła mnie, żeby pokazał ci najnowsze propozycje do kolekcji.

Pewnego dnia – miejmy nadzieję, że już wkrótce – wypieki i migdalenie będą naszymi jedynymi zajęciami. Ale na razie mój zjawiskowy mały demon musi przykleić uśmiech do ust.

Arden unosi brew i zaprasza nas gestem do swojego gabinetu. Nie tracąc czasu, kładzie Karze dłoń u podstawy pleców, by pokierować ją do biurka. Trzymam się z tyłu, ale nie na tyle, by kątem oka nie widział mnie i mojego ciskającego gromy spojrzenia. Jeśli zsunie tę łapę choćby centymetr niżej... nie rękę za siebie.

– Ten eksponat znalazłem wczoraj – zaczyna. – Jest bardzo interesujący.

– Piękny – przytakuje Kara, przyglądając się fotografii okrągłego przedmiotu z misternymi srebrno-złotymi zdobieniami, przedstawiającego postacie kobiety i mężczyzny. – To talerz? A nie, ma wgłębienie wzdłuż brzegu i bulwiaste wgłębienie na środku. To patera.

Arden mruczy z aprobatą, a ja w duchu zgrzytam zębami, ale zachowuję kamienną twarz.

– Masz znakomite oko. Starożytni Grecy używali tych płytkich mis podczas libacji. Ale to bez wątpienia już wiesz. – Uśmiecha się bezczelnie. – Twoja specjalizacja to zapewne szeroko pojęta starożytność, a nie historia sztuki albo archeologia?

Kara się śmieje, ale tylko z grzeczności. Nieraz słyszałem ten śmiech, kiedy byliśmy w restauracji. Nawet nie ma uniesionych kącików ust.

– Wiem tylko, co to za artefakt – kryguje się. – Nie umiem określić, kto go wykonał ani kiedy. Nie mam nawet pojęcia, co symbolizuje ta para.

Arden się cofa, opiera biodrem o krawędź biurka i krzyżuje ręce na piersi. Rzuca mi przy tym zabójcze spojrzenie, które jednak nie robi na mnie żadnego wrażenia, bo wreszcie zabrał łapska od Kary.

– Artysta nieznany – mówi. – Zapewne dlatego, że patera pochodzi z czwartego–piątego

wieku przed naszą erą. W datowaniu pomogła również jej tematyka.

Robi kolejną wymowną pauzę i przenosi wzrok na mnie.

– To para kochanków, prawda? – upewnia się Kara. – Ci starożytni poganie zdecydowanie umieli oddać zakochane spojrzenia.

Arden wciąga powietrze przez nos i unosi swoją rzeźbioną brodę modela.

– To Herakles i Megara.

– Herakles. – Imię jest mi oczywiście znane. Odkąd wszedłem w wiek dojrzewanania, przynajmniej raz na tydzień ktoś porównywał mnie do tego greckiego odpowiednika rzymskiego Herkulesa. – Syn Zeusa i śmiertelniczki.

– Bardzo dobrze, profesorze – mówi Arden, opuszczając ręce między wyciągnięte nogi. – Znasz ich historię?

Oto i ono. Sedno, do którego od początku umiejętnie zmierzał. Moja mała wielbicielka starożytności powinna teraz radośnie nadstawić uszu, ale nic z tych rzeczy. Wprost przeciwnie, sztywnieje i rzuca fotografię na biurko, jakby nagle zajęła się ogniem.

– Arden – zaczyna drżącym głosem, po czym odchrząkuje – nie mamy czasu wysłuchiwać wykładów o każdym z tych eksponatów.

– Ani ochoty – dodaję z niemal warknięciem, obserwując jej rosnące podenerwowanie. Mam ochotę wybić dziurę w ścianie, ale bardziej przysłużę się Karze, wspinając się na wyżyny akademickiego intelektu. Poza tym jestem ciekawy, do czego on zmierza. – Megara była córką Kreona – ciągnę. – Królową tebańską. Została подарowana Heraklesowi w podzięcie za wojenną pomoc i urodziła mu kilku synów.

– Brawo, profesorze. – Prieto klaszcze w dłoń, ale bardziej przypomina to przywoływanie psa niż aplauz. – A teraz pytanie bonusowe. Jak skończyła nasza zakochana para?

– Zapewniam, że to nie ma absolutnie nic wspólnego z tym artefaktem czy naszą ofertą cenową. – Pomimo zdecydowanego tonu Kara przestępuje z nogi na nogę.

Nie mogę znieść rosnącej arogancji Ardena, ewidentnie napędzanej przez jej podenerwowanie.

– Och, bez przesady. Z pewnością wiesz, że każda opowieść jest ważna, prawda?

– W przypiływie szaleństwa Herakles zabił Megarę i swoje dzieci – mówi wreszcie Kara. – Zadowolony? Możemy już przejść do następnego eksponatu?

Arden odpycha się od biurka wesolutki jak szczygiełek.

– Posądźcie mnie o okrucieństwo, ale to mój ulubiony fragment.

– Ale to nie była wina Heraklesa – oponuję.

– Masz całkowitą rację. Cóż za piękna tragedia. Nie miał najmniejszych szans z opętaną zazdrością Herą, która poprzysięgła sobie, że nie spocznie, dopóki nie zniszczy jego szczęścia. – Odwraca się i rzuca mi zuchwałę spojrzenie. – Czy nie tak?

Wzruszam ramionami. Próbuje nam tylko namieszać w głowach dla chorej uciechy. Jestem tego pewny, choć jego gierki zaczynają mnie niepokoić.

Tym razem to Kara klaszcze w dłoń.

– Okej, panowie, wystarczy tych bajek. Wszyscy jesteśmy na tyle wykształceni, by darować sobie te bezsensowne bajdurzenia.

– Z całym szacunkiem, ale nie mogę się zgodzić. – Arden obchodzi biurko i staje pewnie na rozstawionych nogach. – Dałaś mi motyw i choćby piekło zamarzło, wykonam zadanie. A poza tym to ty postanowiłaś powiększyć naszą dwuosobową grupę roboczą. – Wykorzystuje okazję, by rzucić mi kolejne spojrzenie, nie mniej zabójcze i wyrachowane. – Cóż za heroiczny potencjał, profesorze. Już nie mogę się doczekać końca tej historii. Z całym jej zachwycającym tragizmem.

Tymi słowy Arden wreszcie daje mi w pełni do zrozumienia, za kogo – a raczej za co – trzyma kciuki. Za moją porażkę. Moją nieuchronną zgubę. Pomimo przyspieszonego bicia serca udaję, że to tylko mit. Starożytna historyjka, która nie może mieć żadnego wpływu na nasze życie.

– Wiesz co, kochanie? – szepczę, przyciągając Karę z powrotem do siebie. Już sam zapach cynamonu w jej włosach wywołuje uśmiech na mojej twarzy. – Myślę, że masz rację. To spotkanie rzeczywiście utknęło w martwym punkcie.

Podnoszę wzrok i patrzę na Prieta. Nie opanowałem złośliwego uśmieszku tak dobrze, jak on, ale to ja wychodzę z kobietą, której ewidentnie wciąż pożąda – i nigdy nie będzie mieć. Takie rozdanie jak najbardziej mi pasuje.

– Może lepiej będzie, jeśli ten zestaw omówimy mailowo – proponuje delikatnie Kara. – Masz mój adres. Odpiszę od razu.

– Oczywiście – mówi, ale zaciska usta i wzrok mu lodowacieje – ale będę musiał przesłać nasze wiadomości Veronice. W końcu generał podpisujący czeki ma prawo do inspekcji wojsk.

Kara wzdycha z rezygnacją.

– Skoro tego chce, to żaden problem.

Już dawno nie czułem takiej ulgi jak po wyjściu z jego biura. W windzie Kara jednak wciąż jest zamyślona. Dopiero gdy przechodzimy przez tropikalny dziedziniec i skręcamy w długi sklepiony krużganek, odwraca się i zadziera głowę w stronę jego okna niczym bohaterka powieści gotyckiej.

Nawet w półmroku widzę, że blednie jak ściana.

– Hera – szepcze niemal niedosłyszalnie.

Zatrzymuję się i odwracam ją do siebie.

– Karo? Co się stało? – odpowiadam tak samo drżącym szeptem.

Unosi ku mnie twarz i zagląda mi w oczy z przerażeniem.

– Co, jeśli ma rację?

Krzywię się na samą myśl, że miałbym mu ją w czymkolwiek przyznawać.

– W sprawie czego?

– Hery. I tamtej historii – dodaje. – Co, jeśli...

Śmieję się cicho i wchodzę jej w słowo, by uspokoić jej rosnący niepokój i ukryć fakt, że udzielił się i mnie.

– To tylko mit, Karo. Arden próbuje po prostu zająć nam za skórę. Jest rozgoryczony i za wszelką cenę chce nas wkurzyć, ale nie możemy dać mu tej satysfakcji.

Nie jestem pewien, czy sam do końca wierzę w te słowa, ale wypowiedzenie ich na głos poprawia mi nastrój.

Mimo to Kara potrząsa gorączkowo głową.

– No nie wiem. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie z Z.? Powiedział, że żona trzyma go na krótkiej smyczy. Kogo innego mógł mieć na myśli?

– To tylko mity i legendy...

– Maximusie, nadal nie rozumiesz? Mity i legendy to nasza rzeczywistość. – Jej podniesiony o oktawę głos odbija się echem od ścian krużganku. – Wszystkie zagrożenia, które bagatelizujemy jako niewiarygodne, mogą przynieść nam śmierć. – Przełyka z trudem. – Arden może mieć trochę racji albo wie o czymś, o czym my nie wiemy. Parę dni temu widziałam się z dziadkiem i też nas przed nią ostrzegła. Cały ten medialny rozgłos może przynieść odwrotny skutek, jeśli ściągnie na ciebie niepożądaną uwagę. Jeśli ta historia to prawda... Hera jest bezlitosna. Będzie próbowała cię odszukać i... i...

Na dźwięk jej drżącego głosu zapominam o własnych obawach.

– Oddychaj, Karo – nakazuję kojącym tonem, głaszcząc ją po ręce.

Zamyka usta i bierze głęboki oddech przez nos. Muszę jakoś rozwiązać te nowe obawy, by nie położyły się cieniem na reszcie naszego dnia, ale przed powrotem Z. niczego rozstrzygającego się nie dowiem. Na razie podchodzę do wymysłów Ardena z dużą dozą sceptycyzmu.

Ale mam już pomysł, jak wykorzystać ten skrawek informacji, który otrzymałem. Nawet dobrze się składa.

– Dobrze. Skoro twój dziadek też ostrzega nas przed Herą, to może powinniśmy się gdzieś na chwilę zaszyć.

Przełyka z trudem.

– Może masz rację. Ale premiera... Moja matka...

Nachylam się i przerywam jej delikatnym pocałunkiem.

– Nie pozwolę jej zepsuć nam ani minuty więcej – szepczę w jej idealne usta. – Ani dziś, ani jutro. Dopóki nie porozmawiam z Z., będziemy robić to, co chcemy. Od zaraz.

Rezygnacja i emocje błyszczące w jej oczach dają mi nadzieję.

– U mnie. – Muskam kciukiem jej dolną wargę.

Przygryzam swoją, by nie jęknąć, wyobrażając sobie, co będziemy robić. Kara wypuszcza powietrze z westchnieniem, pozwalając mi się przytulić do piersi.

– U ciebie – szepcze.

Te dwa krótkie słowa uruchamiają w mojej głowie fajerwerki radości i ruszamy do auta. Zauważywszy kątem oka ciemną sylwetkę Ardena przyglądającego nam się przez przeszkloną ścianę gabinetu, nie odmawiam sobie satysfakcji z tego małego zwycięstwa.

Rozdział 12

Kara

Mam obsesję na punkcie dotyku Maximusa. Odurzającego kontrastu między jego siłą a ostrożnością, kiedy się ze mną kocha. Upijam się każdą błogą sekundą, jakby miała być tą ostatnią.

Rozkoszuję się dotykiem jego warg na szyi, jednocześnie delikatnym i brutalnym. Seksownymi szeptami do ucha. Uściskiem silnych dłoni na biodrach, kontrolujących ich kąt nachylenia i mój rytm, kiedy go ujeżdżam, pozwalając mu wchodzić w siebie coraz głębiej i głębiej.

Pościel już dawno została zmieciona z łóżka. Powietrze pachnie seksem. Nami. A moje jęki rozkoszy zamieniły się w ochryple westchnienia.

To już nie gorączka, lecz delirium. Powolne, schyłkowe liźnięcia płomienia palącej się całą noc świecy. Odkryliśmy siebie na tysiąc elektryzujących sposobów. Powinnam być wyczerpana, ale godziny wspinaczki na szczyt rozkoszy bynajmniej nie zmniejszyły mojego pożądanego. Wschodzące słońce przebija się przez niewyraźne poranne deszczowe chmury i wpada do sypialni przez duże okno jego mieszkanka.

Nie chcę jednak jeszcze żegnać tej nocy. Niczym prawdziwa narkomanka łaknę najmniejszego dotyku skóry na skórze. Każdego pchnięcia jego penisa. Każdej bezcennej sekundy naszej bliskości.

– Jeszcze raz – szepcze, sięgając do mojej lechtaczki.

Wstrzymuję oddech i zaciskam dłonie na jego szerokich barkach. Jestem tam na dole zbyt wrażliwa, by znów dojść w ten sposób.

– Nie mogę...

– Owszem, możesz. – Wydanemu niskim głosem nakazowi towarzyszy szatański uśmiech. Drugą ręką oplata mnie zaborczo w tali, unosi biodra i pogłębia pchnięcie, pozbawiając mnie tchu.

Charczę, wbijając mu paznokcie w skórę. Nie wiem, czy mogę szczytować, ale tak bardzo tego pragnę. Przymykam powieki i raz jeszcze daję się porwać cudownej przyjemności.

– Właśnie tak – szepcze, przejmując pełną kontrolę nad moim ciałem i poruszając nim wedle własnego uznania. – Uwielbiam, gdy robisz się taka ciasna.

Jak na zawołanie zaciskam się na jego penisie, gdy wchodzi we mnie szybkim, głębokim pchnięciem. Nie mogę złapać tchu, a przed oczami mam feerię barw. Odchylam bezwładnie głowę, ufna, że nie pozwoli mi upaść. Wykorzystując, że wygięłam się w łuk, zaczyna ssać moje sutki. Drażni zębami ich koniuszki, nie przestając mnie rznąć jak szmacianą lalkę, którą się stałam w jego mocarnych ramionach.

„Jeszcze raz... Jeszcze raz...”

Mój zmęczony umysł uczepia się tej prośby. Podąża za nią. Łaknie jej równie mocno jak wszystkich poprzednich.

Cichy dźwięk kropli deszczu spadających na ulice za oknem tworzy biały szum w tle naszych ciężkich oddechów. Czując nadciągający orgazm, prawie go nie słyszę. Naprężam się i wyginam, przyjmując kolejne fale rozkoszy. Nagle wszystko przesłania mi eksplozja zmysłów,

a w kącikach oczu zbierają się łzy. Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. I szybując tak wysoko, raczej się tego nie dowiem.

Wiem tylko, że gardło mam jeszcze bardziej ściśnięte od słów, których nie jestem w stanie wydusić, choć rozpaczliwie tego pragnę. I to nie po raz pierwszy tej nocy. Każda komórka mojego ciała się domaga, bym powiedziała Maximusowi, że go kocham. Że jestem do szaleństwa owładnięta uczuciem, którego nigdy wcześniej nie doświadczyłam. Co nie znaczy, że nie jestem go pewna. Wiem, czym jest, tak samo jak wiem, że moje płuca oddychają, a krew krąży w żyłach. To może być tylko miłość.

Ale gdy Maximus raz po raz szepcze ochryple moje imię, spuszczać się we mnie, z trudem przełykam słowa, wbijam paznokcie mocniej w jego barki i odmalowuję na nich krwawe półksiężycy. Jeśli Maximus to czuje, zupełnie nie daje tego po sobie poznać. Ślady i tak znikną, zanim złapiemy oddech kolejny raz. Jego zdolność natychmiastowej regeneracji jest podobna do płomieni w moich oczach, które gasną, gdy po porywach namiętności opada kurz.

Długo leżymy spleceni ze sobą, przyglądając się, jak przez chmury przebija się coraz więcej słońca i rozświetla pokój. Wilgotni od potu, pierś przy piersi drżymy po kolejnym intensywnym orgazmie, który na pewno będę wspominać przez cały dzień.

Przed Maximusem nigdy nie miałam kochanka, ale intuicyjnie wiem, że nikt nie byłby taki jak on. Może owa nadprzyrodzona energia między nami bierze się z tego, że oboje nie jesteśmy w pełni ludźmi. Wcześniej na pewno nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. I wątpię, by to się mogło z kimkolwiek powtórzyć. Nawet nie chcę sprawdzać.

Tę odpowiedź znajduję w swojej duszy tuż przed tym, jak po raz kolejny opadamy razem na łóżko, do cna wyczerpani. Nie chcę, by ktokolwiek inny we mnie wchodził, zadomawiając się w moim sercu.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnęłam mu tego powiedzieć... i bardziej się nie bałam tego zrobić.

Powoli zaczynam odzyskiwać rachubę czasu. Na szafce nocnej tyka cicho zegarek. Wstaje nowy dzień. Jeszcze nie poinformowałam mamy, że nasze dzisiejsze plany uległy zmianie, ale jestem przygotowana psychicznie na każde, nawet największe cięgi.

Maximus ma rację. Wystarczy tej medialnej szopki jak na jeden tydzień. A poza tym nie mogę się już doczekać, by wrócić na uczelnię. Tęsknię za normalnością. Względną normalnością. I za pokarmem dla duszy.

A słuchanie poetyckich wykładów mojego ulubionego profesora o Dantem jest dokładnie tym, czego jej trzeba.

Odwracam się do Maximusa i zaglądam mu w oczy.

– Nie mogę się już doczekać twojego popołudniowego wykładu. Mam przeczucie, że szósty krąg piekła będzie jednym z moich ulubionych.

Odpowiada półśmieszkiem, nie otwierając oczu.

– Przez całą noc nie dałaś mi zasnąć i oczekujesz, że po południu będę w stanie myśleć? Kompletnie mnie wykończyłaś.

Podciągam się wyżej i składam słodki pocałunek na jego piersi.

– Coś mi się zdaje, że jeszcze nie wykończyłaś cię „kompletnie”.

Parska śmiechem.

– Mam nadzieję, że żartujesz, Karo. Serio.

– Ty jakoś nie miałaś oporów, by sprawdzić moje rezerwuary energetyczne, więc czemu ja miałabym teraz okazać łaskę twoim?

– Wierz mi, już wiesz, na co mnie stać.

Uśmiecham się szeroko.

– Na szóstkę z plusem – szepczę z ustami przy jego cieplej szyi, wdychając jego zapach. Pachnie letnią burzą. Upałem i piorunem. Czuję się przy nim jak w domu.

Z westchnieniem zadowolenia wędruje opuszkami po mojej ręce.

– Miałaś rację co do tej nieprzespanej nocy. Dobrze, że zrywamy się dziś ze smyczy. Nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, otwiera oczy i bacznie się mi przygląda.

– Bo się z niej zrywamy, prawda?

Kiwam sztywno głową.

– Załatwię to z mamą.

Marszczy lekko brwi i odwraca się twarzą do mnie.

– To dobrze – odpowiada cicho. – Bo po powrocie z zajęć znowu będę chciał cię wziąć.

Chichocząc, opuszczam głowę na wymiętą pościel.

– Myślałam, że kompletnie cię wykończyłam.

– Szybko się regeneruję – odparowuje. – Dobrze o tym wiesz.

– Przepraszam. – Czuję, jak policzki płoną mi ze wstydu. – Mam nadzieję, że nie zrobiłam ci krzywdy.

Całuje mnie w czoło.

– Podobało mi się. Od początku do końca. Podoba mi się, że tak cię to kręci.

– Nie... nie sądziłam, że doznania mogą być tak intensywne.

Muska mój policzek, po czym wsuwa mi palce we włosy.

– Ja też nie.

Wygląda, jakby znowu miał ochotę mnie pocałować, a jak wiemy, pożar może wzniecić najmniejsza iskierka. Jeśli dalej tak pójdzie, to będziemy nie tylko kompletnie wyczerpani, ale i, co gorsza, spóźnieni.

Nachylam się, daję mu buziaka i szybciotko wstaję. Podnoszę z podłogi sukienkę i zerkam na niego przez ramię. Ma rozchylone usta i zamglone pożądaniem oczy.

– Wstawaj, profesorku, bo spóźnimy się na zajęcia.



Gdy kilka godzin później wchodzę do sali, witają mnie jak nigdy ożywione szepty. Maximus sprawia wrażenie osobliwie obojętnego, może dlatego, że tym razem wszyscy rzeczywiście mają o czym szeptać. Nie jestem już tylko sławną dziewczyną, ofiarą dzikich plotek. Teraz to on jest tą plotką. Poświęciliśmy mnóstwo czasu i energii, by ją rozpowszechnić. Choć za sznurki pociąga moja matka, wyrwaliśmy sobie odrobinę kontroli, decydując o tym, co pokazać światu. To zawsze coś.

Przetaczające się przez salę fale nowej energii niemal odwracają moją uwagę od Maximusa, który oblizuje dolną wargę, wertując swój wysłużony egzemplarz *Komedii*. I umięśnionych rąk, na których podwinięte rękawy wyglądają, jakby miały pęknąć w szwach. I jego długich, władczych palców, które pewnie odnajdują pożądaną stronę. Wszystko przynosi mi z powrotem do naszej wspólnej nocy w jego łóżku.

Jestem tu jedyną, która widziała go nagiego. Ogarniętego pożądaniem. Pozbawionego rozsądku. Odsłoniętego. I w tej dziwnej chwili czuję się niesłychanie wyróżniona, że nikt nie zna go tak jak ja. A on zna mnie, bo tylko jemu udało się obudzić to, co drzemie w mojej duszy.

Odchrząkuje i z surową miną rozgląda się po pełnej sali. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Na szczęście litościwie omija mnie wzrokiem, ale zastanawiam się, czy wytrzyma tak

do końca zajęć. Przynajmniej tym razem nie będę miała mu tego za złe.

– Przepraszam za odwołanie w ostatniej chwili naszych poniedziałkowych i środowych zajęć. Musimy odrobinę nadgonić, więc omówię dziś obie pieśni. Liczę, że je przeczytaliście, tak jak było w planie, więc w piątek chcę zobaczyć na swoim biurku oba streszczenia.

W odpowiedzi na sali rozlegają się bolesne jęki i parę ciężkich westchnień. Przygryzam usta, wysłuchując lamentów nad tym dodatkowym zadaniem. Kocham w nim tego surowego, wymagającego profesora. Nawet gdy sama się zastanawiam, kiedy napiszę te wszystkie eseje, skoro ostatnio żyjemy na wariackich papierach.

Może zgodzi się na ustne streszczenie. Później.

Może jeśli zaliczę je nago, udzieli mi dodatkowych wskazówek.

Gdy zaczyna wykład, przygryzam mocniej usta, usiłując oderwać myśli od intymnych wspomnień, już po chwili jestem jednak pochłonięta analizą motywów literackich i ewidentną, zaraźliwą pasją tego człowieka, z jaką opowiada o wędrowce Dantego przez kolejne kręgi piekła, gdzie cierpią rozrzutnicy i niepohamowani w gniewie. Maximus zwraca naszą uwagę na zmianę tonu Dantego, stopniowy zanik jego współczucia dla potępionych. Choć go przy tym nie ocenia, robi mi się dziwnie smutno.

Starannie wszystko notuję, nie mogąc się doczekać, by podzielić się z nim swoimi przemyśleniami. Ten brak współczucia u Dantego dotyka mnie do żywego, ale nie jestem pierwszą lepszą rozkojarzoną studentką. Więcej we mnie z upadłego anioła niż z człowieka. I nigdy nie ucieknę przed tym dziedzictwem.

Jestem wdzięczna Maximusowi, że przez większość zajęć unika mojego wzroku. Jeśli nasze stosunki na linii profesor–studentka wcześniej były ambiwalentne, teraz jest sto razy gorzej. Kiedy opowiada o płonących czerwonych wieżach i żelaznych murach stolicy piekieł, za którymi kłębią się potępione dusze, wisząca nade mną groźba nabiera nagle realnego kształtu. I zaczynam się naprawdę bać.

Co, jeśli gród Disa nie jest jedynie wytworem wyobraźni poety? Co, jeśli zamknięte przed Dantem bramy już dawno stoją przede mną otworem, bym poniosła karę za bunt? Zastanawiam się, czy Maximus ma podobne myśli. Jeśli tak, to nie daje tego po sobie poznać.

Nagle przestaję tak namiętnie notować, a zamiast tego bazgrzę nerwowo na marginesach, wątpiąc, czy słuszny był pomysł, by się pojawić na dzisiejszych zajęciach. Może dalsze zgłębianie motywu piekła nie jest mi teraz wskazane, przynajmniej dopóki moja przyszłość się nie wyklaruje.

Rytmiczna intonacja mojego profesora odrywa mnie od tych niepokojących rozmyślań i wracam do rzeczywistości. Usiłuję się skupić na słowach wypowiedzianych jego pięknym barytonem. Na poezji zamiast na realnej groźbie.

Wyłapuję pauzy Maximusa, jakby i on pozwalał sobie na przelotne chwile zamyślenia.

Zbądź obawy; nikt nie jest dość silny,

Aby nam bruździł, gdy Bóg wolność daje.

Tu na mnie czekaj i pokarm posilny

Nadziei spożyj, i niech myśl się cuci,

Wiedząc, że twego bezpieczeństwa pilny.*

Maximus delikatnie zamyka książkę. Przez dłuższą chwilę przechadza się niby swobodnie wzdłuż pierwszego rzędu, milcząc jak zakłęty.

– Podniosły moment, nie uważacie? Docierają w końcu do królestwa śmierci. Miejsca, w którym płoną ognie piekielne. Ale drogę zastępują im upadłe anioły skłonne przepuścić tylko Wergiliusza. Tymi słowami przewodnik dodaje Dantemu otuchy. Dlaczego?

W sali na długo zapada cisza.

– Wiara? – w końcu pada gdzieś z sali.

Maximus kiwa głową, zaciskając usta.

– No dobrze. Ale dlaczego?

Znowu cisza. Wreszcie Maximus patrzy na mnie znacząco. Uśmiecham się i podnoszę rękę.

– Kara? – szepcze z nietypową dla swojego profesorskiego wcielenia łagodnością.

To nic wielkiego, ale wystarczy, by serce zatrzępotało mi w piersi. Wyczuwam nagły skok zaciekawienia na sali i słyszę, jak wszyscy odwracają się w moją stronę. Oczywiście zajęcie miejsca na tyłach niczego nie dało. Nie teraz, gdy zyskałam dużo większy rozgłos niż tylko jako właścicielka sławnego nazwiska. Jestem połową jednej z najgłośniejszych par Los Angeles. A drugą jest dwumetrowy, złotowłosy półbóg z osiemnastocentymetrowym penisem. Gdyby tylko wiedzieli...

– Bóg dał im „wolność” – zaczynam – co oznacza, że na mocy boskiego przyzwolenia mogą swobodnie wędrować po zaświatach. „Ten, co nam zejście w nowy kraj otworzy”.

Znam twarz Maximusa na tyle dobrze, by wiedzieć, że powstrzymuje uśmiech. Pośpiesznie marszczy brwi i poprawia okulary, ukrywając zadowolenie z mojej odpowiedzi.

– Celna uwaga, panno Valari – mówi w końcu. – Która jest również idealnym przejściem do następnej pieśni. Czy stwórca przybędzie na ratunek naszym dwóm poetom? – Upuszcza książkę na biurko jak sędzia odraczający rozprawę. – Pamiętajcie, że do piątku czekam na wasze prace. Znacie zasady, spóźnienie oznacza automatyczne niezaliczenie eseju.

Na sali rozlega się szmer i gwar rozmów, gdy wszyscy zbierają się do wyjścia, ale mnie się nigdzie nie spieszy. Czekam, aż wyjdą ostatni ciekawscy, i dopiero wtedy schodzę po schodkach do Maximusa.

Właśnie pakuje laptopa i papiery do swojej listonoszki.

– Dziękuję za kolejny intelektualnie stymulujący wykład, panie profesorze – mówię żartobliwie.

Podnosi na mnie wzrok, oblizując dolną wargę.

– Stymulujący, tak?

– Powiedziałabym nawet, że bardzo.

Śmieje się.

– Doprawdy? Jesteś chyba moją najwdzięczniejszą studentką. I obawiam się, że wszyscy myślą tak samo.

Wzruszam ramionami i staję przed nim.

– Nie boję się. Już nie musimy się ukrywać.

– Szczerze mówiąc, to niemal ulga. – Zdejmuje okulary i wsuwa je w boczną kieszonkę torby.

– Po co okulary komuś, kto regeneruje się w kilka sekund?

Jego twarz na chwilę tężeje, gdy zastanawia się nad odpowiedzią. Nagle wybucha

skrępowanym śmiechem.

– No dobra... przyłapałaś mnie.

Unoszę brew.

– Przyłapałam?

– Tak. – Znowu śmieje się cicho. – Zacząłem je nosić na rozmowy kwalifikacyjne, kiedy starałem się o etat wykładowcy. Byłem młodszy od większości kandydatów i nie wyglądałem dość „profesorsko”. Wciąż nie wyglądałam, więc jakoś tak ze mną zostały.

Mruczę cicho i przeciągam opuszkami palców po jego koszuli, stukając paznokciami o guziki.

– Myślisz, że gdy je zakładasz, ludzie koncentrują się na tym, co mówisz, i zapominają, że masz tylko dwadzieścia siedem lat i jesteś zbudowany jak nieśmiertelny bóg?

Powieki robią mu się ciężkie, a oddech przyspiesza.

– Coś w tym guście.

– To bardzo w stylu Clarka Kenta. Podoba mi się – szepczę, wspinając się na palce, by pocałować go w kącik ust.

Przytrzymuje moje usta, zamieniając mojego buziaka w prawdziwy pocałunek. Gdy się od siebie odrywamy, tym razem to on mruczy jak kot.

– Mówiłaś coś o stymulującym wykładzie...

– Podziwiałam tylko w milczeniu twój intelekt. I zastanawiałam się, gdzie wcisnę te dodatkowe streszczenia, które nam zadałeś.

– Mamy przed sobą całą noc.

Robię głęboki wdech przez nos i cofam się o pół kroku.

– A właśnie...

Maximus zaciska szczęki.

– Niech zgadnę... Veronica upiera się, żebyśmy poszli na tę cholerną premierę.

– Nie. Upiera się, żebym ja na nią poszła.

Marszczy brwi.

– Beze mnie?

– Uważa, że dzięki temu ludzie będą mieli o czym gadać. Przez cały tydzień byliśmy nierozłączni. Moje samotne pojawienie się na wydarzeniu tej rangi będzie wodą na plotkarski młyn. Wszyscy już wiedzą, że jesteśmy razem, więc podanie tego faktu w wątpliwość doleje oliwy do ognia.

Zaciska szczęki jeszcze mocniej.

– Będzie tam Arden?

– Nie wydaje mi się. Nie pytałam, ale to raczej nie jego klimaty.

– Ale to klimaty Kell. A gwiazdą filmu jest Piper Blue. To jedna z najbliższych przyjaciółek twojej siostry, zgadza się?

– Owszem. Ale to zupełnie co innego niż spotkanie sam na sam w jego biurze. Czerwony dywan to jeden wielki młyn. Okazja do spokojnej rozmowy jest dopiero na afterparty, a wtedy będę już w drodze do domu. Będę bezpieczna, obiecuję.

„Bez ciebie nawet bezpieczniejsza”, dodaję w duchu. Gdy matka zaproponowała ten kompromis, nie protestowałam. Nigdy jej się to nie zdarza, więc skwapliwie skorzystałam z okazji, by ona była zadowolona, a Maximus odpoczął od blasku fleszy.

Tyle że mój ukochany jakoś nie skacze z radości, choć jego spojrzenie mówi mi, że akceptuje to rozwiązanie.

Znowu przyciąga mnie do siebie i przyciska usta do moich.

– Po prostu nie lubię się z tobą rozstawać.

– O, słodka tęsknoto! – Głos z końca sali przerywa nam romantyczną chwilę. Odrywamy się od siebie, a Z. nieśpiesznym krokiem schodzi ku nam po schodkach.

Oboje instynktownie cofamy się o krok. Jego ojciec jest dziś ubrany w lniane beżowe spodnie i białą koszulę z krótkim rękawkiem. Jego fedora jest odchylona i przekrzywiona na głowie, a do ust ma przyklejony szelmowski uśmiech.

– Co ty tu robisz? – Ton Maximusa nie jest już tak chłodny, jak wcześniej, ale ciepłym też bym go nie nazwała. – Jakież nowe wieści?

Z. odzywa się dopiero, gdy dołącza do nas przed schodkami.

– Powiedzmy – odpowiada lekko, przenosząc wzrok na mnie. – Witaj, Karo.

Macham mu ze skrępowaniem, bo Maximus robi się jeszcze bardziej spięty.

– Co to za wieści? – dopytuje niecierpliwie.

– Tylko o spotkaniu. Które poszłoby dużo bardziej gładko, gdybyś się przyłączył – mówi chłodno Z.

Wstrzymuję oddech.

– Z kim?

– W mieście bawią z wizytą moi bracia. Pomyślałem sobie, że chętnie się spotkają ze swoim odnalezionym po latach bratankiem. – Uśmiecha się szeroko i czule klepie Maximusa po rękę. – Co ty na to? Masz ochotę na minispotkanie rodzinne? Na parę godzin zapomnisz o tęsknocie za ukochaną.

Wymieniamy z Maximusem znaczące spojrzenia. Spotkanie z Hadesem oznacza, że Z. będzie negocjował sprawę mojego bezpieczeństwa. Mojej wolności. Idealnie się składa. Co bynajmniej nie oznacza, że muszę się z tym dobrze czuć.

– Czy ja też muszę tam być? – pytam.

Z. cmoka parę razy.

– Raczej nie. Zobaczymy, jak nam pójdzie, i wtedy pomyślimy o przedstawieniu cię rodzinie lubego, zgoda?

– Ma rację – wtóruje mu Maximus, ignorując wzmiankę o „rodzinie lubego”. – Nie chcę, żeby się do ciebie zbliżali, dopóki nie usłyszymy, co mają do powiedzenia. Najbezpieczniejsza będziesz chyba z matką na premierze. – Przenosi wzrok z powrotem na Z. – Kiedy?

Z. obraca dłoń.

– W każdej chwili.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń VIII (wszystkie fragmenty *Boskiej komedii* cytowane w tekście pochodzą z tłumaczenia Edwarda Porębowicza).

Rozdział 13

Maximus

Tym razem nie jedziemy do Labiryntu moją furgonetką. Z. odrywa mnie od pożegnalnego pocałunku z Karą, pstryka palcami i przenosimy się do westybulu olimpijskiej knajpy. Na zewnątrz wciąż są fale, plaża i bezchmurne niebo, ale tym razem krajobraz zupełnie nie przypomina okolic Ventury. Nie dałbym nawet głowy, czy nadal jesteśmy w Stanach.

Ale zupełnie o to nie dbam. Pora się skupić na sprawie, która mnie tu sprowadza. Bez względu na to, jaki kit chce mi wcisnąć Z., to na pewno nie jest żadne spotkanie rodzinne. Mówiąc krótko i bez ogródek, to negocjacje. Najważniejsze negocjacje w moim życiu.

Czy żałuję, że nie jest inaczej? Jasne. Przez tyle lat błagałem mamę o klucz do mojej przeszłości, a teraz mam go na wyciągnięcie ręki. Wystarczy usiąść z ojcem i wujami, zamówić nektar spod lady i posłuchać opowieści z mojego dzieciństwa, które mi odebrano wraz ze wspomnieniami. Tyle że teraz liczy się co innego. Jestem tu, by walczyć o Karę, bez względu na wszystko.

– Synu.

Na to słowo instynktownie się jeżę, ale zdrowy rozsądek zaraz bierze górę. Hart ducha w głosie Z. jest dokładnie tym, czego teraz potrzebuję.

Patrzę na niego w milczeniu.

– Jesteś gotowy? – pyta.

– A to coś zmienia?

Zanim kończę, zaciska zdecydowanie nieogolone szczęki i w odpowiedzi kiwa nieznacznie głową.

– Zapytał dumnego ojca mądry syn.

Jego pochwała dodaje mi skrzydeł. Przechodzimy ramię w ramię przez witrynowe drzwi, które się przed nami rozsuwają. Znalazłszy się za szerokim sklepionym przejściem prowadzącym do głównej sali, staję jak wryty. Podczas naszej poprzedniej wizyty w Labiryncie zwracaliśmy powszechną uwagę, a teraz to moją uwagę przykuwają niewzruszone spojrzenia dwóch par nieziemskich oczu. Jedna należy do tamtego ogorzałego surfera z garażu, a druga do jego towarzysza o aparycji ogara z piekła rodem.

Podchodzimy do ich lśniącego mahoniowego stolika.

Zatrzymuję się parę kroków za Z., jakbym wpadł na betonową ścianę – tak szybko mój szok przemienił się w święte oburzenie.

– Śledziliście mnie – wyrzucam z siebie.

Z. odwraca się z pytającą uniesioną brwią.

Wskazuję brodą siedzącą przed nami parkę.

– Prześlizgnęliście się przez ochronę przed Yamashiro's. Potem widziałem was w garażu podziemnym pod moim mieszkaniem. A teraz jesteście tu.

Z tym że do tego baru nie zaprowadzi żaden GPS i raczej nie ma tu przekupnych bramkarzy. Nie widzę też aparatów fotograficznych, co tylko potwierdza moje obawy. To nie żadni biegający za celebrytami paparazzi, tylko moi cholerni wujowie.

– Czekam na wyjaśnienia – warczę.

Surfer jest zaopatrzony w laseczkę, której misternie rzeźbiona rączka przypomina trójząb. Wskazuje głową puste krzesło.

– Uspokój się i siadaj.

Ale moje stopy są przykute do podłogi.

– Dlaczego śledziliście mnie przez prawie tydzień?

– A jak sądzisz? Nie bądź bezczelny i siadaj – warczy złowrogo ogar, ubrany, jakżeby inaczej, w szkarłatny trzyczęściowy garnitur. Bębni palcami w stolik, błyskając w stłumionym świetle pierścieniami wysadzanych krwistoczerwonymi klejnotami. Mojej uwadze nie uchodzi też jego spinka na jedwabnym krawacie w kształcie węża schowanego w cyprysowym liściu. Nie trzeba być istotą nie z tego świata, by poczuć bijącą od niego aurę władcy piekieł.

Nie wiedzieć czemu, krew zaczyna mi szumieć w uszach, a pory skóry płonąć. Zupełnie jakby moje ciało i zmysły instynktownie rozpoznawały niebezpieczeństwo, o którym umysł nie pamięta. Ale czy mi się to podoba, czy nie, z tymi dwoma, ewidentnie dwulicowymi, łączą mnie więzy krwi. Nie licząc mamy, do tej pory to pojęcie niewiele dla mnie znaczyło, ale teraz, gdy stoję tu przed nimi, zaczyna znaczyć zdecydowanie więcej.

Udając, że nie zauważa napięcia między nami trzema, Z. przywołuje gestem Honeya, który właśnie wyciera szklanki za barem.

– Kolejka nektaru spod lady.

– Ja podziękuję – bąkam, po czym obchodzę stolik i siadam na wolnym miejscu między wujami.

– Podziękujesz, ale potem. – Z. rozsiada się w obitym pluszem fotelu jak na tronie. – Po, Hadesie, przedstawiam wam waszego bratanka, Maximusa. Maximusie...

– Może darujmy sobie te formułki – wchodzi mu w słowo Posejdon. Nie żeby mu było życie niemiłe, widać, że po prostu chce jak najszybciej przejść do rzeczy. Gładzi się po srebrzystoblond brodzie, odsłaniając muszelki wplecione w mniejsze warkoczyki, a wolną ręką zatacza łuk. – Jak wspomniał chłopak, od jakiegoś czasu mamy go na oku, więc nie nazwałbym jego istnienia tajemnicą.

– Szczerze mówiąc, ja byłem zdziwiony – przyznaje Hades. – Chociaż dla mnie to jeden pies.

– Nie ma to, jak zrobić znakomite pierwsze wrażenie – mruczy pod nosem Posejdon.

Napięcie rozładowuje Honey, stawiając przed nami cztery szklaneczki ciemnobrązowego trunku.

– Na koszt firmy, panowie.

Hades uśmiecha się szyderczo.

– Jak zwykle.

Honey wzrusza ramionami.

– Cóż mogę rzec? Nie chcę zwijać interesu.

„Po” i Z. jednym haustem wychylają połowę trunku.

Hades popija bardziej zachowawczo, łypiąc na mnie znad szklaneczki.

– Nie pijesz.

Odsuwam swoją.

– Bo nie przyszedłem się tu napić.

– Nie? – Unosi swoje kruczoczarne brwi nad równie ciemnymi oczami. – W takim razie zapewne przyszedłeś porozmawiać na temat nieposłuszeństwa jednej z moich poddanych.

– Ma na imię Kara – cedzę przez zęby.

Z. głośno odchrząkuje.

– Bracie, chyba umknął ci pewien drobny szczegół.

– Nie wydaje mi się. Ona należy do mnie, a wy wszyscy chcecie mi wyperswadować odebranie tego, co moje. To nudne, panowie. I szczerze mówiąc, odrobinę żalodne. Mam lepsze rzeczy do roboty.

Zaciskam pięści i już się napinam, żeby wstać i go poprawić, bez względu na cenę.

Kara należy do mnie. Ale Z. mnie ubiega.

– Z technicznego punktu widzenia Kara jest twoją poddaną tylko w połowie z małym okładem – wykląda rzeczowo. – W jej żyłach płynie także ludzka krew, więc jest również moją poddaną.

Rozluźniam się, dopiero gdy zaczynam rozumieć, do czego zmierza. Jego interesujący – i miejmy nadzieję, przydatny – argument w końcu do mnie dociera. A przynajmniej udaje mi się wziąć parę uspokajających oddechów.

Tymczasem Hades wbija w mojego ojca wściekle, mroczne spojrzenie.

– Valari należą do mnie – oświadczają ze śmiertelną powagą. – Giovanni Valari może i jest człowiekiem, ale z chwilą gdy przekroczył granice mojego królestwa, stał się moim poddanym. – Przerywa, po czym jeszcze bardziej zniża ton. – Ja ci nie przeszkadzam w wymierzaniu sprawiedliwości w twoim świecie, Z., więc i ty nie wchodź mi w paradę.

– Źle mnie zrozumiałeś – odparowuje Z. – Stoimy, za przeproszeniem, na ziemi niczyjej. Wszyscy chcemy znaleźć kompromis.

– Od czasu do czasu może się trafić sporny przypadek – wtrąca Po. – To jasne, że Z. właśnie dlatego nas tu sprowadził. Przecież nie z tęsknoty za twoim wesołym towarzystwem, bracie.

Hades obnaża zęby i nachyla się w jego stronę. Po przekręca swój nieodłączny trójząb, ale ani drgnie.

– To nie jest żaden sporny przypadek – upiera się Hades. – Znacie takie słowo „nieposłuszeństwo”? Gdybyście zapomnieli, oznacza świadome złamanie zasad oraz brak szacunku dla władzy.

Z. wzdycha zniecierpliwiony.

– Bracia bogowie, obaj zapomnijcie o najważniejszym detalu. – Spogląda na mnie, ale nie bardzo wiem dlaczego. Moje zdziwienie zdaje się jednak nie robić na nim wrażenia. – To my ustaliśmy zasady.

Hades przenosi nań wzrok.

– I mieliśmy na to tysiące lat. Skoro ciągle naginamy je do własnego widzimisie, to po co w ogóle zawracać sobie nimi głowę?

– Bądź zatem łaskaw mnie oświecić, które zasady każą ci wysyłać swoich sługusów na drugi brzeg i deflorować półkrwi demony? Bo nie pamiętam, żebym się pod nimi podpisywał.

Hades zaciska szczęki.

– Może dlatego, że byłeś za bardzo zajęty defloracją śmiertelniczek w każdym zakątku ziemi.

Z. śmieje się odrobinę sztucznie, unikając mojego wzroku.

– Mój drogi bracie o czarnym sercu, spędzasz za dużo czasu przy piekielnych kotłach. Gdzie twoja spontaniczność? Doprawdy przydałaby ci się odrobina rozrywki. Persefona znowu wyjechała? To dlatego jesteś taki skwaszony? – pyta Z. i nie czekając na odpowiedź, podniesionym głosem zamawia drugą kolejkę nektaru Honeya.

– Ostrzegam, nie mieszaj w to Persefony – odparowuje równie głośno Hades. – A tak na marginesie, twoja „spontaniczność” od zarania dziejów jest tylko źródłem kłopotów. – To powiedziawszy, wbija wzrok we mnie, namacalny dowód jednej z licznych miłostek Z. – Czy Hera o nim wie?

Z. krztusi się ostatnim łykiem pitnego miodu.

– Oczywiście, że nie. Dobrze wiesz, że wpadłaby w szal, gdyby...

– Wie.

Wszyscy zwracamy oczy na Po. Przełykam z trudem, bo ostatnie, czego teraz potrzebuję, to znaleźć się w centrum zainteresowania Hery.

– Wie o mnie? – dopytuję. Prostuję się i zastygam. – Jak to możliwe?

Sądząc po usztywnionych barkach, Z. jest równie spięty.

– Zostali ukryci. Nancy była bezpieczna, dopilnowałem tego.

– Skąd ta pewność? Nawet ty nie możesz być wszędzie jednocześnie. – Po znowu zaczyna kręcić trójzębem. – A pod twoją nieobecność próbowano ich zabić.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – Tym razem podniesiony głos Z. zdradza, że traci nad sobą panowanie. To do niego zupełnie niepodobne. – Hera to mój problem, nie twój.

– Niektórzy nazwaliby ją nawet twoją żoną – dodaje pod nosem Hades.

Z. ignoruje jego uszczypliwy komentarz i wstaje, do końca zrzucając pogodną maskę.

– Powinieneś być przyjąć z tym do mnie, Po. Wiedziałem, że maczałeś w tym palce.

Wiedziałem.

– Dość! – Po uderza laską o podłogę i w odpowiedzi na widocznym za patio oceanie pojawiają się sześciometrowe fale. – Zanim coś powiesz, weź głęboki oddech i mnie wysłuchaj, Z. – Po tych słowach fale momentalnie opadają. – Zrobiłem to, co w tamtej sytuacji uznałem za najlepsze. A sytuacja wyglądała tak, że lepiej było, żebyś nie wiedział, gdzie są.

– To mój syn. – Z. celuje w niego palcem, na którego końcu błyskają złowieszczo niebieskie iskierki. – Nie miałeś prawa.

Po nie pozostaje mu dłużny i wymierza w niego swój złocony trójząb.

– A ty jak idiota zakochałeś się w jego matce śmiertelnicze, która nie powinna mieć wstępu na Olimp. Jeśli myślałeś, że zdołasz ich ukryć przed kimkolwiek, tym bardziej przed swoją żoną i królową, świadczy to tylko o tym, że byłeś całkowicie ślepy na zagrożenia związane z obecnością człowieka w twoim życiu. I chyba wciąż jesteś.

Z. prawie trzęsie się ze złości.

– Opieka nad nimi należała do mnie!

– I gdyby trwała chwilę dłużej, oboje już by nie żyli. Nawet jej strażniczka uważała, że nie sprostasz zadaniu. Przyszła do mnie, bo uznała, że to sprawa życia i śmierci. Co miałem zrobić?

Słuchając tej tyrady, czuję, że w najgłębszych zakamarkach mojego umysłu budzi się jakiś dziwny instynkt, wspomnienie, które nadaremnie próbuje się przebić do świadomości.

– Strażniczka? – powtarzam słowo, które tak na mnie podziałało.

Wszyscy patrzą na mnie z nagłą niepokojącą powagą, jakby przypomnieli sobie o mojej obecności. Przedłużająca się cisza jest gorsza od potoku ich rozgorączkowanych słów. Wszyscy są skrępowani, ale nie dbam o to.

Po bierze głęboki, miarowy wdech i cofa trójząb.

– Zdaje się, mój chłopcze, że znasz ją jako Reginę Nikian.

– Reg? – ledwie wykrztuszam zszokowany. – A co, do diabła, ona ma z tym...

– Jest żołnierką Olimpu. – Po ignoruje karcące spojrzenie Z. – A raczej była. Ukryto cię przed wzrokiem bogów i powierzono jej wasze bezpieczeństwo, kiedy Z. postanowił wychować cię w swoim świecie. Decyzja zapadła oczywiście bez udziału Nancy, więc Regina miała również was pilnować, żebyście nie uciekli. – Unosząc oskarżycielsko brew, w końcu spogląda na Z. – Potrzebował pomocy, bo zniknął zając się innymi... sprawami.

– Pieprz się, Po. – Z. opada ze złością na fotel akurat w chwili, gdy Honey przynosi drugą

kolejkę.

Po wzrusza ramionami.

– Chłopak ma prawo wiedzieć.

– Mów sobie, co chcesz. Byłem wierny Nancy.

Rozbawiony Hades tylko prycha.

– Nic dziwnego, że Hera była taka wściekła.

Z. zamierza się nań pięścią, ale natychmiast ją opuszcza ze ściągniętą gniewem twarzą.

W tej chwili moja z pewnością jest do niej bliźniaczo podobna.

Ze wszystkich rewelacji, jakie mi zaserwowano, ta jest najbardziej szokująca. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym więcej nabiera sensu. Niezachwiana opiekuńczość Reg. Fakt, że często zna mnie lepiej niż ja sam. I że zawsze mogliśmy na nią liczyć. Ale wraz z osłupieniem przychodzi gniew i pojawiają się kolejne pytania. Lawina pytań. Całe szczęście, bo inaczej chyba nie byłbym w stanie wydusić z siebie słowa.

Wypuszczam powietrze, które za długo ciążyło mi w płucach.

– Dlaczego nic nie pamiętam? – Wsuwam palce we włosy. – Nic a nic...

Po wbija we mnie zamyślane spojrzenie. Ciemnoniebieskie monsuny jego oczu uderzają prosto w moją pierś, budząc nowe, irytująco nieuchwytnie wspomnienia. Wiem tylko, że tkwią gdzieś w czeluściach mojego umysłu, w jego najgłębszych zakamarkach...

– Bo wiedzieliśmy, że nigdy nie wrócisz – pada spokojna odpowiedź. – Gdybyśmy zostawili ci jakiegokolwiek wspomnienia, zacząłbyś się domagać odpowiedzi, co mogłoby się skończyć dekonspiracją na ziemi. Może zainteresowałiby się tobą nie tylko bogowie. To było konieczne dla twojego bezpieczeństwa.

Znowu zapada długa, ciężka cisza, podczas której Z. i Po przyglądają mi się z różną intensywnością. Nie mam pojęcia, o czym myślą. Nie mam pojęcia, co sam powinienem o tym myśleć.

Po układa usta w podkówkę.

– Przykro mi, że musiałem ci to zrobić. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Pamiętam, że dzieciństwo miałeś szczęśliwe.

– Owszem – przytakuje Z., uderzając pustą szklanką w stół. – To były najszczęśliwsze dni mojego życia – dodaje ochryplym, acz tkliwym głosem, po czym znowu wymierza palec w Po. – A my mamy do pogadania.

Nozdrza Po rozszerzają się.

– Cóż, to mi się należy. Ale żywioty schowajmy do kieszeni. Ziemia ma dość kłopotów i bez wojenki dwóch rozżłoszczonych bogów.

Z. rusza pośpiesznie do drzwi, mruczając coś pod nosem. Po również się podnosi. Materiał marynarki napina się na jego ogromnych barkach, gdy opierając się na laseczce, kuśtyka powoli za bratem.

Odwracam się do Hadesa.

– Czemu on utyka? Przecież jest bogiem.

Hades nie zaszczycza mnie nawet spojrzeniem, zajęty podziwianiem swoich wypielegnowanych paznokci i poprawianiem pierścieni.

– Jest jak ryba bez wody. Dosłownie. Poza granicami swoich królestw wszyscy czujemy się trochę nieswojo. To kolejny powód, dla którego chciałbym już wracać do siebie, ale zapewne jeszcze trochę sobie tu posiedzimy przez gadulstwo mojego podchmielonego brata. – Wskazuje brodą na moją nietkniętą szklankę. – Skosztuj.

– Może później. – Nie chcę opuścić gardy. Im mniej przed nim odkryję, tym lepiej.

– Nie pamiętasz Olimpu i kręcisz nosem na magiczny miód? – Cmoka z dezaprobatą. –

Omijają cię największe przyjemności życia.

Wzdycham ciężko, klnąc pod nosem. Tym razem jego dobrodusznym prowokacją na mnie działa i składam broń. Ostrożnie wacham ciemny, gęsty płyn w szklance. Sto osiemdziesiąt procent, jak nie więcej. Wychylam haust. Alkohol jest mocny i pali w gardle, ale smakuje naprawdę wybornie. Nie mogę z nim przesadzić. Czytaj: więcej absolutnie nie wchodzi w grę.

Usiłuję zidentyfikować składniki i porównać go do jakiegoś znajomego trunku, ale zanim cokolwiek ma szansę mi zaświtać, dopada mnie coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyłem: pierwsze oznaki upojenia alkoholowego. Czuję, jak w moich żyłach rozlewa się przyjemne ciepło, a humor zdecydowanie mi się poprawia. Do tego stopnia, że mam niemal ochotę się roześmiać – dopóki nie przyłapuję Hadesa na świdrowaniu mnie wzrokiem.

Nagle niczym peleryna spowija nas mroczna energia, zupełnie jakbym wszedł do klimatyzowanego budynku. Cuchnie wilgotną ziemią i towarzyszy jej szydercze westchnienie.

– To może i my sobie porozmawiamy?

Pytajnik na końcu jego zdania jest niezbędnym znakiem interpunkcyjnym tego spotkania. Przyszedłem tu właśnie z nadzieją na małe *tête-à-tête* z królem demonów. Cała reszta – mama, Reg, moja przeszłość i wspomnienia – mogą poczekać.

Na razie mam nadzieję, że Po i Z. nieprędko wrócą, bo choć odrobinę kręci mi się w głowie, muszę to dobrze rozegrać. To może być jedyna szansa, by przekonać posępnego boga piekieł, żeby oszczędził życie kobiety, którą kocham.

Niestety nie mam śmiałości ani okazji rozwinąć myśli, bo Hades przejmuje stery.

– Chodźmy zobaczyć, co Honey ma dziś w promocji.

Chwyta mnie za ramię i prowadzi do baru. A ja mu na to pozwalam.

Czyżby dlatego, że nagle jestem lekki jak piórko? A może zaczyna do mnie docierać pokręcony fakt, że jesteśmy rodziną? I co gorsza czuję bliższą więź z oboma moimi wujami, niż przypuszczałem?

Choć czy na pewno właśnie to jest najgorsze?

Przez całe lata tego szukałem. Prawdy o moim pochodzeniu. Informacji o rodzinie. Może teraz zwyczajnie trudno mi ją zaakceptować. Może z czasem choć trochę do niej przywyknę.

„Powiedział półbóg, zmierzając do baru z władcą piekieł...”

Zajmujemy stołki z tyłu okrągłego baru. Jedynym źródłem światła nadal są tu strzelające z paleniska płomienie. Są odsłonięte, a mimo to wydzielają co najwyżej przyjemne ciepło. W przeciwieństwie do jasno oświetlonej, krzykliwej sali głównej przy barze wszystko jest skąpane w bursztynowopomarańczowej poświacie.

– Co podać? – Honey nie odwzajemnia krzywego uśmiechu Hadesa. Wygląda raczej, jakby wolał się rzucić do oceanu za oknami swojego baru, niż nas obsługiwać. W tym świetle jego włosy i tatuaże zdają się błyszczeć jeszcze jaśniej, co bynajmniej nie równoważy jego ponurej miny i wyraźnego zaniepokojenia.

– Został ci jeszcze Dziewiąty Krąg? – pyta szorstko Hades.

– Tak jest – odpowiada Honey niczym wartownik na posterunku. – Dwa razy?

Hades odwraca się do mnie.

Kręcę głową.

– Dla mnie woda.

Kolejny tutejszy drink uziemiłby mnie na dobre. A w tej chwili to niedopuszczalne. Przyćmione światło powinno ukryć moje skrępowanie pod badawczym spojrzeniem Hadesa, ale nic z tego. Nie odrywa ode mnie wzroku, a ja czuję się jak żaba poddawana wiwisekcji. A niech się napatrzy do woli.

Na szczęście Honey już wraca z naszym zamówieniem. Ewidentnie chce mieć nas jak

najszybciej z głowy i się ulotnić.

Podnoszę szklanekę.

– Na zdrowie, jak to się mówi.

Hades bezceremonialnie sięga po swoją.

– Toasty są dla tych, co żyją nadzieją – stwierdza i wychyla haust. – *À propos* powodu naszego spotkania. Z. pewnie myślał, że przyprowadzenie cię ze sobą zmięczy mnie w kwestii mojej małej buntowniczkii.

– A zmięczyło? – pytam po chwili wahania.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie jestem zbyt sentymentalny. Nawet jeśli w grę wchodzi rodzina.

– Moimi poczynaniami wydajesz się całkiem zainteresowany.

Na jego kanciastej twarzy pojawia się lustrujący uśmiezek.

– Nadal myślisz, że wszystko dotyczy ciebie?

Marszczę brwi.

– A niby czemu śledziliście mnie z Po? To na pewno nie był zbieg okoliczności.

– Masz rację, nie był.

Ostrożnie wypijam łyk wody.

– No dobra, oświeć mnie.

– Chęć Po, żeby zobaczyć cię na żywo, sprzęgła się zgrabnie z moją chęcią, by zobaczyć na żywo ją.

Ogień z pewnością pochłonął cały tlen w barze, bo przez dobrą chwilę nie mogę oddychać.

„Cholera”.

– Karę – wykrztuszam łamiącym się głosem.

Obserwował ją, nie mnie. Nawet nie nas. Bo kogo obchodzimy „my”, skoro jest przekonany, że ona należy do niego?

– Dlaczego jej chcesz? – udaje mi się wreszcie wycedzić. – Czemu jest dla ciebie taka ważna?

– Mógłbym cię zapytać o to samo, Maximusie. Dlaczego ty jej chcesz? Dlaczego rzuciłeś mi wyzwanie i złamałeś prawa piekieł, by ją sobie zatrzymać?

Marszcząc brwi, przechylam w dłoniach szklaneczkę. „Chcieć” nigdy nie było słowem, które łączyłem z Karą. Czy drzewo zwyczajnie chce słońca? A pusta kartka słów? Czy ogień zadowala się małą podpałką?

Ta ostatnia metafora na powrót ściąga moją uwagę na odbijającą się w mojej szklaneczce poświatę paleniska. Iście hipnotyzujący mariaż wody i ognia. Jestem wdzięczny za tę odrobinę stonowania, bo we mnie aż kipi. Hades bębni palcami w bar.

– Wiesz dobrze, kim jest i co zrobiła, zgadza się?

– Tak.

Wychyla kolejny haust whisky, chuchając w moją stronę przy następnym zdaniu.

– Zbuntowała się przeciwko prawom i obowiązkom wynikającym ze swojego pochodzenia.

– Wiem.

– Narażając na szwank pozycję rodziny w obu światach.

– Wiem, do diabła. I nie dbam o to.

Milknie, wwiercając we mnie swoje oczy czarne jak węgielki.

– Właśnie to mnie zastanawia. Dlaczego?

– Jeśli chcesz, żebym wymienił ci powody, z jakich zakorzeniła się w moim sercu, to się

rozczarujesz. Po prostu... niektórych rzeczy nie da się ubrać w słowa. Jestem w tym ekspertem, ale nie ma takich słów, które oddałyby to, co nas łączy.

Hades mruczy melodyjnie pod nosem.

– Poecie brakuje słów. Jakże to romantyczne.

– Nie jestem poetą.

Znowu milknie, zamyśla się.

– Ona musi żywić podobne niewyjaśnione uczucia, skoro zrobiła to wszystko dla ciebie.

– Dla mnie – powtarzam udreńczonym głosem. – Mam świadomość, co dla mnie zrobiła, jakie zasady złamała. Skoro już to ustaliliśmy, przejdźmy wreszcie do sedna. – Zaciskam dłoń na krawędzi baru, aż bieleją mi knykcie. – Nie próbowałaś jej jeszcze porwać, a więc chcesz czegoś innego.

– Może tak. – Przywołuje gestem Honeya po dolewkę. – A może nie.

Nie kupuję tego, ale czekam, aż barman skończy nalewać mu Dziewiątki i odejdzie.

– Czego. Chcesz?

– Szczerze mówiąc, z początku się wahałem, ale teraz chcę tego samego, co ty. – Błyska w uśmiechu kłami. – Do tego dochodzą zachłanność, zazdrość i kwestia złożonej braterskiej rywalizacji.

Z całych sił ściskam brzeg baru, próbując go wygiąć. Złożona krawędź trzeszczy głośno, ale nie ustępuje. Super. Wreszcie znalazłem się w miejscu, na którym moja siła nie robi najmniejszego wrażenia. Nie mogę się doczekać, by stąd uciec.

– Podaj cenę. Każdą.

W odpowiedzi Hades chichocze pod nosem. Moja wściekłość rośnie, a wraz z nią bezsilność. Śmieje się z mojej udręki. Z mojej desperacji. Ale czego innego mogłem się spodziewać?

– Jak mógłbym wycenić tak fascynujące stworzenie? – W jedną stronę przekrzywia głowę, a w drugą uśmiech.

Jeszcze mocniej wbijam w niego wzrok.

– I to ma być powód do śmiechu?

Uśmiech schodzi mu z ust równie szybko, jak się pojawił.

– Prawdę mówiąc, od dawna nic mnie tak nie fascynowało.

„Od dawna”. Aż boję się myśleć, jaki szmat czasu kryje się za tym określeniem. Kilka lat? Stulecie? Tysiąclecie? I co to oznacza dla mnie i Kary?

Prosi o kolejną dolewkę i trzecią szklaneczkę wychyla równie szybko, co dwie poprzednie. Choć oczy robią mu się szkliste, ani odrobinę się nie rozluźnia. Pozwolił mi zajrzeć za swoją magiczną kurtynę, zerknąć na sentymentalną prawdę pod maską opryskliwości. Jest władcą najbardziej przerażającego imperium, rewidentem wszystkich grzechów świata. Widział każdy z nich, od błahych występków po niecne zbrodnie, i nic go już nie wzrusza. W innych okolicznościach byłoby mi go nawet żal.

Ale granie głównej roli w jego nowym teatryku kukielkowym jest gorsze od występów w hollywoodzkim cyrku Veroniki. A to dlatego, że jego intencje są jeszcze bardziej mętne. Tu nie ma grafiku, rozpiski działań, stylistów. Jeśli nagle tęskni się za niewolniczym nadzorem mamusi Valari, to coś jest bardzo nie w porządku.

– Co to właściwie znaczy? Okej, jesteś zafascynowany. Gdzie nas to stawia? Chcesz medal? Pomnik przed barem?

Znowu igram z ogniem. Dosłownie.

Żrenice jego bezwzględnych oczu zamieniają się w miniaturowe huragany płomieni, ale równocześnie szczęka zaczyna mu niedostrzegalnie drgać, jakby przed próbą mordu na mnie

musiał się powstrzymać od śmiechu. Nie potrafię go rozszyfrować i nie jestem pewien, czy w ogóle chcę.

Ciężką ciszę przecina jego zdecydowane mruknięcie.

– Chcę tylko...

Przerywa z wahaniem.

– Czego? – dopytuję.

Jeszcze mocniej świdruje mnie wzrokiem.

– Chcę... zrozumieć.

Kusi mnie, by ponowić próbę wygięcia baru w podkowę. Napędzany wściekłością i zamętem w umyśle tym razem pewnie zdołałbym to zrobić. „Co zrozumieć?” Mam wrażenie, że ten czasownik nagle zmienił znaczenie. Powiedzieć, że mam mętlik w głowie, to eufemizm. Neurony w moim mózgu spaliły się właśnie do korzeni.

Tkwię w tym stanie, dopóki Hades znowu nie kładzie mi swojej gorącej dłoni na ramieniu. Tym razem jego uścisk mnie paraliżuje – a może to sprawka jego płomiennego spojrzenia?

Co, do...?

Jeszcze mocniej zaciskając dłoń, zamyka oczy. Wygląda, jakby się koncentrował. Jakby szukał czegoś w ciemności pod powiekami. I nagle synapsy w moim mózgu wracają do życia, choć wciąż nie mam nad nimi kontroli. Tak jak przed miodem. I tym dziwnym, przerażającym kontaktem fizycznym.

Kontaktem, który wywołuje w mojej głowie falę myśli o Karze. Nie żebym zazwyczaj miał z tym kłopot, ale teraz jest inaczej. Zupełnie inaczej. Jakby mój umysł został do tego... przymuszony.

Przed oczami stają mi wspomnienia niczym wybrane sceny filmowe. Tyle że tym filmem jest moje życie, z którego zmontowano sceny z Karą.

Tamten pierwszy elektryzujący dotyk w sali wykładowej.

Nasz pierwszy pocałunek w moim mieszkaniu.

Lubieżne igraszki pod kopułą obserwatorium.

Jej zachwycony wzrok na wzgórzach nad miastem.

Zatapanie się w jej ciele w moim łóżku.

To coś więcej niż zwykła sekwencja obrazów. Każdemu z nich towarzyszą wzmocnione doznania i emocje. Co więcej, w tej krótkiej chwili jestem zmuszony je dzielić z nieznanym – z tym potężnym, zafascynowanym nieznanym, który nie ma najmniejszego zamiaru przerywać przedstawienia. Ale ono musi zostać przerwane. Ja muszę je przerwać.

W odpowiedzi na tę profanację z gardłowym warknięciem wpadam w dziką, pierwotną furię i z premedytacją budzę głęboko uspioną, najgorszą część mojej natury, która teraz okazuje się wybawieniem i rozbija w pył przywołane obrazy. Rozlatują się w drzazgi tak gwałtownie, że na chwilę robi mi się ciemno przed oczami.

Gdy w końcu dochodzę do siebie, stoję dobre trzy metry od baru, roztrzęsiony i spocony jak mysz, ale z satysfakcją stwierdzam, że Hades siedzi zgięty w pół nad barem, próbując złapać oddech. Honey zniknął z zasięgu wzroku, choć jego relacji i tak bym nie dowierzał.

– Co... – Przełykam z trudem. – Co to, do cholery, było?

Hades opiera łokcie na barze i kręci głową, oniemiały.

– Masz to, czego chciałeś? – Prostuję się, choć każdy mięsień i każda kość w moim ciele protestują przeciwko pozycji bojowej. – Koniec głupich numerów?

Wybuch śmiechem i wstaje. Na jego garniturze nie ma ani jednej zmarszczki, a pewność siebie pozostaje niewzruszona.

– Och, Maximusie – bezta mnie ze złośliwym uśmieszkiem. – To dopiero początek.
To już pewne, nienawidzę go. I mam nadzieję, że jest to dla niego równie jasne.

Nie chcę już się wyżywać na barze. Mój umysł obiera sobie nowy cel. Jestem jednak za bardzo oszołomiony, by wcielać w czyn te rodzące się fantazje, a poza tym spuszczenie lania bogowi zaświatów raczej w niczym się nam nie przysłuży. Rozsierdziłbym go tylko na dobre, a niebiosą raczą wiedzieć, do czego to mogłoby doprowadzić, biorąc pod uwagę jego zainteresowanie Karą, na którą zagiął parol z zupełnie innych powodów niż pierwotnie.

Nie mogę mu nawet pogrozić i kazać zapomnieć o jej istnieniu. To niemożliwe, bo nagle na moich oczach rozplywa się w powietrzu, zostawiając za sobą jedynie resztki niezdrowej energii – i milion pytań w mojej skołowanej głowie.

W rzedającym dymie na jego miejscu materializuje się rozbawiony Honey.

– Jeszcze jedna kolejka? – Jego szorstkie pytanie jest dla moich uszu niczym anielski chór.

Kręcę głową.

– Daj całą butelkę.

W tej chwili zwycięstwem będzie nawet urznięcie się do nieprzytomności.

Rozdział 14

Kara

– Dziadziu! – wołam z niedowierzaniem.

Malująca mi usta kobieta przerywa na sekundę, by wydać z siebie ciężkie westchnienie, ale nawet się nie odwraca, by zobaczyć, kto dołączył do uwijającego się jak w ukropie sztabu stylistek i makijażystek w hotelowym apartamencie.

Drzwi zamykają się z cichym szczękiem i dziadek podchodzi do mnie promiennie uśmiechnięty. Cieszę się, gdy makijażystka wreszcie się odsuwa, pozwalając mi w pełni odwzajemnić uśmiech naszego niezapowiedzianego gościa. W smokingu dziadek jest prawie nie do poznania. Wysoki, elegancki przystojniak! Do tej pory w tym wydaniu widziałam go tylko na starych fotografiach. Z dawnych, szczęśliwych lat...

Ześlizguję się ze stołka i podchodzę do niego, unosząc tiulową suknię. Jego oczy błyszczą wzruszeniem.

– Biedroneczko. Prześlicznie ci w rózu.

Unoszę ramiona uradowana, choć odrobinę zawstydzona jego komplementem, i spoglądam na swoją designerską sukienkę. Góra jest stylizowana na ponętny, acz elegancki gorset i już się nie mogę doczekać, aż Maximus mnie zobaczy. Mam przecucie, że jemu też się spodoba. I to bardzo...

Nie do wiary, że za nami raptem kilkugodzinna rozłąka. Mam szczerą nadzieję, że film będzie wciągający, bo aż mnie skręca z tęsknoty. I siedzę jak na szpilkach, zachodząc w głowę, jak poszło zaplanowane przez Z. spotkanie.

Wyglądam warstwy różowego tiulu.

– Dziękuję... Ale to tylko kolejna sukienka na kolejne wyjście.

– Wiem, ale w takim stroju widuję cię tylko w wiadomościach telewizyjnych, jeśli te programy można w ogóle nazwać informacyjnymi. To zupełnie co innego niż na żywo.

Uśmiecham się i wyciągam rękę, by poprawić mu muszkę.

– A ja widzę cię w takim stroju tylko na zdjęciach. Przystojniak z ciebie. Wiesz, twój oldskulowy smoking tak długo kurzył się w szafie, że znowu jest w modzie. Z łatwością wpasujesz się w towarzystwo.

Jego oczy zachodzą lekką mgłą.

– Nie to mnie martwi.

– Tak? – Siłę się na lekki, pogodny ton. – To co cię do mnie sprowadza?

Jego serdeczność jeszcze bardziej się ulatnia. Wodzę wzrokiem za pakującymi sprzęt stylistkami. Biorę go za rękę i prowadzę na korytarz, gdzie mamy więcej prywatności.

– Dziadziu? – dopytuję. – O co chodzi? Czy coś się stało? O czym rozmawialiście wtedy z mamą?

Odchrząkuje.

– Po pierwsze o twoim bezpieczeństwie.

– Okej – przeciągam lekko. – To chyba dobrze?

Ściąga brwi, przez co jego rysy nabierają surowości.

– Nadal nie jestem przekonany, czy twoja matka ma dobrze w głowie.

Przełykam z trudem.

– Nie?

– Karo, nie wątpię, że jej na tobie zależy. Boję się tylko, że pewne posunięcia mają większy związek z jej ego niż z twoim dobrze pojętym interesem. – Przerywa. – I postanowiłem wyjść z ukrycia.

Kręcę głową, nie bardzo wiedząc, co ma przez to na myśli.

W końcu zaczyna się śmiać, ale jakby przez łzy.

– Chyba nie sądziłaś, że całymi dniami siedzę w domku gościnnym, bo twoja matka trzyma mnie pod kluczem?

– No... – Szczerze mówiąc, właśnie tak to widziałam, uważając, że to nie fair, że nigdy nam nie towarzyszy podczas publicznych wyjść. A teraz można by odnieść wrażenie, że jesteśmy nierozłączni.

– Nie trzymałem się z daleka tylko od ciebie czy rodziny, ale od wszystkich. Niech ten smoking cię nie zwiedzie. Umieram ze strachu, że ktoś mnie rozpozna. I bynajmniej nie schlebiam sobie, że tak się stanie...

– Ależ naturalnie, że cię rozpoznają, dziadziu. Jesteś legendą. Każdy, kto coś znaczy w Los Angeles, zna Giovaniego Valariego. To się nigdy nie zmieni.

Jego usta znowu układają się w smutny uśmiech.

– Cóż, przyciąganie tego rodzaju uwagi nie zawsze wychodzi na zdrowie. Sama wiesz.

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Wszystkich zelektryzuje twoje pojawienie się na premierze. Zwłaszcza Piper i jej ekipę. Będą zaszczyteni.

– Może – odpowiada lapidarnie. – Jeśli uda mi się dotrzeć do końca wieczoru bez pytań o tamtą tragedię sprzed lat, to będzie prawdziwy cud.

Już rozumiem, czego tak się boi, przynajmniej po części, i ściskam mocniej jego ramię.

– Będzie dobrze – zapewniam, by uspokoić nas oboje. – I nie potrzebujesz żadnych cudów.

Ale jego przeszłość spłynęła krwią i pytaniami bez odpowiedzi. A w tym mieście ludzie dopowiadają sobie własną wersję wydarzeń, jeśli odmawia się im prawdziwej. I właśnie tak było przez te wszystkie lata w przypadku dziadka. Krążyły dzikie plotki na temat tego, co łączyło go z jedną z najsłynniejszych hollywoodzkich par, która później zginęła w tajemniczych okolicznościach. Tamtej nocy tylko on uszedł z życiem, więc jest jedyną osobą, która mogłaby wyjaśnić tę tragedię. Ale myślę, że chyba po prostu nie chce tego zrobić.

Nie mówię mu tego jednak. To nie czas ani miejsce na takie rozmowy.

Przedstawienie musi trwać, więc pora zmienić temat.

– Mama naprawdę nie miała nic przeciwko temu? – pytam. – Była trochę skwaszona. Dziś miał być wielki debiut Maximusa w światku hollywoodzkich elit.

– Z początku rzeczywiście nie była zachwycona, ale znasz ją. Szybko do niej dotarło, że moja obecność oznacza jeszcze większy rozgłos. Nie pojawiłem się na czerwonym dywanie od... – Przechesuje palcami swoje modnie zmierzwione srebrzyste włosy. – W każdym razie od bardzo dawna.

– To dlatego tu jesteś? Dla niej?

Krzywi się.

– Nie, biedroneczko. Jestem tu, bo jeśli ktoś z tego bądź innego świata spróbuje nam cię odebrać, to prędzej mnie diabli porwą, niż na to pozwolę.

Znowu się uśmiecham, usiłując się nie rozkleić. Jeszcze nigdy nie widziałam tej stanowczej, twardej strony dziadka – i bardzo mi się podoba. Naturalnie czułam jego

opiekuńczość przez całe życie, ale zawsze była stłamszona naszą sytuacją rodzinną, wymuszonym dystansem, który nas dzielił.

Teraz, gdy tu jest, nie muszę udawać, że nie darzymy się miłością. Oprócz Maximusa jest jedyną osobą, u boku której chciałabym się pojawić na dzisiejszej premierze. Uśmiecham się szeroko i mocno go przytulam, nakazując sobie w duchu, by się nie rozplakać i nie zepsuć makijażu, nad którym tamte miłe panie pracowały przez bite dwie godziny.

– Tak się cieszę, że tu jesteś, dziadziu. Będzie dobrze, obiecuję.

Gdy się od siebie odrywamy, po dżentelmeńsku wsuwa mi rękę pod ramię.

– Będzie, jeśli ty będziesz bezpieczna. Tylko to się dla mnie liczy.



Gdy dochodzi północ, a ja marzę już tylko o zrzućeniu szpilek, na afterparty podchodzi do mnie ukradkiem Kell.

– To co sądzisz? – pyta, przeczesując wzrokiem tłum gości.

– Sądzę, że możemy już wracać do domu.

Mam wrażenie, że ten wieczór zaczął się jakieś trzy tygodnie temu. Godzina pozowania po przyjściu, rundka powitalnych buziaków w lobby, a potem dwie godziny nieruchomego siedzenia w fotelu, bo w pograżonej w ciszy sali kinowej słyszeć najmniejszy szelest tiulu.

– Pytam o film – precyzuje z cichym śmiechem.

– Było naprawdę przyzwoicie. Ekranizacja w niczym nie ustępuje książce. A Piper spisała się na medal.

Kell się uśmiecha i sączy szampana. Jak zwykle wygląda sztywnie w sukni od Armaniego na jednym ramiączku i z prowokacyjnym wykończeniem stanika z przezroczystej tkaniny. Od wielu godzin zabawiamy gości rozmową, a ona wciąż wygląda świeżo i nieskazitelnie.

– Wow – odpowiada z radośnie żartobliwym uśmiechem. – Pięć gwiazdek od największej literackiej snobki, jaką znam. Szok i niedowierzanie.

Macham na nią ręką.

– To, że poważnie traktuję naukę, nie znaczy jeszcze, że jestem snobką.

– Wszyscy jesteśmy snobami, Karo. Na tym polega urok Valarich. Różnimy się tylko polem specjalizacji. Jaden kocha adrenalinę i szybkie maszyny, a ty masz monopol na książki i sztukę.

Przekrzywiam głowę.

– No dobra, zapytam. A co jest twoim „polem specjalizacji”?

Uśmiechając się szeroko, przenosi wzrok na tłum rozbawionych gości.

– Chyba mężczyźni.

Śmieję się.

– Jak można się specjalizować w zakazanym owocu?

Patrzy na mnie ze ściągniętymi brwiami. Nie mówi nic więcej, więc zmieniam temat.

– Rozmawiałaś z dziadkiem?

Podąża wzrokiem za moim spojrzeniem ku dziadkowi zajętemu ożywioną dyskusją z grupką panów w smokingach. Może to jego starzy przyjaciele, a może zawiera nowe znajomości. Ale od lat nie widziałam go tak radosnego i od tego widoku robi mi się ciepło na sercu.

– Hmm. Wygląda na to, że Gio zrobił furorę. – Głos Kell jest chłodny i szorstki. – Plus w komplecie zapozowaliśmy do zdjęcia. Wielka szczęśliwa rodzina, co nie? – dodaje ze sztucznym uśmiechem, a jej lodowaty ton niemal przyprawia mnie o drżenie. Do tej pory udawało mi się odeprzeć fale jej negatywnej energii, ale tym razem to istne tsunami wrogości.

– Pozowanie razem do zdjęć ma niewiele wspólnego z rodzinnym szczęściem. – Kell marszczy nos, a ja mrużę oczy. – Skąd u ciebie ten chłód? Co takiego ci zrobił?

– Nie zamierzam wkurzać mamy i tyle. Zostawiam to tobie.

Jej niewzruszony sarkazm tylko potęguje moje oburzenie.

– Gio, nasz dziadek jest dobrym człowiekiem. Zajmował się nami, kiedy byliśmy mali...

– Chcesz powiedzieć, że zajmował się tobą.

– Słucham?

– Owszem, ja i Jaden zawsze byliśmy nakarmieni, umyć i wyprowadzani na spacer. Ale to ty byłaś jego ulubienicą. Byliśmy dziećmi, ale nie zapomniałam.

Szczęka mi opada.

– Żartujesz sobie, prawda?

Dopija szampana i oddaje kieliszek jednemu z kelnerów, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Jej złość kłębiąca się niczym chmury burzowe współgra z językiem jej ciała. Jest na coś zła, ale to niemożliwe, by chodziło o obecność dziadka na premierze, zwłaszcza że jest tu za zgodą mamy.

– Nigdy wcześniej o tym nie wspominałaś – nie ustępuję.

– Bo to nigdy nie miało znaczenia. Nadal nie ma.

– Mimo to... może powinniśmy o tym porozmawiać.

Przerywa mi jej wybuch śmiechu.

– Jasne.

Milknę, bo kręci mi się w głowie od tej nagłej zmiany humoru. Kell bywa wyniosła i obojętna, ale tym razem to coś więcej niż przelotne odczucie. To czarny tuman, który hodoje od lat, a może nawet dekad. Nie, wróć. Jego korzenie sięgają jeszcze głębiej, a ja muszę do nich dotrzeć.

– Naprawdę chodzi o dziadka?

Kręci głową, unikając mojego wzroku.

– Kell... – Moja determinacja zdaje się na nic. Waham się powiedzieć szczerze, co mi leży na sercu, ale muszę się przełamać, bo inaczej nie pokonamy tego nowego rozdzwiewku między nami.

– Chodzi o Ardena? – Łagodzę ton, bo nie chcę, żeby to zabrzmiało jak oskarżenie.

Jej milczenie jest wystarczającym potwierdzeniem.

– Gdzie jest? – pytam. – Myślałam, że przyjdiesz z nim.

– Nie. – Jej śliczne czerwone usta pozostają zaciśnięte, zdradzając złość. – Miał inne sprawy niecierpiące zwłoki.

Nawet nie chcę myśleć jakie, bo zaczynam podejrzewać, że mają związek z pewnym spotkaniem z Hadesem, które właśnie się odbywa. Jak się zachowa Maximus, jeśli Arden uczepli się ich niczym nieznośna mucha?

Nie mogę się tym teraz zadręczać. Muszę ufać Maximusowi i jego samokontroli, która jest jego drugą naturą. Dla dobra swojego i Kell muszę zachować spokój.

– Powinnaś się cieszyć, że nie musisz spędzać z nim całego wieczoru.

Ściąga kolejny kieliszek szampana z tacy przechodzącego kelnera, ale tylko do niego zagląda, krzywiąc się na bąbelki.

– Mam się cieszyć, że nie chce się ze mną pokazywać publicznie, bo wciąż myśli, że ma

szanse u ciebie?

Dopiero teraz patrzy mi w oczy. Szczęka znowu mi opada. Uderzona falą jej zazdrości wreszcie uzmysławiam sobie prawdę. Przerażającą prawdę.

Arden tak naprawdę ze mnie nie zrezygnował.

– Nie powiedział tego. – To na wpół pełne nadziei stwierdzenie, na wpół desperackie pytanie. Modłę się w duchu, by moja siostra po prostu coś opacznie zrozumiała, że nic takiego nie powiedział...

– Nie. – Kell znowu zaciska usta. – Ale wiesz, że potrafię to wyczuć. Rozczarowanie ma bardzo wyraźny zapach.

Wypuszczam świszczący oddech.

– Kell, tak strasznie mi przykro. To wszystko moja wina... Spotkało cię to przeze mnie i nawet nie mogę tego odkręcić.

– A nawet gdybyś mogła, postąpiłabyś tak samo. – Wbija we mnie ostre spojrzenie, bo nie ma wątpliwości, że to prawda.

I ja to wiem. Może to przez krążącą w moich żyłach krew demona, ale w głębi swojego samolubnego ducha przyznaję, że wybrałabym Maximusa za każdym razem, nawet jeśli tym samym podpisałabym wyrok na Kell. Może ze względu na przekonanie, że on też by mnie wybrał, ale prędzej dlatego, że od początku byłam świadoma naszego nieuchronnego potępienia. Czy Arden jest lepszy od inkuba, który był jej przeznaczony? A może gorszy?

Tego już się nie dowiemy. I to wszystko wyłącznie moja wina. Serce chyba nigdy nie przestanie mi krwawić.

– Kell, nie wiem, co powiedzieć... – Przełykam łyżę, które zamieniają mi się w gardle w milion drobnych igiełek. – Nigdy nie przypuszczałam, że się zakocham, ale stało się. Miłość robi z ludzi egoistów i przyznaję, że zachowałam się samolubnie.

Kiwa głową, udając, że przygląda się swoim paznokciom.

– Może i ja kiedyś poznam to uczucie.

Przestaje zaciskać usta i wypuszcza powietrze, łagodząc gorycz swoich słów.

– Czy będziesz w stanie mi wybaczyć?

Śmieje się cicho.

– Demon proszący o przebaczenie. Boki zrywać.

– Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że jesteśmy czymś więcej niż krwią płynącą w naszych żyłach.

Znów podnosi na mnie wzrok.

– Powiedziała dziewczyna, która świadomie łamie wszystkie zasady, a potem za to przeprosza.

Wzdycham.

– Kell...

Potrząsa głową.

– Wszystko gra, Karo. Tylko... wszystko gra.

Nie gra, ale nic na to nie poradzę, więc odsuwam od siebie te myśli jak niepokojący obraz Ardena na spotkaniu Maximusa z Hadesem.

A niech to. To przyjęcie wlecze się w nieskończoność, a ja czuję się jak w dziewiątym kręgu Dantejskiego piekła, pełnego duchów przeszłości i grzechów, za które trzeba odpokutować... Ale nie mam wyjścia i muszę się z tym pogodzić, przynajmniej na razie...

Oddycham z ulgą, gdy dziadek wreszcie daje nam znak, że pora wracać do domu. Jest zmęczony i trochę podchmielony, ale jego radosny nastrój zmniejsza odrobinę mój smutek, który przez całą drogę usilnie staram się ukryć.

Gdy limuzyna zatrzymuje się przed rezydencją, ściskamy się na pożegnanie, obiecując sobie, że niedługo znowu się spotkamy. Śmieję się, widząc, jak klepie Daltona w ramię, na co kamerdyner uśmiecha się z zaciekawieniem i wchodzi za nim do środka.

Jazda powrotna dłuży się niemiłosiernie, a ja jestem jednym wielkim kłębkim nerwów i emocji, wśród których przeważa strach, że z tarapatów, w które wpadliśmy na własne życzenie, nie ma dobrego wyjścia. Pociesza mnie jedynie myśl, że za chwilę znajdę się w bezpiecznych ramionach Maximusa. Z każdym pokonanym kilometrem potrzebuję ich coraz bardziej. Już niedługo...

Ale gdy otwieram drzwi, w domu jest upiornie cicho i ciemno.

– Maximus? – Mój głos odbija się echem od wysokich stropów.

– Śpi.

Odwracam się gwałtownie w stronę tonącego w ciemności salonu, z którego przychodzi odpowiedź. Z palców Z. strzelają błękitne iskierki, oświetlając jego twarz. Wchodzę głębiej i zapalam lampę na stoliku.

Obrzuca mnie pełnym aprobaty spojrzeniem.

– Proszę, proszę. Gdyby Maximus zobaczył cię w tej sukni, nie wiem, czy zdołałbym go od ciebie odciągnąć.

Siadam na sąsiedniej sofie, zasłaniając się skrzyżowanymi na piersi rękoma. Nie jestem w nastroju na dyplomację ani jego błahe pochlebstwa.

– Co się stało?

Unosi brew.

– Trochę dobrego, trochę gorszego. A jutro rano twojego ukochanego czeka mały ból głowy...

– Jak to? – Sztynnięję i aż podskakuję, przysiadając na samym brzegu poduchy. Przed oczami momentalnie stają mi tamte obrazy. Jeśli Maximus i Arden naprawdę chwycili się za czuby i nastąpiła wymiana ciosów...

– Nic mu nie jest – uspokaja Z., jakby czytał mi w myślach. – Po prostu wypił trochę za dużo wody ognistej. Ja zresztą byłem niewiele lepszy.

Woda ognista. Ściągam brwi i nagle mnie oświeca.

– Jest... pijany?

– I to bardzo.

Pomimo lekkiego niepokoju i poirytowania tymi rewelacjami ciekawość bierze nade mną górę.

– To co dobrego wyniknęło ze spotkania? – dociekam, w domyśle pytając również o to, co niedobrego z niego wyniknęło. Równocześnie się boję i liczę, że sam do tego dojdzie, czy tego chcę, czy nie.

– Cóż... samo spotkanie, że tak powiem – mówi w końcu.

Ściskam brzeg poduchy, żeby nie zgrzytnąć zębami.

– Słucham?

– Zmuszenie trzech zarozumiałych drani, żeby usiedli i porozmawiali, nie wszczynając wojny, to zawsze sukces.

Na pozór schodzi ze mnie odrobina powietrza, ale w duchu mam ochotę złapać ławę i wyrzucić ją za okno. Mam wielką, ale to wielką nadzieję, że to nie koniec dobrych wiadomości.

– Ale co ze mną i Maximusem? Co Hades powiedział o... nas?

Z. wciąga wargę między zęby, przez co wygląda na rozdartego albo skołowanego.

– Obawiam się, że nie zdążyliśmy nic ustalić – przyznaje wreszcie.

Nie wytrzymuję i uderzam otwartymi dłońmi o poduchę.

– Żartujesz sobie. Ale chyba udało wam się o tym porozmawiać?
– Owszem. Okazuje się jednak, że mamy z bratem zupełnie inny pogląd na tę kwestię. Jedno spotkanie niczego nie załatwi. Hades jest... bardzo...

– Jaki? – dopytuję, gdy znowu próbuje grać na czas, wykorzystując trik z zasysaniem wargi.

Z. marszczy brwi.

– Obawiam się, że jest tobą bardzo zainteresowany. Z bardzo konkretnych powodów.

Teraz to ja ściągam brwi.

– Co to znaczy? Jesteś pewny?

– Tak. Po wyjściu z Labiryntu Maximus nie mówił o niczym innym. Po pogawędce z moim bratem był przekonany, że chodzi o coś więcej niż trzymanie poddanych w ryzach.

W wyrazie jego twarzy nie odnajduję ani krzty nadziei. Wprost przeciwnie, zalewa mnie nowa fala przerażenia.

– Ale przecież powiedziałeś, że Maximus był pijany.

Unosi brwi.

– Bez dwóch zdań.

– I mimo to mu uwierzyłeś?

Z. wzrusza ramionami.

– Bogowie są nieprzewidywalni. Tak jak pogoda. Ale jeśli podejrzenia Maximusa są słuszne, stałaś się obiektem fascynacji Hadesa... Cóż, sprawy mogą się potoczyć ciekawie.

Wybałuszam oczy.

– Ciekawie? Tu nie ma nic ciekawego, Z. To raczej okropne i przerażające. Moje życie wisi na włosku, a wy urządzacie sobie popijawę!

Zrywam się na równe nogi, ciesząc się chwilową przewagą wzrostu, co jest absurdalne, bo Z. jest bogiem, a ja po prostu mam na sobie szpilki. Nie mogę się z nim równać, ale to mnie nie powstrzymuje. Jestem tak wściekła, że w odbiciu jego oczu widzę, jak w moich stają płomienie.

– Do diabła, mieliście spróbować to załatwić, a nie chlać i tracić czas na kłótnie.

Wzdycha i opiera policzek na pięści.

– Karo, na tym polega polityka. Gdybyśmy od razu usuwali wszelkie przeszkody i bezzwłocznie likwidowali problemy, przez resztę wieczności nudzilibyśmy się jak mopsy.

Poddam się i zaczynam zgrzytać zębami, żeby na niego nie naskoczyć. Bo choć jestem na niego zła jak diabli, z Z. mam największe szanse na przeżycie. Stać mnie na spełnienie każdej zachcianki, ale na razie nie mogę sobie pozwolić na utratę stronnika tego formatu. Dla uspokojenia nerwów zmuszam się, by wziąć głęboki oddech.

– To co teraz? – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Kolejny wypad do baru?

– Być może. Rozmówiłem się szczerze z Po, więc teraz pozostaje nam czekać. Następny ruch należy do Hadesa. Zgłosiłem swoje roszczenia, że się tak wyrażę, i już wie, że dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana jak należy, nie będzie między nami zgody. Ale to może potrwać. Cierpliwości.

Pomimo usilnych starań, żeby nie stracić nad sobą panowania, oddycham ciężko.

Nie jestem cierpliwa i nie mam ani grama współczucia dla znudzonych bogów. Robię krok w jego stronę. Czuję się silna, ale nie dlatego, że chwilowo góruję nad nim wzrostem, tylko dzięki płonącemu we mnie ogniowi.

– Jeśli twoje obietnice były bez pokrycia... Jeśli Maximus mnie straci, nigdy ci tego nie wybaczy. Nigdy. Mam nadzieję, że jesteś tego świadomy.

Ma na tyle przyzwoitości, by wreszcie zrobić poważną minę.

– Wiem – mówi z lekkim skinieniem.

Rozdział 15

Maximus

Nad domem przelatuje z hukiem jakiś milion odrzutowców. Pomstuję w duchu na głupich pilotów, po czym uzmysławiam sobie, że to ja jestem głupi, a czaszkę rozsadza mi to, co się dzieje w niej, a nie nad nią.

– Kuuurwa...

Z moich ust jeszcze nigdy nie wyrwał się tak przejmujący jęk udręki. Czuję się tak, jakbym polizał nagrzaną chodnik po powietrznych akrobacjach jednym ze wspomnianych odrzutowców. Nigdy nie próbowałem ani jednego, ani drugiego i teraz mam stuprocentową pewność, że nigdy nie spróbuję.

Więc studenci co piątek wybiegają w te pędy z ostatnich zajęć, żeby oddawać się pijaństwu? Na Boga, dlaczego?

Przynajmniej wiem, gdzie jestem i jak tu trafiłem, co można nazwać cudem. Po tym, jak Hades ni z tego, ni z owego zmył się z Labiryntu, wysuszyłem butelkę „nektaru” w nadziei, że uspokoi gonitwę myśli w mojej głowie. To był ogromny błąd – co więcej, miałem świadomość, że go popełniam – ale w tamtej chwili pragnąłem tylko zapomnieć o tym, co właśnie usłyszałem. Zapomnieć choćby na chwilę, jak to jest być psychologiczną kartoteką zachłannego władcy demonów.

Nie poskutkowało.

Nawet godzinę później, gdy już nie wiedziałem, jak się nazywam i gdzie mieszkam, mój umysł nawiedzał każdy szczegół tych tortur. Płonące końcówki nerwów. Kipiąca w żyłach krew. Dreszcz przerażenia, gdy bez skrpułów czytał w moich wspomnieniach jak w otwartej księdze, nie pomijając nawet tych najintymniejszych...

Znowu wydaję z siebie bolesny jęk. Tym razem nie z powodu kaca. Dudnienie w moich skroniach przysłania przyspieszone bicie serca. W gardle zbiera mi się żółć, która nie ma co trawić w ściśniętym żołądku.

Robi mi się jeszcze słabiej, gdy uświadamiam sobie, że Kara nie śpi obok. W ogóle nie ma jej w sypialni. A w przestronnym domu na wzgórzu...

Jest stanowczo za duszno.

– Cholera. – Jednym susem wyskakuję z łóżka. Mechata pościel kotłuje mi się wokół nóg, zwłaszcza że nadal jestem w dżinsach. W końcu udaje mi się z niej wyplątać, pędzę do drzwi i wypadam z sypialni.

Natychmiast muszę zasłonić oczy przed oślepiającym blaskiem i z mojego gardła wyrzywa się warknięcie, ale równie szybko opuszczam rękę. To tylko jasne, poranne słońce. Jego białozłociste promienie padają wprost na anielską postać mojego małego demona siedzącego na sofie.

Gdy zaciągam się ciepłym, świeżym powietrzem, podnosi na mnie zaciekawiony wzrok. W krótkiej codziennej sukience na szelkach w fioletowoczerwonym odcieniu jest tak piękna, że aż boli.

Jest bosko, dzięki czemu mam również okazję podziwiać jej paznokcie pomalowane błyszczącym złotym lakierem.

Zapominam o kacu, mam ochotę rzucić się na nią i przygwoździć do tej sofy – w najlubiejszym tego słowa znaczeniu. Ewidentnie uderza ją siła mojego pożądania, bo w jej oczach pojawiają się płomienie, które jednak szybko gasną.

– Cześć – wita się ze mną zaskakująco chłodnym tonem.

– Cześć. – Przeczesałam palcami włosy, łapiąc się za kark. – Jesteś tu.

Jej brwi opadają.

– A gdzie miałabym być?

– No tak – przyznaję. – Po prostu myślałem... Bałem się, że...

– Że co?

Opuszczam rękę i bębnię palcami o udo, żeby zyskać na czasie. Już sam obgryzam paznokcie przez Hadesa, nie zamierzam dodatkowo stresować Kary.

Tylko że chyba już zdołałem to zrobić.

– Maximusie? – Odkłada laptopa i otwarty podręcznik. – Proszę, powiedz coś. O co chodzi? Co się wczoraj stało?

Opieram się o ścianę zrezygnowany. Nie ma sensu karmić jej koślawymi kłamstwami. I tak już wie, że jestem nie na żarty przestraszony, wyczuwa to. Na pewno dodała dwa do dwóch i powiązała moje przerażenie z wczorajszym spotkaniem. Powinna o wszystkim wiedzieć, ale dopiero gdy ja będę wiedział, jak jej to powiedzieć.

– Posejdon... Po... też tam był. Dowiedziałem się paru rzeczy, o których nie miałem pojęcia. On i Z. chyba doszli do porozumienia.

– Z. coś o tym wspominał.

Zaskoczony odrywam się od ściany.

– Kiedy?

– Wczorajszej nocy. Zastałam go tu po powrocie z premiery. Ty już spałeś.

Potrząsam szybko głową. Po co ojciec ze mną został? Bo szlachetne pobudki wykluczam. Nie wierzę, że chciał utulić syna do snu, choć pamiętam, że zaprowadził mnie do sypialni, kazał wypić trochę wody i patrzył, jak zwałam się na łóżko.

– Rozmawiałaś z nim?

– Tak.

Kiwam głową.

– Jak premiera? – pytam, siląc się na lekki ton, co wcale nie jest łatwe, zważywszy, że interesuje mnie tylko jedno: czy był na niej Arden. A jeśli tak, to czy trzymał łapy przy sobie. – Kto był?

Kara podrywa się z sofy i krzyżuje ręce na piersi.

– O nie, panie profesorze. Nie zmieniaj tematu. Twój raport z imprezy jest dużo ważniejszy niż mój.

Niestety trudno się nie zgodzić. Choć mam wielką ochotę poprosić ją, by wskoczyła z powrotem w swoją szalową sukienkę o niewinnym kolorze i odegrała przede mną pojawienie się na czerwonym dywanie, nie mogę pod niego zamieść wczorajszych wydarzeń w Labiryncie.

– A co mówił Z.?

Wykrzywia usta.

– Niewiele.

– Ale coś tam ci powiedział – nie ustępuję. – Co?

Z jej ust wrywa się ostre prychnięcie.

– To ja czekam na wyjaśnienia. A może tak się upiłeś, że nie pamiętasz?

Odwracam się do niej gwałtownie i odchylam głowę.

– Naprawdę tak myślisz? Że spotkawszy się wreszcie z ludźmi, którzy decydują o naszym

losie, z miejsca spiłem się do nieprzytomności?

Skrepowana odwraca wzrok i bębni palcami w łokcie.

– Kara. Spójrz na mnie. – Na szczęście spełnia moją prośbę. – Byłem trzeźwy przez całą rozmowę z Hadesem.

Opuszcza ramiona i patrzy na mnie tkliwym wzrokiem.

– Wierzę ci.

Wypuszczam z ulgą powietrze.

– Dziękuję.

– To co tam się stało? – pyta z taką rozpaczą, jakby miała się rozpłakać. Czuję znajomy ścisk żołądka, o sercu nie wspominając. Ale jeśli chcę ocalić kobietę, którą kocham nad życie, muszę znów zacząć myśleć. A to oznacza, że na razie nie ma potrzeby jej straszyć.

– Nie mogę jeszcze o tym mówić. Przepraszam.

Nie dziwię się, że na te słowa zasłania się ręką, blokując do siebie dostęp, gdy próbuję do niej podejść.

– Kara. Muszę nabrać do tego odrobiny dystansu, rozumiesz? – I wymyślić, jak jej powiedzieć, że władca piekieł widział ją nagą, podnieconą i... jeszcze gorzej.

A ja na to pozwoliłem.

– Żeby złożyć wszystko do kupy, muszę to najpierw rozłożyć na czynniki pierwsze.

Unosi głowę, pokazując mi dym w swoich oczach. Jak zawsze oburzona jest równie piękna, co roznamiętniona i przez chwilę nie mogę wykrztusić z siebie słowa. Ale zaraz sobie przypominam, że to wspomnienie również może zostać mi wydarte, bo pewnego dnia, być może wkrótce, Hades wróci, by je sobie na parę minut „pożyczyć”.

Nie.

Po. Prostu. Nie.

Muszę go jakoś rozgryźć. I tylko jedna osoba jest w stanie odpowiedzieć na moje pytania.

Determinacja motywuje mnie do działania. Podchodzę do Kary, która wreszcie wstaje i pozwala się przytulić.

– Dziękuję za zrozumienie – szepczę w jej uroczy kok na czubku głowy, wciąż pachnący morzem drogich kosmetyków.

– A kto mówi, że rozumiem? – mruczy we wgłębienie pośrodku mojej klatki piersiowej. – Ale ci ufam – ciągnie, obejmując mnie w pasie. – Więc wypij kawę i do roboty... Cierpliwość nie jest moją największą cnotą.

Pochyliam się, ona zadziera głowę i nasze usta spotykają się w słodkim, acz gorącym pocałunku, który jednak jest zdecydowanie za krótki.

– Ach, masz dużo więcej lepszych cnot.

Uśmiecha się szelmowsko.

– Powiedział półbóg, który odebrał mi tę dosłowną?

– Dar, za który jestem codziennie wdzięczny – odpowiadam szeptem.

Przyciska usta do mojego serca.

– Za te słowa sama zrobię panu tej kawy, panie Kane.

– Och, kochanie. – Znowu zaciągam się zapachem jej pukli. – Z chęcią, ale pomyślałem sobie, że zajrzę do Recto Verso. Tam wypiję dawkę kofeiny.

Znowu ściąga brwi.

– Czy potrzebujesz czegoś ze swojego mieszkania na wieczór? Smoking i buty przyjadą prosto od krawca, a przyjęcie Złotego Kręgu jest w Huntington Gardens, aż w Pasadenie. Musiałbyś bardzo nadłożyć drogi.

– Nie, wszystko mam. – Całuję ją delikatnie w czoło. – Podziękuj ode mnie Veronice, że

się wszystkim zajęła. – Choć raz jestem jej naprawdę wdzięczny. Dzięki temu mam czas na coś ważniejszego niż odgrywanie swojej roli. – Muszę wstąpić do Recto Verso.

– Okej. – Marszczy w zamyśleniu brwi, ale już o nic nie dopytuje. Wystarczy, że mój mętlik w głowie pewnie przytłacza ją jak tona cegieł. Nie mogę jej jednak teraz ukoić, bo zapragnąłbym czegoś więcej. To musi poczekać, dopóki nie zaszachuję Hadesa z jego cholernymi sztuczkami.

Żeby mi się to udało, muszę dowiedzieć się trochę więcej o tym, kim naprawdę jestem. Nawet podchmielony Z. nie był w stanie udzielić mi zadowalającej odpowiedzi na to pytanie. Przyparty do muru ze wstydem przyznał się do spłodzenia zatrważającej liczby półkrwi bękartów, nigdy nie interesował się jednak ich biologią. Jest pewien tylko jednego: psychologiczne sztuczki Hadesa nie działają na bogów czystej krwi.

Choć cieszy mnie, że Z. i Po są bezpieczni, sam wracam do punktu wyjścia. Czy Hades może zagrozić moim szarym komórkom na inne sposoby? A jeśli tak, jaki będzie jego następny ruch? Do czego jest się w stanie posunąć mściwy demon, dodatkowo rozeźlony kłamstwami Po? Do czego się posunie, by mnie ukarać za przewinienia Kary? Albo Z.? Za błędy sprzed lat, których nawet nie pamiętam?

Tylko jedna osoba może coś wiedzieć. Była strażniczka Olimpu i obecna właścicielka księgarni w centrum Los Angeles.



Docieram do Recto Verso, gdy poranny tłumek kawoszy zaczyna się już przeredzać. Zostają tylko członkowie niewielkiego klubu książki i paru studentów w bluzach University of Alameda. Na zewnątrz w powietrzu czuć przywianą przez bryzę, a w środku mocny zapach kawy zaprawiony aromatem dyni i karmelu.

Tak jak się tego spodziewałem – i jednocześnie z różnych przyczyn bałem – za ladą stoi Regina. Warkocze, w które wplotła długą czerwoną apaszkę, ma wysoko upięte, a na sobie dla kontrastu spłowiwały podkoszulek.

– Cześć, supergwiazdo. – Wskazując ściereczką jeden ze stołków barowych, poleca mi, bym usiadł.

Wolę stać, ale to jeszcze nie uruchamia alarmu w jej głowie. Często stoję przy ladzie.

– Wybacz, gdybym wiedziała, że przyjdiesz, dałabym cynk kilku paparazzim.

W odpowiedzi pry cham lekko z przyzwyczajenia. I nagle mnie olśniewa. Zwyczajnie. Ile ich mamy? Trudno zliczyć. Zastanowiwszy się nad tym, odnoszę dziwne wrażenie, że wiele z nich pochodzi sprzed naszego pierwszego spotkania w księgarni. Tak jak znajomość z samą Reg. Teraz już wiem, skąd to osobliwe *déjà vu*, które zawsze czułem, lecz nigdy się nad nim nie zastanawiałem, wdzięczny, że wszechświat obdarzył mnie przyjaciółką, która tak dobrze mnie zna i z którą tak świetnie się dogaduję.

Jak mam się teraz czuć, wiedząc, że brała udział w wielkim spisku? Co więcej, że to ona go zainicjowała?

Żebym był bezpieczny.

Tylko co było zagrożeniem? A raczej kto, jeśli wierzyć Po.

Już tyle się dowiedziałem – tylko po to, by stwierdzić, jak niewiele wiem.

– Ale po wczorajszej premierze pewnie masz dość błysku fleszy – ciągnie Reg. – Chociaż rano Sarah jęczała, że nigdzie nie może znaleźć twoich zdjęć z czerwonego dywanu. Gdzie

byłeś? Kryłeś się po kątach? Jak widziałyśmy, to było duże wydarzenie. W mediach roi się od fotek twojej ślicznej dziewczyny i jej sław... – Rzuciwszy na mnie okiem, przerywa w pół słowa i baczniej mi się przygląda. – Nawet cię tam nie było, prawda?

Sącząc kawę, którą przede mną postawiła, patrzę na nią spode łba.

– A to źle?

– To twierdzą twoje usta, ale reszta twarzy mówi coś zupełnie innego, Maximusie Kanie. Odsuwam kawę. Mój żołądek ma dość po tym jednym łyku.

– Co ty nie powiesz.

Rzuca ściereczkę i wbija we mnie wzrok.

– Co się stało? Pobiliście się?

– Nie.

– Chodzi o knowania Veroniki?

– Nie.

– To dlaczego wyglądasz, jakbyś wypił pół galonu nafty i zasnął w ciuchach?

Zaciskam usta, w których wciąż mam sucho jak na pustyni, co jest równie dotkliwe jak mętlik w głowie. Teraz, gdy już tu jestem, nie mam pojęcia, jak zacząć. Po tej rozmowie między nami nigdy nie będzie tak samo. W duchu cieszę się ostatnimi sekundami naszej normalności.

– To nie była nafta – wyrzucam z siebie w końcu. – Tylko jakaś whisky o nazwie Dziewiąty Krąg. Lub, jak mawia mój ojciec, „nektar spod lady”.

Regina łapie się krawędzi blatu, po czym zwiesza głowę. Przez dłuższą chwilę wygląda, jakby miała zwymiotować.

– Do. Diabła. Ciężkiego – odzywa się wreszcie ochryplym głosem.

– Niezupełnie. – Korzystając z chwili napięcia, siadam na stołku, bardziej po to, by znaleźć się blisko niej, niż dla własnej wygody. – Chyba że Labirynt tak naprawdę znajduje się w piekle. Chociaż wątpię, czy Po miałby ochotę kąpać się w Styksie.

Znowu milczy przez dłuższą chwilę. Na wybuch śmiechu kogoś z klubu książki powoli podnosi głowę.

– Czyli już wiesz? Wszystko?

– Wszystko? – powtarzam za nią. – A czy to w ogóle można objąć rozumem, pani Nikian?

Dziwnie, choć miło widzieć i słyszeć, jak parska cichym śmiechem.

– Słuszne pytanie. – Jej humor gaśnie równie szybko, jak się pojawia. – Słuszne jak cała ta sprawa.

– „Słuszność” – podkreślam ironicznie – to pojęcie nieznane bogom.

Ani drgnie, ale wyraz jej twarzy się zmienia.

– Gdyby go nie znali, nie przetrwaliby tylu stuleci, Max. Ani oni, ani ich królestwa...

– Czyli tak to wygląda? – Patrzę jej w oczy z równym zdecydowaniem. – Do końca będziesz służyć bogom, zamiast...

– Wszyscy im służyliśmy, Maximusie. – Prostuje się. – Niektórzy z nas są tylko bardziej świadomi swojej roli niż inni.

Mówiąc to, jeszcze mocniej ściąga łopatki. Jej oczy napełniają się smutkiem, a ja mrugam, gdy zaczynam ją widzieć w innym świetle. Teraz rozumiem. Kiedyś nosiła broń i tarczę, a teraz dzbanki kawy i pudła z książkami.

Mam do niej sto pytań, ale dziewięćdziesiąt dziewięć z nich będzie musiało poczekać. To najważniejsze ma pierwszeństwo.

– Gdy postanowiłaś zwrócić się do Po... za plecami Hadesa i Zeusa... komu wtedy służyłaś?

– Tobie – odpowiada bez wahania.

Odchylam się, ale nie jestem zaskoczony. Nie po raz pierwszy, odkąd się dowiedziałem, kim naprawdę jestem, jakieś rewelacje *de facto* rzucają światło na moje relacje. Elementy układanki zaczynają wreszcie do siebie pasować.

Ale jednego wciąż brakuje...

Ktoś jeszcze powinien tu być. Ktoś, kto być może wie nawet więcej od Reg.

Wyjmuję telefon i wybieram numer mamy.

Rozdział 16

Kara

Za stołem kuchennym, na którym obecnie piętrzą się notatniki i eseje na zaliczenie, rozpościera się panorama zakurzonych wzgórz skąpanych w bursztynowej łunie popołudniowego słońca. Odkąd kilka lat temu wybrałyśmy z Kell ten dom, nasz wart grube miliony widok z okna wciąż jest taki sam, w przeciwieństwie do naszego życia, które zmieniło się nie do poznania. A przynajmniej takie mam nieodparte wrażenie.

Maximus dopiero wyszedł, a już mi go brakuje. To dziwne, bo zwykle nie mogę się doczekać tych rzadkich chwil ciszy w apartamencie, w którym niemal zawsze roi się od rodzeństwa, stylistek, asystentek i służby. Ale dziś nie jestem w stanie zebrać myśli i raz po raz odpływam w nieznanym kierunku.

Do mojej świadomości przebija się tylko jedna myśl niedająca mi spokoju. Trzeba było wycisnąć z Z. jak najwięcej szczegółów wczorajszego spotkania, zamiast zakładać, że Maximus uzupełni wszystkie luki. Okazuje się, że zostało ich całe mnóstwo. Jego dzisiejsze rozkojarzenie, nie mniejsze od mojego, i zagadkowe poranne wyjście sugerują, że czegoś mi nie mówi.

Muszę wierzyć, że w końcu to zrobi. Tyle tylko że wiara czy też zaufanie nigdy nie należały do moich ulubionych konceptów. Może w dzieciństwie, kiedy stawiałam pierwsze kroki pod czujnym okiem dziadka albo zwierzałam się z głupiotkich sekretów Kell i Jadenowi. W miarę upływu lat „zaufanie” zaczęło dla mnie oznaczać jednak coś zgoła innego. Na przykład ryzyko. Bezbronność. Niebezpieczeństwo. I słabość. Nie mogłam sobie na nie pozwolić, tym samym przyznając się do swojego człowieczeństwa.

Potrząsam głową, by przegonić te posępne myśli, i skupiam się na ostatnim akapicie zadanego na wczoraj streszczenia pieśni. Uśmiechając się do siebie, opatruję je piątkową datą, bo akurat w przypadku tego kursu nie odmówię odrobiny faworyzowania. Oczywiście sypiam z prowadzącym, ale nie w tym rzecz. Gdyby w grę wchodził tylko seks, złożyłabym pracę wczoraj albo przelknęła konsekwencje spóźnienia. Ale Maximus lepiej niż ktokolwiek inny rozumie, że ostatnio nie miałam czasu nawet się podrapać, o nauce nie wspominając.

Usiłuję się skupić na pracach zadanych na przyszły tydzień, ale kończy się to gapieniem przez okno. Moje szare komórki znowu odpływają wraz z pyłkami unoszącymi się na wietrze ciągnącym z kanionu. Potrzebuję kotwicy.

Potrzebuję jego.

Ale go tu nie ma.

Mój wzrok pada na opasłe tomiszczce leżące na brzegu stołu. Z braku lepszego zajęcia podnoszę *Komedie* i odnajduję zadane do przeczytania pieśni. To głupie, bo piekło to ostatnie, o czym mam ochotę czytać, ale wmawiam sobie, że na którejś z tych stronic odnajdę prawdę. A przynajmniej dzięki tym wersom poczuję namiastkę obecności Maximusa.

Zatapiam się w poezji naszego florentyńskiego wygnańca. Czytam o dziwnej przyjaźni rodzącej się między Dantem a jego przewodnikiem, o ich wierze, determinacji i wzajemnej opiece. Z nadzieją w sercu wkraczają nawet w najgłębszą otchłań piekła. „Śród naszej drużyny niewielu tylko wolność otrzymało deptać te oto podziemne ścieżyny” – czytam szeptem, pośpiesznie wędrując palcem po wersach. – „To są najgłębsze, najczarniejsze ciemnie, najdalsze

nieba, gdzie trwa źródło ruchu; dobrze znam drogę, miejże ufność we mnie”*

Drzwi trzaskają nagle i odrywają mnie od lektury. To nie może być Maximus. Obiecał, że napisze w drodze powrotnej. A Kell wyszła raptem godzinę temu, mrucząc pod nosem coś o wizycie w spa w ramach przygotowań do wieczornego przyjęcia.

– Jaden – szepczę ze zdumieniem.

Mój młodszy brat wchodzi z cwany uśmiechem jak do siebie. Nawet nie puka. Mam wrażenie, że odkąd nauczył się chodzić, zawsze udaje mu się wkręcić, gdzie tylko chce. Plusy bycia najmłodszym dzieckiem w rodzinie demonów.

Z wystudiowaną gracją wchodzi do kuchni.

Ma na sobie ciemne džinsy i białą koszulę na guziki rozpiętą na tyle, by odsłonić fragment misternego tatuażu na piersi. Za każdym razem gdy się pojawia na okładce jakiegoś plotkarskiego pisemka, jego chłopięca uroda jest gwarancją sprzedaży milionów egzemplarzy. Dla mnie wciąż jest smarkaczem, który podkrada frytki z mojego talerza i ma czelność zwracać mi uwagę, że za bardzo się wiercę. Sam nigdy, przenigdy tego nie robi.

– Skąd się tu wzięłaś? Całe wieki cię nie widziałam.

Zsuwa swoje pilotki lustrzanki na modnie przerośniętą ciemnobrązową czuprynę, która nadaje mu sznyt niegrzecznego chłopca, „idealnego na srebrny ekran”, jak mawia nasza matka. W jego bursztynowych tęczęwkach tańczą łobuzerskie, szelmowskie iskierki doskonale pasujące do jego reputacji playboya.

– Wyskoczyłem z przyjaciółmi do Cabo. Potrzebowałem małych wakacji.

Parskam śmiechem.

– Wakacji? Jaden, przecież ty nawet nie pracujesz.

Odsuwa sobie krzesło i się rozsiada.

– Czyżby? A jak nazwałabyś nieustanne kursowanie taksówkami po mieście na spotkania, które mama obsesyjnie ustawia?

Co racja, to racja. Ale głośno mu jej nie przyznam.

– Niektórzy byliby wdzięczni losowi, że mają tak niestrudzoną i oddaną ich karierze agentkę.

Jaden przewraca oczami.

– Zapomniałem, że na wdzięczności to ty się znasz jak nikt.

Tracę odrobinę animuszu. Nie jest tajemnicą, że nasz styl życia nigdy mi nie odpowiadał, inaczej niż mojemu rodzeństwu. Na szczęście Jaden chyba nie zauważył, że z chirurgiczną precyzją trafił w mój czuły punkt. A nawet jeśli zauważył, to udaje głupiego.

Wskazuje brodą na pliki materiałów na stole.

– Co to za papiery?

– Nadrabiam zaległości na uczelni, bo ostatnio miałam urwanie głowy.

Jego wzrok spoczywa na otwartej przede mną *Komedii*. Nachyla się, żeby zajrzeć w tekst.

– Dante? Serio?

Zatrząskuję książkę.

– Tak, serio. Co cię to obchodzi?

W odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Jak na kogoś, kto nie cierpi być demonem, jesteś nimi dziwnie zafascynowana, siostrzyczko.

Milknę.

– To nieprawda.

– Tak? A kto spędził ostatnie lata na studiowaniu naszego rodowodu?

– Starożytność to dużo więcej.

Unosi wyzywająco brew.

Zaciskam usta, choć sama nieraz nad tym rozmyślałam. Ciągnęło mnie do antyku. Zmyślane historyjki. Prawdziwa historia. Przeplatanka mitu i prawdy, których nikt nigdy nie zdoła do końca rozdzielić. Ale całe piękno tkwi właśnie w podjęciu wyzwania. Może dlatego poświęciłam temu ostatnie cztery lata. A teraz mam jeszcze ważniejszy powód, by nie przestawać.

– Tak czy siak – zaczyna Jaden, wrywając mnie z zamyślenia. – Po powrocie wpadłem do mamy i Gio powiedział mi coś bardzo interesującego.

Prycham.

– Nazywaj go z łaski swojej dziadkiem.

– Niech ci będzie. W każdym razie teraz już wiem, dlaczego mnie zdetronizowałaś jako ulubienica „Page Six”.

– Słucham? – Marszczę mocno brwi, ale ostatecznie tylko przewracam oczami. – Nieprawda.

– A właśnie że prawda – upiera się Jaden. – Ale to nie zawody. I tak się składa, że nie znoszę tego szmatławca. Niemniej...

– Co? – dopytuję.

– Cholera, Kara. – Chichocze z ironią, ale widać, że nie jest mu zbyt do śmiechu. –

W jakie szambo się wpackowałaś?

Mimowolnie wzdycham.

– Dość głębokie.

Kiwa głową z poważniejszą miną.

– Półbóg, tak?

Przekrzywiam usta.

– Na to wygląda.

– Zwariowałaś?

– Sugerujesz, że specjalnie szukałam kłopotów?

– Jasne, że nie. – Przechesuje dłonią zmierzwioną czuprynę i drapie się po głowie. Kosmyki wracają na miejsce, a on przy okazji patrzy na swój wysadzany brylantami zegarek. – Wpadłem tylko sprawdzić, co u ciebie. Muszę lecieć. Mam plany na wieczór.

– Ja też. I została mi jeszcze masa rzeczy do przeczytania. – Wskazuję ręką piętrzące się na stole książki.

Jaden wstaje, wciska ręce do tylnych kieszeni dżinsów i wzrusza z mocą ramionami.

– To... dasz sobie radę? Może ci jakoś pomóc?

W pierwszej chwili nie wiem, co odpowiedzieć. Jeszcze nigdy nie okazał mi takiej troski, ale wyraźnie czuć, że w duchu się modli, bym przypadkiem nie przyjęła jego oferty, bo wtedy musiałby na chwilę przerwać zabawę i naprawdę coś zrobić.

– Nie trzeba. – Uśmiecham się ciepło, wdzięczna, że w ogóle pomyślał, żeby do mnie zajrzeć. Nagle przypominam sobie o Kell... i naszym wczorajszym spięciu. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Aha – mówi, wyjmując telefon z kieszeni.

– Pamiętasz coś z czasu, gdy dziadek zajmował się nami w dzieciństwie?

Kiwa powoli głową, starannie unikając mojego wzroku.

– Trochę.

Milknę, ważę następne słowa. Nie przez wzgląd na obojętnego Jadena, ale żeby uzyskać odpowiedź.

– Myślisz, że faworyzował któregoś z nas?

Parska śmiechem i wreszcie podnosi wzrok.

– Boisz się, że teraz, gdy wreszcie się wydostał z domku dla gości, będzie wolał kogoś innego?

Marszczę brwi.

– Nie.

Jaden znowu się śmieje. Tym razem ze szczerą wesołością.

– To o co chodzi? Nie rozumiem. Po tych wszystkich latach? Gdyby rzeczywiście faworyzował któregoś z nas, odpowiedź chyba byłaby oczywista.

Wzdycham i potrząsam głową.

– Masz rację, to głupie pytanie.

Przez dłuższą chwilę przygląda mi się badawczo, po czym podejmuje jakąś decyzję.

– Posłuchaj, nie mam zbyt wielu wspomnień z nim związanych. Kiedy wyrosłem z pieluch, już go przy nas nie było.

No tak, racja. Ja mam więcej wspomnień o dziadku niż moje rodzeństwo, choć i moje są mgliste i dziurawe. Pierwszy raz w życiu zastanawiam się dlaczego.

Dlaczego dziadkowi najpierw powierzono opiekę nad dziećmi, a potem nagle rodzina się go wyrzekła? Dlaczego narażaliśmy się na gniew mamy, gdy ośmieliliśmy się okazać mu życzliwość? Dlaczego nikt nam nic nie wyjaśnił?

Co takiego się stało?

Zadaję sobie te wszystkie pytania, odprowadzając Jadena do drzwi. Na podjeździe stoi jego kanarkowożółte lamborghini. Jaden przerzuca kluczyki z ręki do ręki. W progu nagle się zatrzymuje i odwraca do mnie.

– Okej, teraz ja chcę cię o coś zapytać – mówi ostrożnie.

Natychmiast ogarnia mnie niepokój i przybieram pokerową twarz. Ale znając Jadena – choć teraz jest mi już prawie obcy – może chodzić o coś błahego.

– Hmm? – Siłę się na obojętny ton.

– Masz plany na wieczór?

– A. – Nie potrafię ukryć zaskoczenia, przeglądając w myślach grafik. – Uczelniane przyjęcie Złotego Kręgu.

Cmoka.

– A tak. Wyleciało mi z głowy. Na szczęście udało mi się z tego wymiksować.

– Szczęściar – odpowiadam żartobliwie, bo w przeciwieństwie do niego mam powody, by chcieć tam być.

Jaden chichocze.

– Ja mam powtórny casting do jakiegoś serialu moralnego niepokoju dla Foxa, ale potem jadę na imprezkę do Rereka.

Prawie wydaję z siebie jęk. Prawie.

– Nadal się z nim zadajesz? Mama wie?

– Mama nie musi wiedzieć wszystkiego – odpowiada, przeczesując sobie włosy. Szyba służy mu za lusterko. – A poza tym Rerek już się trochę uspokoił. Przysięgam.

– Zdefiniuj „trochę”. I „imprezkę”. – W świecie Rereka to oznacza liczbę gości w przedziale od pięćdziesięciu do pięciuset.

– Będzie fajnie. – Znowu to jego staranne unikanie tematu. – Zapowiada się ciepła noc, więc chcemy zrobić ognisko na plaży przed jego domem. Wpadnij po przyjęciu ze swoim nowym chłopakiem, jak będziecie mieli ochotę.

Mimowolnie zaczynam się przekonywać do tego pomysłu. Zwłaszcza że Jaden się stara... czuję to. Co prawda nie bardzo wiem dlaczego, ale i tak się cieszę, bo jeszcze kilka dni temu,

wybierając Maximusa zamiast Ardena, myślałam, że moja rodzina dziwadeł się mnie wyrzeknie. A teraz wygląda na to, że uda mi się ją zatrzymać.

Uśmiecham się i ściskam Jadena na pożegnanie. W pierwszej chwili sztywnieje, ale zaraz i on mnie obejmuje.

– Dzięki za zaproszenie. Wpadniemy – obiecuję.

* Dante Alighieri, *Boska komedia, Piekło*, pieśń IX.

Rozdział 17

Maximus

Kiwam w podzięcie głową, gdy Reg stawia przede mną drugi kubek kawy. Zna mnie na wylot i wie, kiedy potrzebuję dodatkowego zastrzyku kofeiny, który nazywa „pobudką Maximusa”. Przydaje się po prawie bezsennej nocy i porannej wizycie na siłowni. Po raz pierwszy serwuje mi go na kaca giganta. Po wczorajszym pijaństwie już wiem, że z boskimi trunkami nie ma żartów.

Czy Z. też dziś umiera?

Nawet nie chcę wiedzieć. Ani przeznaczać na zastanawianie się nad tym tej jednej z trzech działających obecnie w moim mózgu szarych komórek.

Zamiast tego myślę, co teraz powiedzieć Reg. Przenieśliśmy się na jedną z sof w tylnym rogu kawiarni, gdzie parę tygodni temu Piper Blue pozowała do zdjęć fanów i dziennikarzy. Nie do wiary, że od tamtej imprezy nie minął nawet miesiąc. Od tamtej niesamowitej chwili, gdy dotknąłem Kary w dziale starożytności i zdałem sobie sprawę, że nasza więź nie jest przypadkowa. W jej oczach zobaczyłem to samo. Wtedy po raz pierwszy dotknęła mojej duszy, uświadamiając mi, jaki jestem niepełny.

Teraz czerpię siłę z tych wspomnień. Przypominają mi, że pomimo ceny, jaką przychodzi nam za to zapłacić, dokonaliśmy słusznego wyboru, wchodząc na ścieżkę przeznaczenia. I choć nie znamy jeszcze jej końca, dotrzemy do niego razem. I stanie się światłość.

Muszę w to wierzyć...

– Czyli ojciec w końcu cię wywęszył.

Choć w głosie Reg słychać niekłamanie przerażenie, przez co mam ochotę wziąć Z. w obronę, jestem jej wdzięczny, że odezwała się pierwsza.

– Tego się obawiałam – mruczy pod nosem i wypija haust z własnego kubka.

Na odległość czuć burbona, którego dołała sobie do porannej herbaty. Sprytna kobieta.

– Odkąd tylko zobaczyłam, jak się ślinisz do tego demona... a potem jeszcze ta niedzielna nawałnica...

– Wiedziałaś? – Nachyliam się, gdy zwiesza głowę i opiera ją na dłoni. – I nic mi nie powiedziałaś?

Pośpiesznie podnosi głowę i prostuje plecy.

– A co miałam ci powiedzieć? „Ładna pogoda, prawda, słonko? A tak na marginesie: jesteś półbogiem i chyba właśnie przeleciałeś demona”.

Jeżę się.

– Nie „przeleciałem” jej.

Choć Reg na pewno nie chciała nikogo obrazić swoim doborem słownictwa, i tak czuję się dotknięty. Niech przynajmniej wie, że na niczyj widok się nie „ślinię”.

– Niech ci będzie. To tylko słowa – odcina się i upija kolejny łyk swojej herbatki z prądem. – Poznaliście się w sensie biblijnym, tak lepiej? Skoro już to ustaliliśmy, przejdźmy może do burzy, którą przywołałeś swojego boskiego ojca.

W pierwszej chwili nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać. Treść tego ostatniego zdania zupełnie nie przystaje do luzackiego stylu wypowiedzi Reg. Zupełnie jakbym znowu był

dzieckiem, a ona w ramach kary za przewrócenie regału z książkami podczas zabawy w chowanego z Jessem kazała mi umyć latrynę.

Szkoda, że to nie takie proste. Tego bałaganu nie posprząta się szczotką i detergentem.

Usztywniona sylwetka i błagalny wzrok Reginy tylko potwierdzają moje obawy. Widzę, jak bardzo chce się mylić. Bez słów prosi mnie, bym oświadczył, że nie mam pojęcia, o czym mówi, a tamta burza to tylko zwykła anomalia. Ale nie mogę tego zrobić. Czas tuszowania prawdy w imię bezpieczeństwa już dawno minął. Muszę wiedzieć więcej, a ona musi odpowiedzieć na moje pytania.

Gdy się zastanawiam, jak ugryźć temat, rozlega się dzwonek nad drzwiami wejściowymi. Wiem, kto to, jeszcze zanim się odwracam. Obecność mamy już zaczyna na mnie działać kojąco, choć w mózgu zapala mi się czerwona lampka. Dopiero teraz zauważam, jak bardzo przygasła. Po rzucił wreszcie trochę światła na najgłębsze zakamarki mojego umysłu, które dotychczas były pogrążone w mroku. Jak Dante w miarę wędrówki rozumiem coraz więcej. I więcej jestem gotów wybaczyć.

– Cześć, koleżko. – Ten czuły przydomek z mojego dzieciństwa zdradza jej wyczerpanie szybciej niż zmęczony głos. Obejmujemy się na powitanie i kątem oka widzę, jak obrzuca mnie zaniepokojonym, acz sennym wzrokiem. Następnie opada na fotel uszak przed kubkiem herbatki rumiankowej od Reg.

– Wybacz, że cię obudziłem – przepraszam ją, gdy sączy aromatyczny napar.

– Nic się nie stało. – Mój komentarz chyba ją zirytował. Nie dlatego, że wyrwałem ją z krótkiego snu po dwunastogodzinnym dyżurze, ale dlatego, że za to przeprosiłem. – Jak zawsze, przecież wiesz. – Zerka to na mnie, to na Reg. – O co chodzi?

Reg wypuszcza powietrze. Brzmi to jak ochryply śmiech, który za późno próbowała powstrzymać.

Mama marszczy brwi.

– Na litość boską, mówcie.

– Na litość „boską”... To ci się udało – stwierdza Reg.

Mama najwyraźniej nie ma pojęcia, że rozumiem podtekst.

– Chodzi o tę dziewczynę, z którą się spotykasz? Tę, przez którą wszędzie chodzą za wami paparazzi? Co takiego zrobiła, skarbie? – Odstawia herbatę z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Mamo...

– Możesz mi powiedzieć. Umiem zachować dyskrecję.

– Mamo.

– Jeśli cię skrzywdziła, to przysięgam na Boga, że powiem jej do słuchu. Nie doceniać takiego skarbu...

– Ma na imię Kara – warczę. – I zależy mi na niej. Bardzo.

– Cholera. – Regina znowu opuszcza głowę i chowa twarz w dłoniach. – Tego właśnie się obawiałam.

– To znaczy czego? – Kąciki ust mamy lekko się unoszą. – Że podoba mu się jakaś dziewczyna? Chryste, Reg, wyluzuj. To dobrze, że mu się podoba. – Zrywa się na równe nogi. Ma na sobie spodnie od dresu i szpitalne chodaki, których gumowe podeszwy piszczą na drewnianej podłodze, gdy stawia kroki. Doszedłszy do mojej sofy, przyciąga mnie do siebie i przytula. – Wróć: to cudownie, że ci się podoba.

Mama patrzy znad mojego bicepsa na Reginę, która zerka na nią przez palce.

– Tak, po prostu cudownie. – Reg opuszcza dłonie, ukazując chmurne oblicze. – Tyle że już zdążył się z nią przespać.

– Och. No dobrze... – Mama śmieje się ze sztucznym lekceważeniem. – Jesteś dorosły i możesz decydować o swoim życiu.

– To nie wszystko – wtrąca pośpiesznie Reg i posyła mi znaczące spojrzenie, na które odpowiadam skinieniem głowy.

– No dobrze. – Tym razem powtórzone słowa aprobaty nie brzmią już tak pewnie. Z jednej strony się cieszę, że niezdojta twierdza oporu mamy zaczyna się chwiać w posadach, ale w głębi duszy wcale mi się to nie podoba. To jest ten moment, na który tak długo czekałem? Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem. Fatalne okoliczności przyrody.

– Posłuchaj mnie, Nancy. On. Się. Z. Nią. Przespał.

– Reg, to już ustaliliśmy. Nie musisz się powtarzać – odpowiada mama, śmiejąc się niezręcznie.

– I dziewczyna jest z Valarich.

– Tak, nazwisko obilo mi się o uszy. Ale jeśli ją kocha, jakie to ma znaczenie? Jest sławna. No i co z tego?

Reg odchrząkuje.

– To ta sama rodzina, u której przez chwilę pracowałam po przewodniczce do LA. Pamiętasz?

Mama nieco sztywnieje, ale bardziej z ciekawości niż niepokoju.

– Do czego zmierzasz?

Reg podciąga się na sofie i wyciera dłonie o uda.

– Zatrudniłam się u nich, bo polecono mi mieć ich na oku.

– Jak to? – Widać, że zdumienie mamy jest szczere. Naprawdę nic o tym nie wie.

Zerkam na Reg i moje przypuszczenia się potwierdzają. Pewnie zamierzała mi o tym powiedzieć, ale mama przyjechała w rekordowym czasie.

– Mieć ich na oku... dlaczego? – dopytuje.

– Bo są demonami.

Mama wiotczeje w moich objęciach.

– Czym?

Choć jest lekka jak piórko, jej zbolale spojrzenie łamie mi serce.

– Ja też nie miałem o tym pojęcia – wyznaję. – Kiedy się dowiedziałem, było już za późno.

– Za... późno? – Potyka się o słowa, jakby były poprzesławiane. Albo jakby nie chciała rozumieć.

– Po tym, jak poszedł z nią do łóżka. – Reg robi pauzę i dla jeszcze większego efektu dorzuca drugą. – I sprowadził tę zakurwistą burzę w zeszłą sobotę.

– Zaku... – Mama błyskawicznie zaciska palce na moich barkach, ale równie szybko się ode mnie odrywa. Z jej drżących ust wyrzywa się coś na kształt spanikowanego śmiechu. – Wiesz, jak to absurdalnie brzmi? Od początku do końca. Oboje to wiecie, prawda? – dodaje, widząc moją spokojną, choć ponurą minę, jakbym był bratem bliźniakiem Reg.

– Ja też z początku nie mogłem w to uwierzyć, mamo. – Staję pewniej, przeczuwając, że zaraz się na mnie osunie. – Aż w końcu pojawił się Zeus i pojąłem całą prawdę.

Mama blednie jak ściana.

– Nie. Nie. To niemożliwe. Po... prostu niemo...

Nagle kolana się pod nią uginają.

– Cholera!

Jestem na tyle blisko, by zamortyzować jej upadek. Niestety – albo stety – Regina wciąż milczy, gdy podnoszę mamę i sadzam ją z powrotem na fotelu.

– Już dobrze, mam. – Padam na kolana przy jej boku, a Reg w końcu bąka, że skoczy po szklankę wody.

– Maximus. – Mama wyciąga rękę, by opuszkami palców czule dotknąć mojego policzka. Moją ulgę przecina jej zboląły szloch. Ale leż próżno wypatrywać. – Czyli wiesz – mów wreszcie ochrypłym głosem.

Podnoszę się z kolan i odgarniam jej z czoła splątane kosmyki.

– Tak, wiem.

Wciąż jest blada i wygląda tak krucho. Uświadamiam sobie, jak wiele dla mnie zrobiła przez te wszystkie lata. Poświęciła mi całe swoje życie, rezygnując ze wszystkiego, co było jej drogą. Czy zatraciła przy tym tożsamość? Kim jest, tak naprawdę? Czy ma – czy mamy – rodzinę śmiertelników, która się zastanawia, gdzie jest i co robi? Jakie życie prowadziła, zanim ze wszystkiego dla mnie zrezygnowała?

Boli mnie, że nie mogę jej o to teraz zapytać. Nie mamy czasu. Pierwszeństwo mają inne pytania.

– Ile? – pyta ochrypłym głosem, łapiąc mnie rozpaczliwie za rękę. – Ile wiesz? Co ci powiedział, Maximusie?

Czuję pieczenie w piersi, jakbym miał zgagę.

– Trudno powiedzieć. – Wbijam w nią spojrzenie pełne wyrzutów sumienia. – Nie jestem pewien, ile wiem.

– Ale pojawił się u ciebie. O Boże. – Wolną ręką zasłania oczy. – Znalazł cię. Do diabła. Przecież byłam taka ostrożna!

Słyszac łkanie w jej głosie, przysuwam się jeszcze bliżej.

– To było nieuniknione. Powiedział, że mnie szukał. Od dawna. – Biorę wilgotną ściereczkę od Reginy i przykładam mamie do czoła. – Burza tylko trochę to przyspieszyła. – Wzruszam ramionami, siląc się na lekki uśmiech. – No, może bardziej niż trochę. Ale, mam, cieszę się, że tak się stało i wreszcie wszystko wiem. Podjęłaś trudne decyzje w imię mojego bezpieczeństwa. Obie je podjęłyście.

Wyszukuję wzrokiem Reginę, by wiedziała, że to ją mam na myśli. Moja przyjaciółka odpowiada pełnym szacunku skinieniem głowy, ale mama zrywa ściereczkę z czoła i siada prosto.

– Trudne decyzje – powtarza z jeszcze większym wzburzeniem. – To też powiedział ci Zeus? – Przenosi gorzkie spojrzenie na Reg. – Czy to twoja sprawka?

– Przyszedłem niecały kwadrans temu – wtrącam. – Reg zdążyła tylko zrobić herbatę. O co ci chodzi, mam?

– Moje decyzje wcale nie były trudne. Podjęte w akcie desperacji? Owszem. Przeróżające? I to jak.

Wściekłość i wstyd paraliżują mnie od pasa w górę, zamieniając w kamienny posąg.

– Z. powiedział, że mieszkaliśmy w ładnym miejscu. Że zapewnił nam wszelkie wygody i bezpieczeństwo.

– To prawda – odpowiada mama. – Zapewnił nam dużo więcej. Ale byliśmy otoczeni wysokim murem i nie mogliśmy się nigdzie ruszyć. – Uśmiecha się leciutko i znowu wyciąga do mnie rękę, by musnąć czule mój policzek. – Czy próbowałaś kiedyś powiedzieć ośmiolatkowi, że nie może gdzieś iść?

Czuję pieczenie oczu, ale zaciskam zęby i postanawiam nie zwracać na nie uwagi, podobnie jak na wiązaną przekleństw, która ciśnie mi się na usta.

– Tak – bąkam. – Zaczynam rozumieć.

– Pewnego dnia wreszcie udało ci się wszystkich przechytryć. Spędziłaś za murami tylko

kilka minut, ale parę służek Hery zdążyło cię zauważyć.

Zaciskam zęby jeszcze mocniej.

– Hera – powtarzam. – No jasne. Cholera.

– I już wiedziałam – szepcze mama, cofając rękę, bym zobaczył jej szklane oczy. – Wiedziałam, że życie, które dla mnie było w miarę znośną kwarantanną, dla ciebie skończy się śmiercią z jej ręki.

– Więc cię stamtąd czym prędzej wydostałyśmy – dodaje Regina, ubiegając mnie.

Wciążam powietrze, spoglądając poważnie to na jedną, to na drugą.

– I cholernie się cieszę, że to zrobiłyście.

Liczę, że moje szczerze słowa trochę uspokoją mamę, ale nic z tego.

– Ale jak Zeus się o wszystkim dowiedział? Skąd wiedział, gdzie cię szukać? Przecież zachowałyśmy wszelkie środki ostrożności. Tak starannie upozorowałyśmy...

– Naszą śmierć?

Reg parska śmiechem.

– Zawsze byłeś bystrym chłopcem.

Zamiast połknąć haczyk i zacząć się z nią przekomarzać, ściskam dłoń mamy.

– Dowiedział się wszystkiego razem ze mną. Wczoraj w Labiryncie, kiedy poznałem Po.

– Po? – Gdy dociera do niej prawda, błędnie jeszcze bardziej. – Posejdon? – Jej drżące palce są zimne jak lód. – Jego też poznałeś? – Kiwam głową. – Był tam ktoś jeszcze? – dopytuje pośpiesznie.

Ten plaster trzeba szybko zerwać. Z oczu mamy wreszcie tryskają łzy, jakbym rzeczywiście to zrobił.

– Król zaświatów, mamó – próbuję tłumaczyć. – Kara jest jego poddana. Przynajmniej częściowo. I jest wkurzony.

– Kurewsko – wtrąca Reg.

– Przestańcie mówić. Oboje. Proszę. – Mama mnie odpycha i znowu podrywa się z fotela, łapiąc się za skronie. – Muszę pomyśleć. Muszę pomyśleć.

Zaczyna krążyć wokół stolika jak elektron wokół jądra atomu popychany przez niewidzialną, potężną siłę.

Jej lęk jest niemal namacalny. Problem w tym, że ze mną nie jest lepiej. Przyszedłem tu i do niej zadzwoniłem, bo jestem równie rozbity. A pytań wciąż jest więcej niż odpowiedzi.

– Może wspólnie pomyślimy? – Żałosna próba uspokojenia nie tylko jej, ale i siebie. W dialog zawsze mógłbym wpleść jakieś pytania.

Ale na razie nie będzie mi to dane.

Mama przełączyła się na tryb gorączkowej analizy sytuacji. Widziałem go u niej zbyt wiele razy, by się mylić. Choć podkreca tempo spaceru, patrzy pod nogi, jakby szukała min przeciwpiechotnych.

– Niedobrze. Bardzo niedobrze. – Robi jeszcze parę okrążeń, po czym nagle przystaje i odwraca się do Reginy. – Masz jeszcze jakieś kontakty na Olimpie?

– A czy centaury oszukują w pokera? – pyta szyderczo Reg.

– Dobra. – Na zmęczonej twarzy mamy pojawia się cień ulgi. – Być może będziemy musieli je uruchomić. Teraz gdy do gry wkroczył Hades... Nigdy nie wiadomo, kogo lub co weźmie na celownik.

– Chyba jednak wiadomo. – Przerywam, a one obie wbijają we mnie zszokowany wzrok. – A przynajmniej wiem, co wczoraj wessał sobie pod czaszkę.

To wyznanie przyszło mi dużo łatwiej, niż się tego spodziewałem – może dlatego, że chwilowo zablokowałem swoje wczorajsze odczucia, które teraz wracają ze zdwojoną siłą. Szok

i osłupienie. Odraza i kapitulacja. Niemoc i furia.

Mama pierwsza wyczuwa targające mną emocje. Widać to jak na dłoni, gdy tylko siada i chwyta mnie za rękę. Jej oczy ciemnieją, a nozdrza drgają, zdradzając silne wzburzenie.

– Powtórz, co powiedział – nakazuje drżącymi ustami.

Wypuszczam całe powietrze z płuc, w których kotłuje się jak w piecu.

– Raczej zrobił, niż powiedział.

Po jej policzkach spływają dwie łzy, które pośpiesznie ściera.

– Opowiedz wszystko swoimi słowami – mówi chrapliwie. – Rozgryziemy to razem. –

Wyciąga rękę i pociera mój policzek. Czuję znajomą woń jej wiśniowo-migdałowego balsamu do rąk pomieszana ze słonym zapachem łez. – Wiem, że nie masz żadnego powodu, by mi wierzyć...

Ciągnę ją za rękę, by zamknąć ją w dłoniach.

– Wierzę ci, mamó. Naprawdę. – Przełykam z bólem. – I zaczynam rozumieć. Bardziej, niż myślisz.

Wygląda, jakby znowu miała się rozplakać. Zamiast tego z jej gardła wyrывa się rwący szloch.

– Wierzysz mi?

– Zakochałaś się. Nie planowałaś tego. A już na pewno nie mogłaś przewidzieć komplikacji, jakie się z tym wiązały. Zresztą nawet gdybyś o nich wiedziała, toby cię to nie powstrzymało. – Wybucham szorstkim śmiechem. – Kurczę, mamó, skąd ja to znam? – dodaję, uśmiechając się gorzko.

Tym razem nie powstrzymuje łez, ale robi mi się ciepło na sercu, bo widzę jej uśmiech.

– Tak bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też.

– Nie chcę przerywać tej wzruszającej sceny – burczy Regina – ale teraz jest ważniejsze, żebyś opowiedział nam wszystko o wczorajszym trójstronnym spotkaniu na szczycie. – Pochyliła się i opiera łokcie na kolanach. – Postaraj się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów, Max. To ważne, rozumiesz?

– Tak. – Kiwam szybko głową. Powiedzenie „Znaj swojego wroga” jeszcze nigdy nie wydawało się tak celne. Ale też jeszcze nigdy wróg nie przybrał tak wyraźnej postaci.

– To dobrze – mówi Reg. – A jeszcze lepiej by było, gdybyś trzymał się z daleka od Kary.

Wbijając mi ten sztylet w serce, przynajmniej jest na tyle miła, by się odwrócić i spojrzeć mi w oczy. Naturalnie nic tym nie wskóra.

– Nie ma mowy. – Zaciskam szczęki tak mocno, że aż boli.

– Spokojnie. Przecież nie na zawsze. Tylko dopóki nie rozwiążemy...

– Nic. Z. Tego. – Przy pierwszym słowie wyjmuję sobie jej metaforyczny sztylet z serca.

Przy drugim rzucam ostrzem w nią. A przy trzecim je dociskam. – Ani teraz, ani nigdy. Jeśli Hades będzie chciał się znowu spotkać, będzie musiał wyjść ze swojej nory. Spotkamy się na moim terenie, w świetle dnia, a nie pod osłoną nocy. – Znowu parskam gorzkim śmiechem. – Nie do wiary, ale Veronica tym razem chyba wie, co robi. Nie zbliżał się zanadto do Kary, widząc nas na świeczniku, więc na razie z niego nie zejdziemy.

Reg przeklina pod nosem.

– Ale znasz jego definicję dobrej zabawy?

– Nawet z doświadczenia, Reg.

– W takim razie lepiej zacznę rekrutować ochronę.

Potrząsam głową.

– Chwila moment, jaką znowu ochronę? Mówisz poważnie?

– Jak podczas przysięgi krwi składanej na najwyższym stopniu pałacu Olimpu.

Wstaje i ściąga łopatki, jakby jej następne słowa miały zamknąć dyskusję – a przynajmniej jakby nie można było z nimi polemizować.

– Poświęciłam pół życia, by zapewnić ci bezpieczeństwo. Jeśli myślisz, że teraz przestanę cię chronić, to jesteś głupcem, Maximusie Kanie.

Z grzeczności kiwam głową, ale wciąż nie wiem, czy to najgorsza, czy też może najlepsza wiadomość dnia. Czas pokaże, a na razie muszę się uzbroić w cierpliwość – która już jest na wykończeniu – i dorzucić kolejne pytanie do rosnącej góry znaków zapytania. Mam tylko nadzieję, że uda mi się jakoś przebrnąć przez dzisiejsze przyjęcie Złotego Kręgu. Jedno jest pewne: z Karą u boku będzie mi zdecydowanie łatwiej.

Z Karą u boku wszystko jest łatwiejsze. Jaśniejsze. Lepsze.

Zawsze, zawsze lepsze.

Rozdział 18

Kara

Kolejne wyjście, kolejna sukienka. Kolejna rezydencja pełna kelnerów z tacami moëta w długich, subtelnym kieliszkach. Jest sobotni wieczór – a przynajmniej tak mi się wydaje – a ja mam na sobie zwiewną brzoskwińową suknię z szyfonu z oślepiająco błyszczącymi akcentami i wysadzone strasami szpilki. Ta warta miliony dolarów rezydencja jest imponująca nawet jak na standardy mojej matki. Nietrudno sobie wyobrazić elitę Hollywood przechadzającą się po nowoczesnych, przestronnych wnętrzach i olbrzymim tarasie przy basenie.

Tyle że chmara gości, która obsiadła dziś kremowo-szare meble, to nie celebryci ani aspirujące VIP-y. Poza moją matką i paroma innymi hojnymi sponsorami na przyjęciu goszczą najznamienitsi wykładowcy University of Alameda. Niektórych znam, na przykład panią rektor McCarthy i profesora Northa, najlepszego przyjaciela Maximusa, pogrążonych w ożywionej dyskusji na drugim końcu sali.

Ale nowych twarzy widzę więcej i choć obracamy się w kręgach elity w najbardziej prestiżowej części Los Angeles, to Maximus czuje się tu jak ryba w wodzie.

A ja uwielbiam go za to jeszcze bardziej.

Tego wieczora przedstawił mnie swoim kolegom z Wydziału Anglistyki i ich osobom towarzyszącym, zaskakująco zgrabnie włączając ich w rozmowę. Może i jest bogiem przechadzającym się wśród ludzi, ale tu, w całej tej otoczkce, jest charyzmatycznym profesorem Kane'em, życzliwym i pewnym siebie, czarującym i uważnym, umiejącym sypanąć żartem czy komplementem i wywołać uśmiech u rozmówców. Mnie samą od ciągłego uśmiechania się już boli twarz.

Myślałam, że nie może mnie bardziej pociągać, ale to jego nowe oblicze pokazało mi, jak bardzo się myliłam. Gdy żegna się z nami przedstawiciel Laboratorium Napędów Odrzutowych, Maximus przyłapuje mnie na tym, jak się w niego wpatruję.

Uśmiecha się szelmowsko i odpowiada takim samym gorącym spojrzeniem. Moje najpewniej nabrało intensywności w miarę podziwiania jego sylwetki w ciemnokobaltowym smokingu.

– O co chodzi? Czemu tak na mnie patrzysz?

– A muszę mieć konkretny powód?

– Takiego pożerania mnie wzrokiem? Zdecydowanie tak.

– To przyjęcie jest inne, niż się spodziewałam – przyznaję w końcu.

Jego twarz rozpromienia się w uśmiechu, na widok którego serce zaczyna mi bić szybciej.

– Dlaczego? Bo wszyscy się na nas gapią, jakbyśmy byli główną atrakcją wieczoru?

Śmieję się cicho.

– Nie, akurat do tego jestem przyzwyczajona.

Na uczelni prawie nie zauważam już spojrzeń studentów i wykładowców. A na tym przyjęciu pojawiliśmy się właśnie po to, by nas oglądano. I co ważniejsze, by władze uniwersyteckie, które mogą bardzo uprzykrzyć Maximusowi życie, zaakceptowały nasz kontrowersyjny związek. Może to dlatego był dziś taki towarzyski. W końcu praca na uczelni to jego źródło utrzymania, a przede wszystkim spełnienie marzeń. Które niemalże zniszczyłam, tak

szybko i mocno się w nim zakochując.

– Po prostu jeszcze cię nie widziałam w tym wydaniu. – Unoszę ramię. – Wiesz... takiego kontaktowego i towarzyskiego.

Nachyla się, by pocałować mnie lekko w policzek.

– Myślałaś, że masz w Los Angeles monopol na bajeczne przyjęcia? Uważasz, że ja nie mogę mieć własnego?

Chichoczę, gdy wędruje ustami niżej, ale czując na szyi łaskotanie jego oddechu i brody, wolałabym wdychać. A potem jęczeć. I błagać go, żeby nie przerywał...

– Nigdy więcej w pana nie zwątpię, profesorze – oznajmiam, odsuwając od siebie pokusę. – A tak na marginesie, teraz, wiedząc, jaki potrafi pan być czarujący, chyba nie zrezygnuję tak szybko ze wspólnych wypadów na czerwony dywan.

Śmieje się chrapliwie.

– Boże dopomóż.

Czuję na skórze jego oddech, gdy to mówi, ale zmuszam się, by żartobliwie zbesztać go wzrokiem.

– Jeśli moja matka zwróci uwagę, jakim łakomym kąskiem możesz być dla fotoreporterów, może być ci potrzebna każda pomoc.

– O wilku mowa. – Markotnieje, zauważając jej postać na drugim końcu sali.

I nie przysła sama. Jest z nią Arden, który z uśmiechem spija każde słowo z jej ust.

Bijące od Maximusa napięcie musi być spowodowane jego obecnością.

Przenoszę spojrzenie na Kell, która stoi kilka kroków od swojego oblubieńca. Jest do niego odwrócona bokiem, a wzrok ma przyklejony do telefonu. Ten dystans i ewidentny chłód między nimi powinien mnie cieszyć, ale jest w nim coś niepokojącego. Nawet z daleka widać, że ledwie się tolerują.

Wszystko to niemile pobudza moją ciekawość. Zaczynam się zastanawiać... Czy Arden w ogóle miał wybór, gdy się okazało, że nasz związek jest przekreślony? A jeśli tak, to czemu ciągnie tę komedię z moją młodszą siostrą? A może torturowanie jej podczas wspólnych wyjść to jedna z jego chorych gier?

Maximus rzuca im kolejne zimne spojrzenie. Zaciskam dłoń na jego ramieniu.

– Jest okej – mówię z nadzieją, że to go uspokoi.

– Przebywanie w jednym pomieszczeniu z tym facetem nigdy nie będzie okej, Karo.

Unoszę rękę, by rozmasować napięty mięsień w jego zaciśniętej szczęce.

– Spokojnie, nie przyszedł tu, by zepsuć nam wieczór. Jego firma sponsoruje niemałą aukcję w bibliotece. Cały dochód zasili konto Towarzystwa Serafińskiego propagującego czytelnictwo i sztuki piękne w szkołach podstawowych.

– Nie zyskuje tym ani trochę w moich oczach.

W moich też nie, ale nie mówię tego na głos. Muszę uspokoić Maximusa, a nie jeszcze bardziej go nakręcić podczas przyjęcia, na którym mamy zrobić dobre wrażenie na władzach uczelni.

Zsuwam dłoń po rękawie jego smokingu i biorę go za rękę.

– A może pójdziemy zobaczyć, co licytują? Podobno jednym z eksponatów jest pierwsze wydanie *Zabić drozda*.

Wreszcie odrywa lodowaty wzrok od Ardena. Mruga, jakby potrzebował chwili na przetrwanie moich słów.

– Naprawdę?

Wyginam usta w uśmiechu.

– Udało mi się wzbudzić twoje zainteresowanie?

– Przynajmniej zwróciłaś moją uwagę na coś innego. – Gdy wzdycha, bije od niego cały wachlarz niemych emocji, których słowa nie są w stanie wyrazić. – I jestem jeszcze na tyle opanowany, by wiedzieć, że to dobry pomysł.

Oraz konieczność. Dzięki Bogu udało mi się przemówić mu do rozsądku. Nie zamierzam pozwolić Ardenowi zepsuć nam choćby minuty dzisiejszego wieczoru.

– Chodźmy. – Ciągnę Maximusa w stronę osobistej biblioteki pani rektor. Gdy wchodzimy, garstka gości ogląda przedmioty wystawione na aukcji.

Maximus wskazuje brodą jedyną książkę.

– To pewnie ten egzemplarz.

Delikatnie go podnosi, przygląda się szczegółom oprawy i czule wędruje palcami po brązowej okładzinie oraz grzbiecie z zielonej tkaniny.

– Spędziłem dużo czasu z tą powieścią.

– Naprawdę?

Kiwa głową.

– Jedna z pierwszych książek, które kupiłem.

Uśmiecham się.

– Pamiętaj, że to grzech zabić drozda.

– Grzechem jest również nie kupić tego egzemplarza – odpowiada cicho, acz zdecydowanie. – Jaka jest cena wywoławcza?

Nachylam się nad stołem.

– Dwa tysiące dolarów.

Maximus wypuszcza powietrze i delikatnie odstawia książkę na stojak.

– Cholera, trochę za dużo jak na moją kieszeń.

Ściągam lekko brwi, bo w mojej głowie już rodzi się plan, by się wymknąć, kiedy będzie zajęty, wrócić tu i złożyć ofertę nie do przebicia. Nie waham się ani chwili, czy wcielić go w życie. Dla Maximusa zaprzedałabym duszę diabłu. Tu na szczęście wystarczy tylko książeczka czekowa.

– I jest w znakomitym stanie. Mam podobny egzemplarz, choć nie tak piękny.

Oboje odwracamy się na dźwięk kobiecego głosu. Nowo przybyła ma na sobie prostą czarną sukienkę. Nie rozpoznaję jej, ale jej szeroki uśmiech jest na tyle zaraźliwy, że oboje z Maximusem go odwzajemniamy.

– Jest pani kolekcjonerką? – pyta Maximus.

Kobieta kręci głową, wprawiając w ruch kasztanowe loczki upięte misterną mosiężną klamerką.

– Kolekcjonerką amatorką. Przy profesorskiej pensji na więcej mnie nie stać. – Śmieje się ze skrzepowaniem. Ma odrobinę szklany wzrok, czemu być może jest winien szampan – trzyma kieliszek w dłoni. Wolną rękę podaje Maximusowi. – Pan to na pewno Maximus Kane. Idealnie pasuje pan do opisu.

Maximus ściska jej dłoń.

– To ja. A pani...?

– Erin. Erin Levin. Przejęłam kursy z prawa kontraktowego i karnego dla studentów pierwszego roku po profesor Vaid, która poszła wcześniej na urlop macierzyński. Decyzja trochę w ostatniej chwili, ale pani rektor była tak miła, że zaprosiła mnie na dzisiejsze przyjęcie, żebym poznała parę osób. Imponująca rezydencja, prawda?

– Piękna – przytakuję, podając jej rękę. – Tak przy okazji, jestem Kara.

Oczy jej się zaświecają, ukazując błękitnozieloną głębię.

– Miło mi cię poznać. Wyglądasz znajomo. Ty też wykładasz na Alameda University?

Próbuję ukryć zdumienie, ale ponoszę sromotną klęskę. Nie przeszkadza mi, że nie rozpoznaje mnie z kolorowej prasy – jestem po prostu mile zaskoczona, że wzięła mnie za wykładowczynię.

– Jeszcze nie – wtrąca Maximus. – Ale może kiedyś. Kara robi dyplom ze starożytności. To jedna z moich najlepszych studentek. Maluje się przed nią świetlana przeszłość.

Mówi to z taką pewnością, że robi mi się ciepło na duszy. Chyba z wdzięczności za to, że powiedział głośno to, czego ja nigdy się nie ośmieliłam. I z dumy, że zasłużyłam na taką pochwałę – zwłaszcza z ust mężczyzny, któremu oddałam serce. To chyba nigdy mi się nie znudzi.

Wbijam na chwilę wzrok w podłogę, próbując się opanować.

– Profesor Kane ma o mnie zbyt wysokie mniemanie.

Maximus bierze mnie delikatnie za rękę. Ten nagły pokaz czułości wprawia mnie w mały szok, choć nie mam pojęcia dlaczego. Przecież trzymamy się za ręce przez cały wieczór. To zupełnie niewystudiowane, ale mamy tu też swoje role do odegrania. Dziś jest to ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

– Widzę, że znalazłaś Maximusa! – Do środka wjeżdża Jesse i nagle cała biblioteka wypełnia się jego energią.

Erin znowu się śmieje.

– Miałaś rację, trudno go nie zauważyć.

– To prawda. Tak myślałem, że cię tu znajdę, miłośniku staroci.

– A ja byłem pewien, że zawierasz nowe znajomości – odparowuje z lekką drwiną Maximus.

Łobuzerski uśmiech Jessego i jego ukradkowe spojrzenie na Erin tylko potwierdzają to, co widziałam w jego wydaniu przez większość wieczoru. Profesor North jest mianowicie flirciarzem jakich mało. Rumieniec nowej wykładowczynie jest tego kolejnym dowodem, choć Erin szybko się opanowuje i przenosi uwagę z powrotem na Maximusa.

– Profesor North mówił mi, że jesteś wielkim miłośnikiem Dantego. – Na jej ustach gości nieśmiały uśmiech, ale jej oczy błyszczą fascynacją jak u nastoletnich fanek mojego brata. Szczerze mówiąc, wydaje się dziwnie odporna na awanse Jessego.

– Można tak powiedzieć – przytakuje Maximus, automatycznie splatając ze sobą nasze dłonie.

– Zanim poszłam na prawo, też zrobiłam dyplom z anglistyki. Zawsze miałam słabość do Dantego.

– Powinnaś się zapisać na konwersatorium Maximusa. Kara je uwielbia – wtrąca Jesse z mrugnięciem. – Jego grupy szybko się zapełniają, ale na pewno zaklepie ci miejsce.

– Wow – ekscytuje się Erin z jeszcze mocniejszym rumieńcem. – Byłoby super, ale nie chcę się narzucać.

Jesse prychnął, machając lekceważąco ręką.

– Narzucać się? Maximus, powiedz jej, że wcale się nie narzuca.

Na te żartobliwe słowa Maximus odpowiada szerokim uśmiechem.

– Ależ nie. Jeśli już znasz materiał, błyskawicznie nas dogonisz.

– Właśnie weszliśmy do szóstego kręgu – dodaję, ale jej zaabsorbowanie Maximusem zaczyna mnie drażnić. W stosunku do mojego mężczyzny i jego uwagi jestem wyjątkowo zaborcza. To samo tyczy się jego wykładów. Co prawda dzielę je z całą salą studentów, ale oni nigdy nie będą go znali tak, jak ja.

Pocieszam się, że moją cierpliwość po prostu wystawia dziś na próbę tłum gości i nieprzerwany przepływ energii. Nieśmiała, bezpretensjonalna Erin nie różni się niczym od

przebojowych dziewczyn zabijających się o miejsce na kursach Maximusa z niekoniecznie akademickich powodów. Nawet najpilniejsza studentka nie pozostanie obojętna na jego wdzięki. Ja nie pozostałam...

– Szósty krąg? – Za plecami Jessego pojawia się Arden, który niepostrzeżenie wślizgnął się do biblioteki jak podstępna żmija, którą zresztą jest. – Mój ulubiony – szepcze złowieszczo. Bezwstydnie rozbiera mnie wzrokiem, ani na sekundę go ode mnie nie odrywając, gdy podchodzi do naszej grupki.

– Arden. – Zmuszam się do uśmiechu, bo choć jest gadem, dziś musimy odgrywać przedstawienie przed obcymi. Każde z nas ma w nim swoją rolę.

– Karo, wyglądasz pięknie jak zawsze. – Nachyla się, by musnąć ustami mój policzek. Wykorzystując okazję, unosi rękę i dotyka mojego koleczka, pamiątki rodzinnej przekazywanej z pokolenia na pokolenie. – Bardzo ci w nich... do twarzy.

– Cerber, zgadza się? – wtrąca Jesse.

To błahe pytanie otrzeźwia Ardena, który wreszcie odrywa ode mnie wzrok i przenosi znudzone spojrzenie na resztę naszej grupki, jakby dopiero teraz zauważył, że nie jesteśmy sami.

– Tak, Cerber. Dobrze go znam – odpowiada chłodno. – W przeciwieństwie do Kary. – Wwierca we mnie swoje złowieszcze onyksowe oczy. – Póki co.

Czuję, jak czerwienię się ze złości zaprawionej nutą niepokoju. Strach zaczyna toczyć walkę z moim ognistym temperamentem.

– To nie czas na snucie opowieści, Arden – mówię cicho, choć dobrze wiem, że nasi rozmówcy słyszą wszystko oprócz podtekstu.

Odchyła protekcyjnie głowę, a ja modlę się w duchu, żeby zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Z każdej opowieści, czy to fikcyjnej, czy prawdziwej, można wyciągnąć naukę, nie sądzisz?

– Arden – rzucam przez zaciśnięte zęby.

To ostrzeżenie, ale już wiem, że nie da się go odstraszyć. Arden nie dba o to, że mamy widownię nieświadomą tego, kim – czym – naprawdę jesteśmy. Nie dba o obecność Maximusa, który zaborczo mnie do siebie przyciska, piorunując go wzrokiem. Wygląda na to, że ten demon przy każdej okazji musi podsycać gniew mojego półboga, przypominając mi, że stąpamy po bardzo kruchym lodzie.

– Po co tu w ogóle przyszedłeś? – nie wytrzymuję i pytam, gotując się ze złości.

W jego błyszczących oczach odbija się moje spojrzenie płonące wściekłością niczym pożar miasta. Demon uśmiecha się szerzej, jakby mój gniew sprawiał mu jeszcze większą przyjemność.

– Zajrzałem tylko, żeby sprawdzić, jak idzie aukcja. Może coś wpadło ci w oko? Na pewno znalazłby się tu jakiś interesujący eksponat do waszej rodzinnej kolekcji. No i cały zysk idzie na szczytny cel.

Maximus ściska moją dłoń.

– Karo, idziemy.

Jestem już jednak w ferworze walki na spojrzenia i nie dam się tak łatwo odciągnąć. Ogień w moich oczach zdaje się przybierać na sile wraz ze złośliwą satysfakcją Ardena. Chyba jeszcze nigdy nie pałam do nikogo taką nienawiścią.

– A wiesz, że coś rzeczywiście mi się spodobało.

Puszczam rękę Maximusa i odwracam się do stołu aukcyjnego. Zamaszystym ruchem dopisuję swoje nazwisko do listy oferentów, a przy nim kwotę gwarantującą nam, że wyjdziemy stąd z upragnioną książką Maximusa. Powie, że przeplaciłam, i nie będzie chciał przyjąć

prezentu, ale jestem tak wściekła na Ardena, że mało mnie to obchodzi. A poza tym może ten drogocenny egzemplarz uratuje nam resztę wieczoru.

Bo bijący od mojego ukochanego gniew może go doszczętnie zepsuć.

Choć mam tego świadomość, jestem zupełnie zaskoczona podkręconą piłką, którą rzuca mi Jesse, zbierając szczękę z podłogi, gdy odwracam się z gracją na pięcie i wychodzimy z Maximusem z biblioteki, byle jak najdalej od Ardena.

Maximus błyskawicznie się opanowuje, ale widać, że stracił cały humor.

– Cholera – mruczy pod nosem. – Nie żartowałeś.

Rozdział 19

Maximus

– Idziemy. – Swój nakaz przypieczętuję mocniejszym ściśnięciem dłoni Kary, po czym wskazuję brodą Jessego. – Ty też, North.

Razem kierujemy się w stronę ciemnego korytarza prowadzącego do głównej sali. Za pierwszymi drzwiami, które otwieram, znajduje się minikino. Na szczęście ekran jest zaciemniony, a kilkanaście foteli tonie w mroku.

No, może niekoniecznie na szczęście.

Na widok pierwszej reakcji Jessego Kara zwiesiła głowę, by ukryć płonące tęcza. Ogień w jej oczach zdążył już przygasnąć, ale wciąż jest wyraźnie widoczny. Mojemu oczarowanemu przyjacielowi oczywiście nic nie umknęło.

– O cholera – szepcze. Podnosi przednie koła wózka i ustawia się przed Karą. – To... po prostu...

– Wiem. – Przez jej twarz przebiega grymas i pośpiesznie zasłania twarz włosami. – Upiorny widok. Dajcie mi chwilę, żeby ochłonęła, i...

– Upiorny? – Jesse głośno chrząka. – Przysięgam na wszystkie świętości, że to bardziej odjazdowe od wyładowań atmosferycznych nad Catatumbo i zorzy polarnej razem wziętych.

Zza zasłony włosów słychać śmiech Kary, który jednak szybko milknie. Moja ukochana zwiesza ramiona i podnosi na mnie zmartwiony wzrok. Pod ostrzałem jego tysiąca znaczeń robi mi się ciężko na sercu. Przelykam z trudem, zmuszam się do zaczerpnięcia powietrza i wypycham słowa z ust.

– Nic się nie stało – próbuję ją uspokoić, choć już zastanawiam się gorączkowo, jak wytłumaczyć to Jessemu. Nie tylko ogień w oczach Kary, o którym mu wspominałem... Wszystko. Całą prawdę tworzącą kontekst tej osobliwości. Ale wiem też, że Jesse nie jest gotowy na tak niewiarygodne rewelacje, a już na pewno Kara nie jest gotowa, bym się nimi podzielił.

– Cholera – szepcze, kończąc drżącym westchnieniem.

– To nic wielkiego, Karo – mówi cicho Jesse. – Choć właściwie... trochę tak.

Ignoruję go, skupiając całą uwagę na kobiecie, która nadal zgarbiona trzyma się oparcia pluszowej sofy. Podchodzę do niej, ale ani drgnie. Woli chować się za włosami niż za mną. Choć rozumiem i ją, i poczucie niezależności, z której wynika jej upór, ledwie jestem w stanie przełknąć frustrację.

– Hej – odzywam się, głaszcząc ją czule po plecach.

W odpowiedzi słyszę westchnienie cięższe od chmury burzowej. Płomienie w jej oczach zdążyły się już zamienić w gorące, rozżarzone węgielki.

– Tak mi przykro – odpowiada ochryplym głosem.

– Naprawdę nic wielkiego się nie stało. – Ośmielam się nachylić i odgarnąć jej parę kosmyków z twarzy. – To tylko Jesse, tak?

Splata dłonie, wykręcając palce ze zdenerwowania.

– Dobrze, ale skoro Jesse widział, to ktoś jeszcze mógł je zauważyć.

Przy imieniu mojego przyjaciela znowu łamie się jej głos. Zanim kończy zdanie, jest już w moich ramionach i przytulał ją do piersi. Jest mi tak dobrze, że prawie dziękuję losowi za tę

wpadkę. Gdyby tylko nie miała racji...

Ściska oburącz klapy mojej marynarki.

– A profesor Levin...

– Była zajęta oglądaniem eksponatów. – Muskam ustami jej włosy, by ją uspokoić. – Gdy wychodziliśmy, nawet nie mrugnęła okiem.

– Potwierdzam – wtrąca Jesse. – Nawet się uśmiechała. Co tam uśmiechała, niemal promieniała.

– Więc nawet jeśli coś zauważyła, pewnie pomyślała, że to jakaś sztuczka oświetlenia w bibliotece – dodaje.

– I to diabelnie dobra – dodaje Jesse.

Przez ułamek sekundy czuję między nami przepływ silnej energii. Jesse nie ma pojęcia, że trafił z tym diabłem w samo sedno – i nigdy się nie dowie. Choć bardzo chciałbym powiedzieć prawdę mojemu ulubionemu pasjonatowi nauki, nie mam prawa wciągać go w tę niebezpieczną historię. To nie jego walka.

– Nie dajcie się prosić. – Jesse kręci z zafascynowaniem głową. – Uchylcie rąbka tajemnicy. Skąd to się bierze? Nie musi to być zaraz cała rozprawa doktorska, wystarczy ogólny zarys... Proszę.

Niestety jego ciekawość nie zostanie dziś zaspokojona. Choć sam nadal nie wiem, co tak naprawdę wywołuje ogień w oczach Kary, jestem więcej niż pewien, że dzisiejszego wieczoru oliwy dołała doń jej rodzina. Wolałbym nie mieć racji, ale się nie mylę.

– Ciiii – szepczę, głaszcząc ją po głowie. – Wszystko będzie dobrze, moja piękna.

– Nie będzie, jeśli nad tym nie zapanuję.

– Jesteś wyczerpana i przytłoczona nadmiarem wrażeń.

– No cóż, przecież się tu nie położę na krótką drzemkę. – Nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, zadiera głowę. – Maximusie, chyba nie... – protestuje.

– Owszem. Na sofę.

– Maximusie...

– To nie była prośba, Karo – nakazuję z tą samą kurtuazją, która zadziałała na nią wcześniej. Na szczęście tym razem jest podobnie. Z oczarowanym uśmiechem pozwala się wyciągnąć zza sofę. – Piętnaście minut. Tylko o tyle proszę. Zamknij oczy i wycisz umysł. Na dziewięćset krótkich sekund.

Daruję sobie powtarzanie, że naprawdę tego potrzebuje. Nie będę obrażał jej inteligencji. Widzi przecież odbicie swoich oczu w moich. Pomijam również zapewnienie, że jeśli zaśnie na piętnaście godzin, będę jej pilnował jak doberman, bo to się rozumie samo przez się.

Otwiera usta, żeby znowu zaprotestować, ale natychmiast zamyka je z westchnieniem rezygnacji. Jej kapitulacja ma zapewne większy związek z widokiem olbrzymich poduch niż z moimi naleganiami, ale nie dbam o to. Cieszę się tylko, że mogę służyć jej pomocą, przyklękając i uwalniając jej stopy z błyszczących szpilek, gdy układa się na miękkiej sofie.

– Zostaniesz ze mną, prawda?

– Jak cikliwa kołysanka, kochanie. – Z oparcia jednego z mniejszych foteli ściągam pluszowy koc i ją nim okrywam. Natychmiast przekręca się na bok i wsuwa dłonie pod policzek.

– Dziesięć minut... chyba... nas... nie zbawi...

Jej słowa przechodzą w senny szept. Biorę głęboki oddech, pozwalając, by po raz pierwszy od naszych skradzionych pocałunków po wczorajszych popołudniowych zajęciach ogarnęła mnie fala spokoju. Przez co najmniej dziesięć minut mój drogocenny mały demon jest bezpieczny. To jak prezent gwiazdowy parę miesięcy przed czasem.

– Naprawdę zasnęła?

Pytanie Jessego ściąga nań mój wzrok. Przemieścił się obok jednego z tych małych luksusowych foteli. Podchodzę do niego i siadam ciężko na poduszce w kształcie litery U.

– Tak sędzę.

– Cóż mogę rzec... Jestem pod wrażeniem.

Nie odrywa oszołomionego spojrzenia od Kary, ale kręcę tylko głową.

– A ja jestem głupi, że w nocy nie dałem jej spać.

Mój kumpel gwałtownie przenosi na mnie wzrok, mrużąc oczy.

– A to źle?...

– Film mi się urwał. – Mam na tyle przyzwoitości, by się skrzywić. – I chyba przez to chrapałem.

Na te słowa Jesse aż się krztusi.

– Film ci się urwał? Zalałeś się w trupa? Narąbałeś się?

– Jak zwał, tak zwał. – Znowu się krzywię.

– A ja myślałem, że dziewczyna z płonącymi oczami będzie moim najbardziej szalonym wspomnieniem wieczoru.

Ściągam gumkę z włosów. Skoro mam jeszcze dziesięć minut przerwy, chcę, żeby było mi jak najwygodniej.

– Z góry dziękuję za zachowanie wszystkiego dla siebie, stary.

– Jasne. – Już widzę, jak się uśmiecha, ale udaje mu się powstrzymać od złośliwych uwag. – Zakochałeś się w niej na zabój, co? – stwierdza, jakby to był fakt naukowy.

Podnoszę głowę i zaciskam szczęki.

– Co to w ogóle znaczy „na zabój”?

Ma mnie i dobrze o tym wie. Obaj wiemy.

Przeklinam pod nosem i zaczesuję włosy do tyłu. Jesse rozplata dłoń.

– To... skomplikowane – przyznaję po chwili milczenia, która rozciąga się w nieskończoność.

Jesse odrzuca głowę z jękiem.

– Nie powiedziałaś tego.

– Powiedziałem. I wierz mi, nie chcesz wiedzieć, jak bardzo.

– Daj mi szansę.

– Daj mi spokój.

– To proste pytanie, Kane – odparowuje. – Kochasz ją czy nie?

– To sprawa osobista – mruczę pod nosem.

– Nie proszę o intymne szczegóły, choć wiesz, że zawsze z chęcią ich wysłucham. Ale teraz zadaję ci jedno proste pytanie. Co tak naprawdę do niej czujesz?

Dla niepoznaki teraz to ja splatam dłoń.

– Owszem, to proste pytanie – przyznaję. – Ale odpowiedź już nie.

Po południu nie miałem problemu, by przyznać się do wszystkiego przed mamą, która prawie zemdlała, i przed Reg, która postanowiła wezwać olimpijski odpowiednik Gwardii Narodowej.

Nie żeby Jesse posunął się do jednego bądź drugiego. Ale zna moje całe miłosne *dossier*. Teraz już wie, że Kara jest zupełnie inna, i to pod każdym względem. Gdybym go we wszystko wtajemniczył, uparłby się, żeby mi pomóc. Mój najlepszy przyjaciel nie tylko stanąłby u mego boku, by stawić czoło mojej boskiej rodzinie, ale i poszedłby za mną do piekła. Bo to Jesse. Przyjaciel, na którym zawsze mogę polegać.

I jeden z najgenialniejszych umysłów, jakie znam. Na pewno już się domyślił, że chronię jego nieustraszonego tyłek. Co nie znaczy, że go to cieszy. Na pewno nie. I daje temu wyraz

mruknięciem rezygnacji.

– Czyli odtąd tak właśnie będzie? Żegnaj, prosty Maxie, witaj, sławny, „skomplikowany” Maximusie?

– Jesse. – To nawet nie przypomina przeprosin, na które zasługuje, ale moje skołatane nerwy z minuty na minutę są coraz słabsze. Stres i niepokój to obecnie moje jedyne wartości stałe.

– W porządku. – Z kieszeni modnej marynarki wyciąga długą superprzylepną gumkę, która jest jego wersją piłeczki antystresowej.

– Nie w porządku – odparowuję. – Ale na razie nie mogę ci nic powiedzieć.

– Rozumiem. – Strzela gumką w oparcie trzeciego fotela. – Wizerunek. Marka. W końcu bywasz na czerwonym dywanie.

– To nie ma z tym nic wspólnego, do cholery.

– Powiedział facet, który bryluje na salonach rektor McCarthy w ślicznym garniturze na miarę.

– A żebyś wiedział. Bo ten facet wie, że czasami łatwiej jest się schować na widoku niż w cieniu.

– Schować! – Jesse jest tak zaskoczony, że jego okrzyk zdziwienia brzmi prawie jak pytanie. – A niby przed czym? – Niepokojąco szybko zauważa, że zeszytniałem. – Albo raczej przed kim?

Świszczę przez nos.

– Poznałem ojca.

Chyba po raz pierwszy odkąd się znamy, mojemu przyjacielowi zupełnie odbiera mowę. Co bynajmniej nie przeszkadza mu próbować wykrztusić z siebie słowa. Gdy wreszcie mu się to udaje, przypominają bardziej rehot jakiegoś nieboskiego stworzenia.

– Nie żartujesz.

– Nie żartuję. – Nie zamierzałem się z nim dzielić tymi rewelacjami, ale jest w takim szoku, że nie będzie dopytywał o nic więcej. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Ty to dopiero umiesz wrzucić człowieka do wirówki, stary. – Kręci powoli głową, jakby to właśnie się stało. – Musiałeś nieźle odlecieć.

– Tylko trochę – przytakuję ze śmiertelną powagą.

– To... kiedy? Gdzie? Czy Kara miała z tym coś wspólnego?

– Tak i nie. – Celowo unikam odpowiedzi na dwa pierwsze pytania. Dostał już swoją atomówkę. Szczegóły byłyby jak zaprowadzenie go za rączkę do reaktora jądrowego. – Okazało się, że nasze rodziny się znają. Przez wspólnych przyjaciół, że tak powiem. – To lekka przesada, ale jak tylko mogę, staram się używać zrozumiałego języka.

– Ale numer. Kara się z nim dogaduje? A ty? Jaki jest? I gdzie, do diabła, się podziewał przez te wszystkie lata?

Krzywię się.

– I tak oto wracamy do kwestii komplikacji.

– Naturalnie – komentuje z przekąsem.

– Wybacz. Żałuję, że nie możemy wrócić do domu, zamówić pizzy i wciągnąć jej podczas mojej wyczerpującej opowieści.

– Bo później musiałbyś mnie zabić?

Marszczę brwi, czując bolesny skurcz żołądka.

– Nie ja, stary.

Genialny umysł Jessego łapie dokładnie to, co chciałem zakomunikować. Wiem o tym, gdy tylko jego właściciel blednie jak ściana i bębni wszystkimi palcami o koła wózka.

– Ja pierdolę...

– Ostatnio to również moje ulubione zajęcie.

Zapada niezręczna cisza, a ja łamię sobie głowę nad tematami zastępczymi dla tych, które zajęły w niej całe miejsce. Odkrycie, że mam rodzinę, i nasze trudne negocjacje. Zawiała polityka całego klanu Kary. Wpływ, jaki to wszystko ma na mamę i Reginę. Wypracowanie nowej codzienności pod ostrzałem aparatów paparazzich – i co dużo bardziej irytujące, na celowniku Hadesa.

Opieram łokcie na kolanach i obejmuję głowę, ale chwilę później ratuje mnie urocze westchnienie mojej kobiety. Gdy do niej wracam, właśnie budzi się z drzemki, mrugając sennie.

– Maximus? Gdzie ja... a. – Przerzywa, rozpoznając salkę kinową. – A tak. Jestem... tu.

Muskam knykciami jej policzek. Choć znam na pamięć każdy szczegół jej twarzy, nic nie jest w stanie zastąpić jej dotyku.

– Lepiej się już czujesz?

Wygląda jak piękna śpiąca królewna, której brakuje energii. Oczy ma zamglone, a usta blade i zaciśnięte.

– Kara? – dopytuję po minucie ciszy.

– Tak – mówi w końcu.

– Na pewno?

– To tylko ból głowy – dodaje szeptem. – Naprawdę, Maximusie. Przestań się martwić. Muszę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Rozluźnia uścisk na moim nadgarstku i muska opuszkami grzbiet mojej dłoni. Momentalnie w moich palcach rozlewa się przyjemne ciepło, jakby zamieniły się w promienie słońca, a dłoń w ognistą kulę. Nieważne, ile razy doświadczyłem tego pod jej dotykiem, zawsze mam wrażenie, jakby to był pierwszy taki wschód słońca, uderzenie pioruna, przepływ energii czy wybuch pożaru. I niezmiennie pragnę, by to trwało wiecznie. Nigdy nie chcę się z nią rozstawać. Na samą myśl o tym dostaję białej gorączki i drgawek.

A Kara oczywiście od razu to wyczuwa.

– Maximusie? – zaczyna nieśmiało.

– Tak, moja piękna? – Delikatnie całuję jej knykcie. – Masz rację. Świeże powietrze dobrze nam robi.

Na jej ustach tańczy uśmiech, leciutki jak piórko. To chyba najpiękniejszy widok tego wieczoru.

Poprawka: ten tytuł wędruje do wyrazu jej twarzy, gdy stawia nogi na podłodze i wstaje, po czym chwytą mnie za ręce i zmusza, bym się podniósł.

– Miałam nadzieję, że to powiesz.

– Bo...? – sonduję. Jest trochę zbyt podekscytowana perspektywą spaceru po tarasie i ogrodzie, choć niewątpliwie są pięknie oświetlone.

– Bo zostaliśmy zaproszeni na jeszcze jedną imprezę.

Przystaję.

– Dziś?

– Eee... tak – mówi nieśmiało, co wcale mi nie przeszkadza. Wprost przeciwnie, uwielbiam ją w tym wydaniu. – Na plaży. Jaden i jego kolega robią imprezę w Malibu. Mam wielką ochotę wpaść.

– Twój brat? – pytam z głupia frant.

– Cóż, tu na pewno go nie ma – stwierdza Jesse. – Zauważyłbym jego imię i nazwisko wśród licytantów popołudnia na torze testowym Porsche.

Ściągam brwi. Ma rację.

– Jak udało mu się wymigać od tego przyjęcia? – pytam Karę.
– Jest cwany. Rerek Horne, współgospodarz imprezy, rzekomo zaprosił parę ważnych osób od castingów, więc mama przymknęła na to oko.

– Kto to jest Rerek Horne? – Co prawda żyję z nosem w książkach, ale mieszkam w Los Angeles, więc całkiem dobrze się orientuję w grubych rybach Hollywood. To nazwisko słyszę jednak po raz pierwszy.

– Przyjaciel rodziny – mówi lakonicznie i już wiem, co to znaczy. – Lubi... być w cieniu – dodaje ostrożnie z szelmowskim uśmiechem. – Wszystko rozbija się o zachowywanie pozorów, pamiętasz?

– Już ja cię rozbiję. – Demonstruję ochotę do „rozbijania”, przenosząc dłonie na jej słodkie, krągłe biodra. – A przy odpowiedniej motywacji mogę nawet zachowywać pozory.

– Przy odpowiedniej motywacji, hm? – Staje na palcach i całuje mnie seksownie w policzek.

– To ja się zmywam – oznajmia Jesse i jednym ruchem wykręca wózek. – Muszę wlać w siebie trochę szkockiej, żeby splukać cały ten cukier.

Kara chichocze cicho w mój biceps. OdrYWając od niego usta, by nabrać powietrza, posyła Jessemu olśniewający uśmiech.

– Jestem pewna, że na imprezie Jadena i Rereka szkocka leje się strumieniami – próbuje go skusić. – Nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli przyjdziemy z...

– Piątym kołem u wozu? – pyta kąśliwie Jesse. – Dzięki, ale już mam dwa własne. – Zwija swoją gumkę przyklepkę i chowa ją z powrotem do kieszeni. – Ale wy się nie krępujcie, dzieci. Idźcie się zabawić i zbudujcie na moją cześć zamek z piasku.

– Taa, idziemy tam właśnie w tym celu – kpię. – A tak serio, to naprawdę spróbuj wpaść. Podałem ci adres.

– O, czyli jednak mnie kochasz.

Uśmiecham się złośliwie.

– Skoro tak to nazywasz.

Kończymy te uszczypliwości i się żegnamy, nic tak naprawdę nie ustaliliśmy. W duchu mam nadzieję, że uda mu się dotrzeć do Malibu. Dzisiejszy wieczór do spokojnych nie należy i nie mam pojęcia, czego się spodziewać po jego kontynuacji, zwłaszcza że Kara wydaje się mieć mieszane uczucia co do tej imprezy. Mam szczerą nadzieję, że tym razem instykt mnie zawodzi i trafimy na zwykłą hollywoodzką bibkę, a nie sabat demonów, chociaż Jesse potrafi się odnaleźć wszędzie.

Mój przyjaciel wyjeżdża z salki, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Poważnieję, gdy tylko przenoszę wzrok z powrotem na demoniczną piękność u mego boku.

– Jak się czujesz? – pytam chrapliwym głosem. – Chcesz już wyjść czy jeszcze chwilę odpocząć? Jeśli jesteś głodna, mogę skoczyć po coś do jedzenia.

Kara podnosi na mnie pełen uwielbienia wzrok i drapie delikatnie moją brodę.

– Możemy wyjść w każdej chwili, profesorze. A poza tym mam ochotę na imprezowe żarcie.

W odpowiedzi całuję ją nieśpiesznie i namiętnie. Uwielbiam jej smak i dotyk ciała przyciśniętego do mojego. Nagle żałuję, że nie mam zdolności teleportacji, bo z wielką chęcią przeniósłbym nas teraz na piasek Malibu.

– Czy przed wyjściem musisz się zameldować u Veroniki? – pytam, niechętnie się od niej odrywając.

Kara marszczy swój idealny nosek.

– O ile wiem, jest już dorosła i świetnie sobie poradzi beze mnie. Ale muszę wrócić po

torebkę i pewien upominek.

– Upominek?

Docieramy już do głównego holu, gdzie ucieka z szelmowskim mrugnięciem, zostawiając moje pytanie bez odpowiedzi. Wychodzę na szeroki podjazd i podaję bilecik parkingowemu, wyobrażając sobie Karę taszczącą torbę cukierków jak na przyjęciach dla dzieci albo z designerską skórzaną teczką podobną do tej, którą dostała na premierze filmu Piper Blue.

Nic z tych rzeczy.

Gdy pomagam jej wsiąść do furgonetki, wciska mi do rąk prostokąt zawinięty w folię odbłaskową.

– Tylko nie każ mi jej zwracać – ostrzega. – Ty i ta książka jesteście sobie pisani.

– Co, do... Kara? – udaje mi się wykrztusić przez ściśnięte gardło.

Trzymam powieść Harper Lee jak cenny skarb, ale z jeszcze większą delikatnością ujmuję po chwili twarz mojej kobiety.

– Nie mów jej tego, ale chyba już znalazłem tę, z którą naprawdę chcę być – szepczę.

Pogodny śmiech Kary jest ukoronowaniem wieczoru. Przyciągam ją do siebie i przyciskam wargi do jej ust, spijając go do ostatniej kropelki i chowając w swojej duszy. Gdy w końcu przerywam pocałunek, Kara cała drży i wzdycha, uczepiona mojej marynarki ze swoją uzależniająco nadludzką siłą. Mija kolejnych parę minut, zanim się od siebie odrywamy. Tonę w jej zapachu, miękkości i zamglonych, uwodzicielskich oczach.

A teraz i grzesznie seksownym głosem.

– Schowaj tę książkę i w drogę, profesorze – nakazuje z ustami przy moich. – Zanim napytamy sobie biedy przed domem twojej szefowej.

Rozdział 20

Kara

Stonowane dźwięki R&B płynące z głośników furgonetki idealnie odzwierciedlają zmianę atmosfery wieczoru. Przez dłuższą chwilę oboje milczymy, rozkoszując się upragnioną przerwą w spektaklu dla mediów. A ja wreszcie mam okazję pomyśleć... tak jakby. Przypominam sobie urywki rozmowy, którą mimowolnie wyłapałam podczas swojej płytkiej drzemki, gdy Maximus myślał, że śpię jak kamień. I z uwagi na jej temat nie wyprowadziłam go z błędu.

„– Zakochałeś się w niej na zabój, co?

– Co to w ogóle znaczy »na zabój«?

– Już ty wiesz co.

– To skomplikowane.

– To proste pytanie, Kane. Kochasz ją czy nie?»

Nie powiedział „nie”. Ale „tak” też nie usłyszałam.

Wpatrywanie się w rzeźbiony profil mojego ukochanego, jeszcze piękniejszy i bardziej wyrazisty w świetle mijanych latarni, również nie przybliżyła mnie do odpowiedzi. A w przeciwieństwie do Jessego nie mogę go zwyczajnie o to zapytać. Nie tu i teraz.

Chociaż czemu nie? Nie potrzebuję chóru aniołów i porośniętej różami altany. Ten zwykły letni wieczór i nasze splecione dłonie biją na głowę każdą romantyczną otoczkę. On też na pewno to wie. I w głębi duszy musi wiedzieć, że moje serce płonie takim samym ogniem jak jego.

Oto dlaczego moje podeszło mi do gardła. Gdyby chciał, z pewnością po prostu wyznałby mi miłość... prawda?

– Kara?

Podrywam się na dźwięk jego spokojnego głosu.

– Hmm?

Zerka na mnie znacząco.

– Mówię, że pojedziemy przez Topangę, żeby nie włądować się w korek.

– Tak, dobry pomysł.

– Na pewno?

– Skąd myśl, że mam coś przeciwko temu?

– Mały demonie. – Ściska delikatnie moją dłoń. – Mów do mnie.

Udaję wielce zainteresowaną krajobrazem za oknem, gdy zjeżdża z autostrady, kierując się w stronę kanionu.

– O czym?

– O tym, że od wyjścia z przyjęcia porozumiewasz się ze mną pytaniami.

– Naprawdę?

Słyszac to ostatnie, parska śmiechem. Wtóruję mu, bo nie mam wyboru. Wspomnienia, do których nie mam prawa, zamieniają mnie w najgorszą rozmówczynię pod słońcem.

– Przepraszam – szepczę. – Myślni byłam gdzie indziej. – Półprawda, którą mogę się wykręcić. – To był wyjątkowo długi dzień.

– Po wyjątkowo stresującej nocy. – Jego twarz się ściąga. – Głównie przez moje ekscesy w towarzystwie Z.

– Konieczne ekscesy, pamiętasz?

Nie odrywając oczu od drogi, podnosi moją dłoń, odwraca ją i składa na niej mocny pocałunek.

– Ale ty cierpiałas.

Gdy jego utalentowane usta odrywają się od mojej skóry, nie zabieram dłoni, rozkoszując się dotykiem jego ostrych bokobrodów i mocnej szczęki.

– Nic mi się nie stało.

Zerka na mnie z niedowierzaniem.

– Powiedz tylko słowo, a zawrócę. Ta impreza nie jest obowiązkowa.

– Wiem, ale znając mojego brata, następnym razem przypomni sobie o mnie za rok. – Odwracam się do niego. – I co ważniejsze, chcę, żeby cię poznał. – W podzięce uśmiecha się do mnie szeroko, pokazując głęboki dołeczek w policzku. W tym wydaniu prawie nie mogę mu się oprzeć, ale obiecuję sobie, że pocałuję to słodkie wgłębienie, gdy tylko dotrzemy na miejsce.

– A więc chcesz, żeby twój młodszy brat mnie polubił, he?

– Nieważne, czego chcę, bo na pewno cię polubi.

Więc zę zdanie pewnym siebie uśmiechem, który do końca jazdy nie schodzi mi z ust. Choć podejrzewam, że zaproszenie Jadena wypływa bardziej z jego ciekawości co do Maximusa niż braterskiej miłości, zawsze to okazja, by spędzić razem trochę czasu. A poza tym przyda nam się mały relaks po kolejnym dniu na wariackich papierach.

Maximus znajduje miejsce parkingowe jakieś sto metrów od drzwi Rereka.

– Zostań na miejscu – nakazuje.

Zdażyłam już otworzyć drzwi, ale lepiej się z nim nie spierać. Ostatni raz słyszałam u niego ten ton, gdy wyrzucał paru żartownisiów z sali wykładowej. Teraz mniej więcej wiem, czego się spodziewać, ale i tak wydaję z siebie pisk zaskoczenia, gdy okrąża furgonetkę i mnie z niej wynosi.

– Daj spokój. – Kręcę nosem, kiedy przeszedłszy przez jezdnię, ani na chwilę nie zwalnia. – Dalej mogę iść sama.

– Na tych szcudłach? – Wskazuje brodą moje stopy uwięzione w błyszczących dziesięciocentymetrowych szpilkach. – Po tym żwirze?

– Przeszedłeś się kiedyś po czerwonym dywanie z Piper Blue po jednej stronie i połową żeńskiej obsady nowego filmu Marvela po drugiej?

Nie ma okazji błysnąć jakąś ciętą ripostą, bo właśnie docieramy do drzwi frontowych i Maximus wreszcie stawia mnie na ziemi.

Podobnie jak u wielu jego sąsiadów westybul Rereka jest niewielki, acz stylowy. Stoi tu wielopoziomowy kwietnik z drewna balsowego, na pierwszy rzut oka wypełniony typowymi kalifornijskimi sukulentami i trawami. Centralny punkt zajmuje niewielka fontanna z kamienia i szkła, która ma przywodzić na myśl miejsca takie jak Solvang, Santa Barbara czy Laguna Beach. Maximus przystaje, przyglądając się z zachwytem artystycznemu wystrojowi, ale ja szybko przebiegam przez westybul. Wiem to, czego reszta świata jest nieświadoma: że nawozem traw są włosy potępionych za grzech próżności, a urocze kamyczki w fontannie to wyrwane zęby najnikczemniejszych zdrajców i morderców w historii świata.

Wbiegam po schodach i lekko podenerwowana czekam na Maximusa. Kiedy po raz ostatni gościłam w tych progach, byłam bardziej pogodzona ze swoim losem. Ale też Rerek nigdy nie był jak inne demony. Mam nadzieję, że to się zmieniło, choć bardzo wątpię. Mimo to, wchodząc z Maximusem przez otwarte drzwi, chcę wierzyć słowom Jadena, że trochę się ostatnio

uspokoił. Przekonam się dopiero, gdy go zobaczę.

Choć w środku dominuje biel przełamana jedynie paroma akcentami w postaci kolorowych poduszek i patetycznych rzeźb sprzed tysięcy lat, panuje tu niemal namacalna aura zaświatów. Wyczuwam jednak, że nie wszyscy goście to demony, chyba że piekło zorganizowało jakąś rekrutację w fabryce snów. Jeśli tak, to Hades ustrzelił samych młodych i pięknych. Znaleźli się tu reprezentanci wszystkich ras i gabarytów, a wszyscy zrobieni na bóstwo. Powinni sobie nadskakiwać jak tresowane kurtyzany, którymi na pewno są.

I właśnie tu coś nie gra.

Nie mają w sobie ani krzty energii. Przyglądając się tej zbieraninie zaopatrzonej w fantazyjne drinki i talerzyki drogich kanapeczek, zastanawiam się, na jaki turniej golfowy czekają o tej porze. To dziwne – bardzo dziwne – jak na klasę ludzi zabijających się o zdjęcia z tętniących życiem imprez. U żadnego z nich prawie nie wyczuwam pulsu, o myślach i emocjach nie wspominając. Mimo to są niezaprzeczalnie żywi – ich ciała spokojnie się kołyszą w rytm muzyki płynącej z głośników sufitowych.

– A ja myślałem, że to Jesse urządza dziwne balangi – szepcze Maximus, patrząc na mnie z uniesioną brwią.

Trącam go biodrem w uznaniu za poczucie humoru.

– Poszukajmy Jadena. – Z tymi słowy spoglądam na plażę poniżej tarasu. – Chyba wiem, gdzie go znajdziemy.

Poza tym ognisko na piasku wygląda rewelacyjnie. Po tych ostatnich intensywnych dniach należy nam się odrobina dobrej zabawy.

W drodze na taras na szczęście nikt nas nie zatrzymuje, by się przedstawić, i schodzimy betonowymi schodkami na plażę owiewaną rześką bryzą i oświetlaną blaskiem księżyca w pełni. Zdejmujemy buty i ruszamy w stronę dwóch postaci przy ognisku.

Roześmiani i wpatrzeni w wysokie tańczące płomienie jeszcze nas nie widzą. Nie wiem, czy Rerek kiedykolwiek wcześniej doświadczył szczerego śmiechu, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Ciemne falowane włosy, szczupła sylwetka i pełne usta sprawiają, że często jest brany za członka naszej rodziny, ale na szczęście na tym się kończą podobieństwa między nami.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego Jaden się z nim zadaje, zwłaszcza że Rerek od paru stuleci ma doła, bo większość Egipcjan już dawno przestała w niego wierzyć. Zaprzyjaźnili się, gdy byliśmy dziećmi, kiedy Rerek przez parę lat był w ekstazie po tym, jak udało mu się doprowadzić do katastrofy w elektrowni atomowej w Fukushima. Skłamałabym, twierdząc, że nie byliśmy tym zaniepokojeni. Uparty nastoletni półdemon kumplujący się z nieobliczalnym demonem chaosu... Co mogłoby pójść nie tak?

– Aha! – Wyluzowany Jaden wydaje z siebie okrzyk triumfu, gdy podchodzimy bliżej, a następnie obejmuje mnie na powitanie, co może świadczyć jedynie o tym, że jest na lekkim haju. – Patrzcie, kto się wreszcie wyrwał z akademickiego światka. Już myślałem, że nie dotrzecie. Całe wieki jechaliście przez ten kanion.

Przytulam go mocniej z nadzieją, że moje włosy stłumią ten ostatni fragment. Maximus jest dziś zrelaksowany i zadowolony i chcę, żeby tak zostało. Nie mam ochoty mu tłumaczyć, że nadprzyrodzona zdolność Jadena to superwyostrzony słuch.

– I przyprowadziłaś ze sobą tego szczęściarza!

W dodatku jest wstawiony.

– Maximusie, poznaj mojego brata Jadena. J., to jest...

– Pan profesor Maximus – kończy za mnie braciszek, ściskając Maximusa. – Miło cię poznać, stary.

– Eee... Nawzajem – bąka Maximus.

– Rewelacyjnie, że wpadliście. Rerek też się cieszy.

Zerkam ukradkiem na siedzącego za nim Rereka, który macha mi ręką, jakby mył niewidzialną szybę. Jego czarne sztywne włosy są dłuższe, niż pamiętam, i na szczęście zasłaniają spiczaste uszy, choć jego szyja wydaje się teraz jeszcze bardziej żyrafia. To samo można powiedzieć o jego kończynach i sylwetce, które śmiertelnicy nazwaliby tyczkowatymi, a które dzięki stylowi bycia pyszałkowej gwiazdy rocka udało mu się zamienić w niezaprzeczalny atut. Nawet gdy uśmiecha się półgębkiem, prezentując wydatne kości policzkowe, wygląda jak rockman z prawdziwego zdarzenia.

Ale to cały Rerek. Demon składający się z samych kontrastów, które wyciąga na chybił trafił jak wizytówki. Dlatego też odwzajemniam pozdrowienie, choć jestem ostrożna. Bardzo ostrożna.

– Cześć, Rerek. Kopę lat.

– Twój brat jest w nostalgicznym nastroju, Karo. Ja trochę też. – Jego uwadze towarzyszy spojrzenie równie ciepłe co kieliszek do koniaku, który trzyma w dłoni. W szkle odbijają się tańczące płomienie ognia oświetlające jego pastelowe tęczówki. – Ale masz rację, kopę lat – dodaje mrocznym głosem, od którego przechodzą mnie ciarki.

Wstaje i nieśpiesznym krokiem rusza w moją stronę, nie odrywając ode mnie intensywnego spojrzenia swoich ogromnych pastelowych oczu. Z tak bliska jestem tego pewna: naprawdę są ogromne. I niepokojące. I przesywające.

Maximus przeczesuje włosy skrępowany, a jednocześnie pociągający. Przeszuję z nogi na nogę, opierając się pragnieniu, by się nań wspiąć jak głodna wiewiórka na sosnę. Wolałabym to niż intensywne spojrzenie Rereka mające sprawić, bym poczuła się nieswojo. Czy on nigdy nie mruga?

Jaden nachyla się i klepie Maximusa w środek piersi.

– To Rerek. Jest dla nas jak brat.

– Mów za siebie. – Daję mu szturchańca w ramię.

Jaden chichocze.

– Niech ci będzie. Jest dla mnie jak brat.

Zauważam przelotny grymas na twarzy Rereka, który zdążył przenieść czujny wzrok na Jadena.

– Brat. Hmm.

Robię głęboki wdech z nadzieją, że to pomoże mi zachować sztuczny uśmiech.

– Rerek – besztam go niby żartem, jak zbyt namolnych fotoreporterów – wiesz, że niegrzecznie się tak gapić, prawda?

Skrywana namiętność, którą ten demon żywi do mojego brata, nigdy nie była wielką tajemnicą, a przynajmniej nie dla rodziny obdarzonej nadprzyrodzoną intuicją jak nasza. On też o tym wie, co bynajmniej nie przeszkadza mu przewrócić oczami ze słodkim uśmieszkiem, którym mnie częstuje, strzepnąwszy sobie odrobinę popiołu z aksamitnej kurtki.

– Karo, jest różnica między gapieniem się a podziwianiem piękna.

Nie mam siły się głowić nad jego insynuacjami, więc po prostu daję spokój. Wyczerpałam swój limit energii na ten tydzień – oraz przyszły.

– Ładne wdzianko – mówię, żeby dla dobra wszystkich obecnych zmienić temat. Tyle że Jaden zdążył już wciągnąć Maximusa w dyskusję o ogniskach i furgonetkach.

Rerek przybiera wytworną pozę, gładząc opuszkami klapę kurtki.

– Podoba ci się?

– Bardzo. – Tym razem mówię szczerze.

– Mam ją od lat sześćdziesiątych. Czyli teraz to vintage'owe *haute couture*. – Rozluźnia

się i marszczy nos. – Ale widzę, że nie ja jeden wiem, jak się ubrać na imprezę.

Wskazuje brodą Maximusa, który zostawił muchę i marynarkę w aucie, ale w swojej eleganckiej koszuli i idealnie skrojonych spodniach wciąż wygląda jak dziesięć milionów dolarów. Przy silniejszym porywie wiatru materiał koszuli przywiera do jego szerokiego torsu i brzucha, podkreślając rzeźbione mięśnie. Oceaniczna bryza zwiewa mu włosy z twarzy, której wyraziste rysy wreszcie są odpowiednio oświetlone przez blask ogniska. A już myślałam, że nie może być bardziej pociągający... Nie jestem w stanie oderwać od niego oczu.

– Ojej, ojej – znaczący szept Rereka momentalnie wyrywa mnie z tego snu na jawie.

Potrząsam głową, próbując pozbyć się skrępowania. Rerek rzeczywiście jest dla nas jak brat, dlatego też nigdy nie ośmielił się siać chaosu w Hollywood, które zresztą i bez niego świetnie sobie z tym radzi. Niemniej jest w tym jakiś zgrzyt, że istota współodpowiedzialna za stulecia ziemskich katastrof zachowuje się tak uprzejmie.

– Co „ojej”? – pytam, wciąż siląc się słodki ton.

– Żądza kapie z ciebie jak wosk ze świecy w lochu, kochana.

– To rzeczywiście ojej – bąkam, dziękując opatrności, że Maximus jest nadal zajęty rozmową z Jadenem.

Rerek porusza palcami stóp i wbija je w piasek, ale marszczy brwi, gdy powiew wiatru zawiewa odrobinę ziarenek na nogawkę jego czarnych spodni.

– „Póki nie kochamy – śnimy”.

Śmieję się, by zyskać trochę czasu na reakcję. Czemu czuję się tak nieswojo, skoro jesteśmy z Maximusem na okładkach wszystkich pism na ziemi i na oczach wszystkich nieśmiertelnych istot?

Ale to nie pora, by się nad tym zastanawiać. Na szczęście nie tracę zimnej krwi.

– Nie wiedziałam, że jesteś fanem Tołstoja – odpowiadam z uśmiechem współgrającym z jego przesadną grzecznością.

Jeśli wierzyć jego wybuchowi śmiechu, moje umiejętności aktorskie się sprawdzają.

– Maleńka, a jak myślisz, kto mu dotrzymywał towarzystwa po tym, jak pokazał środkowy palec całej literackiej elicie?

– Och, to chyba twoja perła w koronie.

– Wcale nie musiałem wiele robić – zapewniam. – Gdy się u niego pojawiłem, Lew miał już głowę pełną demonów.

– Hej, R.! Puste szkło! – przerywa nam Jaden, unosząc swoją szklaneczkę. – Umieram z pragnienia!

– Nie możemy na to pozwolić. – Rerek podchodzi do mojego brata i bierze go pod rękę. – Znajdźmy coś do wypicia albo wypalenia.

– Przy okazji sprawdźcie, czy wasi goście jeszcze żyją – rzucam. – Bo w środku jest dość drętwo.

Rerek ściąga brwi.

– Nie może być – odpowiada demon, któremu udało się doprowadzić pół świata do szaleństwa.

Jaden oswobadza się z jego uścisku i przyciąga mnie do siebie.

– Dzięki, że wpadłaś.

Uśmiecham się w jego pachnącą oceanem i dymem koszulkę.

– Dzięki za zaproszenie.

Mruga i błyska zębami w uśmiechu, który załatwił mu tysiąc okładek kolorowych czasopism, po czym znika w ciemności. Podążam wzrokiem za ich ciemnymi sylwetkami do szerokich betonowych schodków salonu Rereka. Przez otwarte przesuwne drzwi wylewają się

dźwięki muzyki, wraz z szumem fal i strzelającymi iskrami tworząc całkiem przyjemną kompozycję.

Maximus przyciska pierś do moich pleców.

– Dam koc plażowy za twoje myśli – szepcze mi do ucha, oplatając mnie ramionami.

Uśmiecham się i do końca rozluźniam, podążając za jego palcem, którym wskazuje stertę aksamitnych koców zostawionych przez Jadena i Rereka.

– To rozumiem.

– Nie – odparowuje Maximus, pomagając mi rozłożyć na zawietrznej jeden z nich. – Ja chcę zrozumieć. Co się dzieje? – pyta, po czym wciąga mnie sobie na kolana i przykłada mi czule dłoń do twarzy. – Przyszliśmy się tu odprężyć, a na razie tylko udajesz.

Skupiam się równocześnie na jego pytaniu i zabawie włoskami na jego rękach, zbierając myśli.

– Rerek potrafi być nieprzewidywalny. Działa mi na nerwy. Jaden to uwielbia. Ja nie bardzo.

– Wygląda na luzaka.

Próbuję się roześmiać.

– Nie określiłabym tak pełnokrwistego demona chaosu, nawet w jego najspokojniejszy dzień.

Maximus przyjmuje te rewelacje ze zdumiewającym spokojem, choć jego lekko uniesione brwi osobliwie dodają mi otuchy.

– Ach, teraz to zaczyna nabierać sensu.

– To znaczy?

Masuje mi kark, zupełnie jakbyśmy wybrali się na niedzielny piknik, a nie rozmawiali o demonach przy ognisku.

– Jego imię wydało mi się dziwnie znajome. To przydomek egipskiego demona Apopisa, przeciwnika boga Ra.

Kiwam głową, przypominając sobie mit, który, tak się składa, jest również prawdą, i chyba po raz setny zastanawiając się, czemu Maximus z taką łatwością daje wiarę wszystkim tym szalonym faktom.

– Co parę stuleci zmienia imię, żeby nie zwracać uwagi śmiertelników.

Na chwilę Maximus pogrąża się w myślach.

– Według starożytnych tekstów jego jedyną przewagą nad Ra była zdolność skrywania się w mroku.

– W mroku? – Nachylam się z zaciekawiona jego słowami. Głównie dlatego, że to on mówi, ale poza tym jego teoria brzmi sensownie. Chyba nigdy nie widziałam Rereka w biały dzień. – Masz na myśli trumny i jaskinie? Jak u wampirów?

– Jaskinie – tak. Ciemne przesmyki górskie – tak. Ale trumny? – Dostrzegam drżenie w jego kącikach ust. – Ktoś tu się chyba naoglądał horrorów.

„Czyżby? Ciesz się, że nie wiesz o zębach w fontannie w westybulu”.

Zachowuję tę wiedzę dla siebie, przynajmniej na razie. Przysuwam się do niego kusząco.

– Przed seansem zawsze odrabiam pracę domową – odpowiadam żartem.

Wypuszcza chrapliwie powietrze.

– Jaka sumienna studentka. – Wędruje dłonią po moim kręgosłupie. – Musisz bardzo się przykładać do nauki.

– Nie mam wyjścia – odpowiadam, przysuwam usta do kuszącej linii jego szczęki i muskam nosem jego brodę. – Jeden z moich wykładowców... jest bardzo wymagający i nie bierze jeńców.

Maximus przełyka z trudem, co bynajmniej nie uchodzi mojej uwadze.

– Musi być bardzo surowy – szepcze. – Naprawdę nie bierze jeńców?

– Żaden jeszcze nie wrócił, by opowiedzieć o jego okrucieństwie. – Zadzieram głowę, pokazując mu szelmowski uśmiech. – Na jego pokładzie człowiek albo dowodzi swojej wartości, albo kończy za burtą.

Jego pełne usta po raz kolejny wyginają się w uśmiechu. Zachwycona patrzę, jak w jego policzkach pojawiają się te boskie dołeczki, a piękne niebieskie oczy zaświecają się, by po paru sekundach pociemnieć jak nocne niebo. Niczym spadające gwiazdy odbijają się w nich iskry strzelające z ogniska.

Następne zdanie wypowiada głosem, jakiego jeszcze nigdy u niego nie słyszałam. To skrzyżowanie szeptu i pomruku, od którego równocześnie przeszywa mnie dreszcz i robi mi się gorąco...

– A co, jeśli w jednym z jeńców się zakochał?

Rozdział 21

Maximus

Wmawiam sobie, że jej milczenie to dobry znak. Albo zwyczajnie upiłem się blaskiem księżycy i ogniska, karmiąc ją pustymi frazesami.

Nie. Upiłem się nią.

Całą nią. Tym, jak się przy niej czuję. Wolny i odważny. Otwarty i szczery, tak jak wyznanie, które właśnie wyrwało mi się z ust i duszy.

Nikt mi nie obiecywał, że prawda nie będzie przerażająca. I taka właśnie jest. Zwłaszcza że Kara wciąż się nie odzywa.

Ta agonia jest niczym w porównaniu z kilkoma sekundami, które odczekuję, zanim decyduję się ją pocałować, nakazując sobie zapamiętać każdy centymetr jej pięknej, oświetlonej ogniem postaci. Jedwabistej twarzy w kształcie serca, niemal rozpalonej ogniem naszej więzi. Ciepłej słodczy jej oczu pałających nieskrywanym uwielbieniem. Do diabła, nawet zarysem jej delikatnego noska, z którego mój wzrok ześlizguje się na słodkie poduszeczki ust.

Drogi Boże. Te usta.

Mam ochotę się nie podnosić i całymi godzinami napawać ich fascynującym widokiem, ale poruszają się w dziwne strony, jakby próbowała się uśmiechnąć. Nagle unieruchamia je i niepewnie skubie zębami. Drżąc, wzdycha, po czym słyszę najpiękniejsze słowa pod słońcem...

– Co, jeśli jeniec też się w nim zakochał?

Zmuszam się, by oddychać. Wędruję dłonią po jej plecach, zatrzymując się na jej karku. Jej włosy przypominają grube sploty jedwabiu utkanego po to, by znalazły się w nich moje palce. Teraz w to właśnie wierzę, tak jak w to, że jej wargi są idealnie dopasowane do moich.

Bo Kara jest ideałem.

Ta chwila jest doskonała.

Tak brzmi mantra pulsująca w moich zmysłach. Nieprzerwanie. Bezlitośnie. Oddaję jej stuprocentową słuszność.

„Tak. Tak. Tak”.

Pulsowanie się wzmacnia, przybiera na sile. Poddaję mu się i wsuwam język między jej uległe miękkie wargi. Rozchyła je z westchnieniem, wplatając mi palce we włosy. Gdy je zaciska, pozwalam się jej nakierować. Leży na mnie najbardziej olśniewająca piękność wszystkich wymiarów, skąpana w odcieniach żółci, pomarańczy i czerwieni, jakby czerpała inspirację z samej krainy umarłych, choć w moich oczach jest i zawsze będzie pięknym aniołem, który przybrał postać kobiety.

A teraz stała się kimś więcej.

Zwłaszcza po naszych wyznaniach miłości.

Nie do końca tradycyjnych – ale jeszcze lepszych. Bo wypływających z czystych pokładów naszych dusz, o istnieniu których nie miałem pojęcia, dopóki na mojej drodze nie stanęła ta niezwykła dziewczyna, wywracając mój świat do góry nogami swoim uśmiechem i dotykiem...

Dotykiem, który teraz wstrząsa mną jeszcze bardziej.

Który mnie rozpala jak iskierki tańczące wokół jej twarzy, gdy zaczynamy się coraz

namiętniej całować. Sięgnąwszy po drugi koc, okrywa nas nim niczym aksamitnym kokonem i robi się jeszcze bardziej romantycznie. Gdy znowu się dotykamy, między naszymi palcami strzelają gwiazdki, a gdy się pochyła, by dotknąć ustami moich, między naszymi wargami pojawia się miniaturowy Układ Słoneczny.

W mojej duszy wybucha zaś cała galaktyka.

I nagle rozumiem obsesję Dantego na punkcie jednej jedynej kobiety. I pojmuję, dlaczego uczynił z niej swoją niebiańską przewodniczkę, ostateczny cel swojej wędrówki. Swoją wieczną miłość.

Wygłodniali przywieramy do siebie i pożeramy się nawzajem. Ale ciągle nam mało. Kara wypełnia mnie całego, a mimo to pragnę więcej. Jestem jej gąbką i wchłaniam jej namiętność do ostatniej kropli. Jestem jej górą, gotów służyć jej schronieniem i wynieść na sam szczyt. A przede wszystkim jestem jej wyznawcą przysięgającym jej wierność do końca swoich dni. Gotowym umrzeć z jej imieniem na ustach...

– Kurwa – wyrzucam z siebie, gdy z jękiem udreki udaje mi się w końcu oderwać usta od jej warg. – Kurwa, Kara. Kara.

– Wiem – odpowiada ochryłym głosem w mój kark, wywołując we mnie nową falę pożądania. Mógłbym przysiąc, że odczytuje więcej niż tylko moje emocje. Bo jak inaczej wyjaśnić, że potrafi mnie rozpałcić jednym dotykiem, zahipnotyzować jednym słowem? – Wiem – powtarza, wędrując swoimi urzekającymi usteczkami po mojej piersi, rozpinając mi guziki koszuli. – Wiem... wiem.

– Och, nie jestem tego pewien.

Przecież nie może wiedzieć, jaki ogień bucha w moich żyłach, jakie pulsowanie chce mi rozsadzić czaszkę. Jaką walkę muszę toczyć, by krew nie uderzyła mi do krocza.

– Maximusie. – Każda sylaba mojego imienia brzmi jak szeptana tortura. Gdy podnosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają, już nie wątpię, że naprawdę wszystko rozumie, bo płomienie w jej oczach rosną i robią się jaśniejsze. – Maximusie, ja płonę.

– Och, widzę.

Na szczęście mój sarkazm wychodzi nam na zdrowie. Oboje potrzebujemy odrobiny śmiechu, by zaczerpnąć tchu i oderwać od siebie wzrok. Udając nadąsaną minkę, gdy opiera brodę na moim brzuchu, mój mały demon jest jeszcze bardziej uroczy, co zupełnie mnie nie dziwi. Kara wygląda, jakby się zastanawiała, w którą stronę ruszyć, i nie chciała mi o tym powiedzieć.

„Nie zatrzymuj się”.

„Zatrzymaj się”.

– Teraz to ja płonę. – Kieruję ten rozpaczliwy jęk zarówno do niej, jak i do siebie.

Jeśli wierzyć jej przekrzywionej główce i ustom, na których tańczy uśmiech, w pełni rozumie tę aluzję.

– Niedola lubi towarzystwo – mruczy, rozpinając mi kolejne guziki koszuli i obnażając moją klatkę piersiową. – Tylko nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

– Jeśli z czymś ci źle, powiedz tylko słowo, a się tego pozbędę. – Tym razem w moim głosie nie ma ani krzty sarkazmu. – Karo, wyciąłbym sobie serce z piersi, gdyby jego bicie sprawiało ci ból. – Ujmuję jej dłonie i przykładam je sobie do piersi. – W świecie, w którym musiałbym żyć bez ciebie, i tak żaden nóż nie mógłby mnie przebić dość głęboko.

Nagle odrywa się ode mnie i siada. Koc natychmiast się z niej zsuwa. Jej okrągłe oczy przypominają dwa piękne jasne księżycy.

– Kocham cię, Karo. Naprawdę – szepczę, wdzięczny, że wiatr nie zagłusza moich słów.

Uśmiecha się. Nie wyobrażam sobie cenniejszego daru niż jej cudowne serce.

Choć muszę przyznać, że jest bliska łoż. A potem jej słowa wprawiają mnie w ekstazę.

– Ja też cię kocham. Naprawdę.

Zanim mam szansę złapać powietrze, nachyla się, by mnie pocałować. Wykorzystując okazję, biorę jej usta w posiadanie, tak jak ona moją duszę. Kara ma smak łoż szczęścia i słonego nadmorskiego wiatru. Działa na mnie jak marzenie senne i dręczy mnie jak syrena. Jej pocałunki. Jej ciało. Jej dotyk.

Udręka przechodzi w agonię, gdy wsuwa mi palce pod sprzączkę i błyskawicznie ją odpina.

– Kara...

– Co? – szepcze równie drżącym, choć dużo seksowniejszym głosem. – Tylko mi nie mów, że nie potrzebujesz tego tak samo jak ja, bo dobrze wiesz, że mnie nie oszukasz.

Trudno byłoby z tym polemizować, nawet gdyby nie miała tego wyjątkowego wglądu w moją duszę, bo gdy rozpina mi rozporek, jej oczom ukazuje się wystarczający dowód mojego... pragnienia.

– Nie da się zaprzeczyć, moja piękna. Ale nie możemy... o cholera.

Przerywa mi mój własnych charchot, gdy pewnie obejmuje mojego penisa, który jest niemal za duży dla jej zgrabnych paluszków. Dając temu wyraz, kwili bezradnie w moją brodę, gdy próbuje mi trzepać. Odrzucam głowę, a świat zaczyna wirować mi przed oczami. Nigdy nie sądziłem, że doświadczę tak pełnego połączenia z rytmem ziemi i niezwyklej siły przyciągania we wszechświecie. Wyostrzonymi zmysłami czuję, jak mój puls dostraja się do wywoływanych przez nią wibracji.

Zdesperowany uczepiam się resztek logiki, które jeszcze nie zdążyły wyparować mi z mózgu.

– Najdroższa...

Odpowiada mi kolejne westchnienie, dłuższe i radośniejsze.

– Tak, Maximusie?

– Pa... pamiętajmy, gdzie jesteśmy.

– Na prywatnej plaży? W swoich objęciach pod rozgwieżdżonym niebem? Brakuje tylko namiotu, wytrzymam.

– Trzydzieści metrów dalej stoi dom pełen ludzi, a wśród nich jest twój brat. – Przypadek sprawia, że właśnie w tej chwili z głośników zaczynają płynąć głośniejsze dźwięki zmysłowego kawałka R&B z tekstem naszpikowanym poetyckimi eufemizmami tego, co mam ochotę z nią zrobić. Teraz.

– Masz na myśli dom pełen ludzi, którzy każdego ranka posypują płatki śniadaniowe zbereźnymi myślami?

Tym razem to ja parskam cichym śmiechem.

– A kto twierdzi, że ja tego nie robię?

Chyba zna odpowiedź, bo nie odrywając ode mnie wzroku ani nie zwalniając tempa, szepcze słowa, które sprawiają, że zapominam o Jadenie, Rereku, imprezie i całym bożym świecie. Nawet mój stres związany z naszą niepewną sytuacją, jej matką i moim ojcem ulatnia się, gdy tylko słyszę jej cudowne wyzwanie.

– Kocham cię z całej duszy, panie Kane. I nie będę dłużej czekać, by to panu okazać.

Rozdział 22

Kara

W ciągu następnej minuty przyswajam sobie dwie życiowe lekcje. Po pierwsze, miłość zdecydowanie dodaje odwagi, a po drugie, jeśli wykorzystuję ją, by uwieść ludzką stronę natury Maximusa, powinnam być gotowa na przebudzenie się jego boskiego pierwiastka.

Ale jestem nań zupełnie nieprzygotowana. Ani na hipnotyzujący wyraz uwielbienia i czci malujący się na jego twarzy.

Ani na kleszcze, w jakich zamyka moją twarz, przywołując z niebios gwiazdy, które posłusznie lądują w jego oczach.

Ani na to, jak miażdży mnie swoim niewyobrażalnie potężnym ciałem, naprężając każdy jego mięsień... z głową wypełnioną myślami tylko i wyłącznie o mnie.

Oszołomiona nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa ani się poruszyć. Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przydarzyło. Moje zaskoczenie chyba wreszcie do niego dociera, bo nagle ściąga płowe brwi.

– Co takiego? – dopytuje delikatnie, choć jego penis nabrzmiewa w mojej dłoni. – Hej... co się stało? Chcesz z tym poczekać?

Budząc się z odrętwienia, potrząsam głową.

– Nie. Tylko...

– Co?

Przygryzam usta, ale szybko je puszczam.

– Patrzenie na ciebie teraz jest... intensywnym doznaniem. Zupełnie jakbym spoglądała w lustro, w którym odbijają się wszystkie moje zmysły.

Gwiazdy w jego oczach nabierają blasku.

– Jesteś zaskoczona?

– Nie, ale to dla mnie nowość.

– I wydaje ci się to dziwne?

– Tak, troszkę.

– Czemu?

Znowu lekko przygryzam usta, po czym się uśmiecham. Nie da się tego raczej zrobić taktownie, więc mówię bez ogródek:

– Bo nic nigdy ci nie dorówna. Ani naszemu związkowi.

– Och, Karo. – Blask jego oczu rozlewa się falą ciepła po jego ciele. Po każdym centymetrze jego boskiego muskularnego ciała.

Niechętnie wypuszczam z dłoni jego penisa. Z dużo mniejszym wahaniem przerzucam nogę i dosiadam jego właściciela. Choć zwiewny brzeg mojej sukienki ląduje między naszymi ciałami, jestem skupiona tylko na tym, czego oboje teraz pragniemy. Czego oboje potrzebujemy. Nagle szarpie się pode mną, wrywając mi jęk z gardła.

– Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać – mówi chrapliwym głosem. – Bo jeśli jeszcze nie zauważyłaś, przy tobie żegnam się z silną wolą. Chcę to z tobą robić... jak najczęściej... już zawsze...

Słyszając tę żarliwą obietnicę, czuję, jak serce mi rośnie, a krew zaczyna buzować.

W końcu odrywam wzrok od jego umięśnionego brzucha i napotykam gorące spojrzenie jego pięknych niebieskich oczu.

– W tej chwili chcę od pana tylko jednego, panie Kane.

Ponownie odchyła głowę i ciepłe wieczorne powietrze znowu drga od jego głębokiego westchnienia. Jego rzeźbione, gładkie ciało jest tak doskonałe, że prawie chce mi się płakać. Gęste, długie włosy ma rozrzucone na kocu i piasku. Czuję, że rozpiera go niepohamowane szczęście. Jest tak upajające, że oplata nas oboje niczym żywe stworzenie, nabierając jeszcze większej mocy, gdy łączy się z jego rosnącym pożądaniem.

Zamienia się w przerażające gromy i błyskawice przecinające niebo – a może to tylko moja wyobraźnia? Nie jest mi dane poznać odpowiedzi, bo brutalnie podkasuje moją sukienkę, wkładając mi nieznośną sprzeciwu palce między nogi. Między nimi a moją cipką są już tylko jedwabne majteczki.

Jestem szokowana, że nie topią się pod jego niskim pomrukiem, ale jednym szarpnięciem odsuwa je na bok, by we mnie wejść.

– Och! – Wstrzymuję oddech, mile zaskoczona jego nabrzmiałym, napierającym penisem.

– Przepraszam – charczy. – Nie. Wcale nie przepraszam. Kurwa, pragnę cię, mała kusicielko. Musisz... mi dać...

– Tak – to jedyne, co jestem w stanie z siebie wydusić, gdy we mnie wchodzi i gdy stapiamy się ze sobą bardziej niż oceaniczne fale z piaskiem.

Gdy rozciąga mnie jeszcze mocniej i zadomawia się głęboko w środku, całą duszą uświadamiam sobie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Maximus jest jak księżyc moich przyptyków. Magnes, który zmienił całą moją grawitację. I chcę, żeby to się nigdy, przenigdy nie zmieniło.

Wbijam palce w jego ramiona, gdy odnajdujemy nowy, choć dziwnie błogi i znajomy rytm. Pożądanie przysłania mi resztę logicznych myśli, tak jak zbierające się nad nami chmury zasłaniają gwiazdy. Uśmiecham się, słysząc ich groźne pomruki, które wstrząsają całym niebem. Byłabym uzależniona od tego mężczyzny i jego żądy nawet bez jego meteorologicznej perwersji, ale muszę przyznać, że to dodatkowy afrodyzjak.

Tak jak jego utrata kontroli pod koniec każdego pchnięcia.

Zmysłowy, władczy uścisk dłoni na moich biodrach.

Nieokiełznane uwielbienie, które widzę w jego oczach. Gardłowe jęki pierwotnej żądy.

A na koniec gorąca sperma, którą mnie wypełnia.

Gdy dochodzi, ja też cała płonę, drzę i eksploduję razem z nim. Nie mogę powstrzymać łez, które kapią mi z oczu jak pierwsze krople deszczu ze zbierającej się nawałnicy. Niebo rozgadza się, jeszcze zanim uspokaja się nasza własna burza zmysłów, ale dla pewności oglądam się w prawo i w lewo.

– Hej – szepcze Maximus, nie odrywając ode mnie wzroku. – Wszystko w porządku? Zrobiłem ci krzyw... – Przerywa, znając już odpowiedź na to pytanie. – Zadowolilem cię? Cała się trzęsała i myślałem...

– O, dobrze myślałeś. – Przypieczętowuję to zapewnienie, składając długi pocałunek z językiem na jego chętnych wargach. – Miałam tylko nadzieję, że nie będę się musiała w pośpiechu ubierać na spotkanie z twoim ojcem.

Parska śmiechem.

– Albo twoją matką.

Szczęka mi opada.

– Ugryź się w język!

Obnaża sugestywnie zęby, poruszając biodrami.

– Wolalbym, żebyś ty to zrobiła.

Mrużę oczy, w których zapewne pojawia się szelmowski błysk.

– A więc teraz chcesz, żebym była wampirem?

– No cóż... – Przerywa. – Tylko mi nie mów, że one też istnieją.

– Nie mam pojęcia. – Skubię żartobliwie jego dolną wargę. – Ale może kiedyś spróbuję jakiejś kreatywnej interpretacji.

Zamienia mój żart w gorący, wilgotny pocałunek z języczkiem, po czym odrywa się ode mnie z zamkniętymi oczami i uśmiechem zadowolenia na ustach.

– Na same słowa „kreatywna interpretacja” mam ochotę przywołać te chmury z powrotem, piękna.

Chichoczę i przysuwam usta do jego ucha.

– Kreatywna interpretacja.

Podskakuje pode mną z chrapliwym westchnieniem.

Wstrzymuję oddech, nie odpuszczę mu tak łatwo.

– Kreatywna interpretacja.

– Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką.

– Kreatywna inter... aaa!

Błyskawicznie mnie odwraca i w ułamku sekundy to ja mam piasek we włosach i niebo przed oczami. Mój okrzyk momentalnie przechodzi w westchnienie zachwytu.

Przybrzeżne niebo jeszcze nigdy nie było tak piękne, zwłaszcza że stanowi tło dla pięknej twarzy mężczyzny, któremu oddałam duszę.

Mojego półboga. Mojego przeznaczenia. Kochanka, który oddaje mi się na wszelkie sposoby, aż jedyną moją myślą jest jego imię, a wszystkie moje doznania i pożądanie należą wyłącznie do niego.

Jedynymi świadkami naszego zbliżenia są gwiazdy, a miękki piasek przyjmuje wygłodniałe ruchy naszych splecionych ciał. Nie dbamy już, czy ktoś nas zobaczy. Choć jeszcze przed chwilą niebo było pogodne, przy każdym gorączkowym pchnięciu jego penisa przecina je niema błyskawica.

W szale zmysłów nie czujemy spadających kropel deszczu. Burza odzwierciedla naszą dziką energię, jakby była z nią idealnie zgrana. Jakby były sobie przeznaczone. Zanim mój rozgorączkowany umysł ma szansę przetrwać tę myśl, nadchodzi pulsujący, rozedrgany orgazm. Kolejny należący tylko do Maximusa.



Przez kolejną godzinę na wpół rozebrani leżymy w kotłowaniu wilgotnych koców, w milczeniu oddając sobie pocałunki i podziwiając odwieczne gwiazdy, które uciszyły burzę. Naszą burzę, żartuję, nie mogąc wyjść z zachwytu, że Maximus włada nad żywiołami podczas tych intymnych chwil.

W gasnącym świetle ogniska dziękuję w duchu niebiosom, że moja matka nie zawładnęła moim życiem na tyle, bym nie wiedziała, na czym polega szczęśliwy, normalny związek. Że umiem cieszyć się takimi krótkimi skradzionymi chwilami. Śmiechem podczas wspólnych doświadczeń, którym dzielimy się tylko ze sobą.

I cieszę się, że Maximus także to rozumie i docenia. Rzadko mi się to zdarza, ale teraz jestem wdzięczna za zdolności, dzięki którym to wiem. Robimy sobie parę niewyraźnych zdjęć

w ciemności. Jesteśmy spoceni, zmęczeni i bezbrzeżnie szczęśliwi. Dla kogoś, kto tak jak ja żył w blasku fleszy, uchwycenie tych kilku spontanicznych chwil znaczy więcej, niż jestem w stanie wyrazić. A jeszcze lepsze jest to, że należą tylko do nas. Nie musimy się nimi z nikim dzielić.

– Chyba powinniśmy wracać – mówi w końcu Maximus. Siada i zaczyna zapinać koszulę. – Nie ma nas podejrzenie długo. Twój brat pewnie już zauważył naszą nieobecność.

– Mmm... jeszcze chwilę – jęczę, wtulając się w ciepło, które pozostało po nim na kocu. Jestem zdeterminowana, by do ostatniego momentu cieszyć się naszą małą bańką szczęścia. I tak zaraz pęknie, a my wrócimy do świata błyszczących szpilek i hollywoodzkich kontraktów, od którego jedyną odskocznia będzie uczelnia z jej ugrzeczniem i polityką. Oba zestawy gierk są absurdalnie śmieszne, ale dopóki zaświaty nie wydadzą ostatecznego wyroku, musimy w nie grać.

Na szczęście Maximus nie pozwala mi długo się tym dręczyć.

– Ognisko i tak już dogasa – szeroką stopą zasypuje piaskiem tłące się węgielki – a ty wciąż nie skosztowałaś imprezowego jedzenia, na które miałaś taką ochotę.

– No tak.

Podaje mi rękę i wstaje, poprawiając pierwszą z tysiąca warstw sukienki. Ewidentnie mu się podoba, że tyle ich jest, bo dzięki temu może dłużej gapić mi się w biust.

Jedwabny gorset jest w opłakanym stanie, więc dobrze widać moje sutki, które twardnieją pod jego pożądanym spojrzeniem. Niemniej odrzucam jego erotyczne zaloty i doprowadzam się do porządku.

– Hola, hola, drogi panie. Myślałam, że strasznie chcesz wrócić do środka.

– Może nie tyle strasznie – przybiera minę, do której nie jestem przyzwyczajona poza salą wykładową: zaciśnięte usta, przeszywające spojrzenie – co z grzeczności. Nie myśl, że nie siedzi we mnie dzikus, który najchętniej nigdzie by się stąd nie ruszał.

Nie wiem, co jest bardziej seksowne: niewzruszona pewność siebie, z jaką to mówi, czy to, że klęka i całuje mnie z nabożną czcią w zapiaszczone stopy. To ledwie muśnięcie warg, ale dla mojego krwiobiegu to zupełnie bez różnicy, podobnie jak dla zakończeń nerwowych. I wszystkich porów skóry. Nawet ze świadomością, że może nas obserwować cały dom ludzi, jestem o krok od błagania go, żeby zdarł ze mnie ubranie i znowu mnie posiadł.

Biorę uspokajający oddech i strzepuję mu piasek z ust i brody.

– Hmm. Dzikus, powiadasz?

Unosi brew.

– Wątpisz w to? Mam ci udowodnić...

– Nie musisz mi niczego udowadniać. Znam tego dzikusa aż za dobrze. – Odpycham go lekko, po czym ujmuję jego ciepłą dłoń i ciągnę go w stronę domu. – A poza tym mam przeczucie, że już wkrótce znowu go zobaczę.

Gdy zbliżamy się do schodków, skręca mnie na myśl o założeniu tych nieszczęsnych szpilek. Maximus odwraca mnie i stawia na betonowym stopniu.

– O, możesz być pewna, że jeszcze je założysz – odpowiada moim myśłom. – Chyba że po powrocie wolisz się pobawić w profesora i studentkę – dodaje z szelmowskim uśmiechem.

Chichoczę.

– Cóż, uwielbiam słuchać, jak czytasz pieśni w swoich niby-okularach na nosie. Strasznie mnie kręca.

Wybucha śmiechem, zapinając mi paski wokół kostek. Ale mój dobry humor nieco się ulatnia, znowu dopadają mnie czarne myśli. Ostatnio coraz częściej mi się to zdarza, zwłaszcza gdy zostaje poruszony temat związany z piekłem.

Arden. Rerek. A teraz niestety i Dante.

Maximus prostuje się i czule mnie całuje.

– Ziemia do pięknej. Coś cię trapi?

– To nic takiego – odpowiadam niemal ostro, choć przecież niczym mi nie zawinił. Ale nawet jego czuły pocałunek ledwie jest w stanie wyrwać mnie z zamyślenia. – Po prostu... w świetle ostatnich wydarzeń wizyta w piekle nie bardzo mi się uśmiecha, nawet na kartach poematu – tłumaczę.

– Hej. – Głaszczę mnie po włosach. – Przepraszam. Nie chciałem wciągać tego tematu w nasze... erotyczne rozmówki.

Próbuję się uśmiechnąć.

– To było aż tak oczywiste?

– Może nie dla innych – odpowiada. – Powiedzmy, że przede mną musisz się popisać znacznie lepszą grą aktorską. Chociaż mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała.

Nie mogąc wydusić z siebie słowa, kiwam głową, podwójnie przytłoczona jego szczerością i lękami, przed którymi nadal próbuję uciec. Opowieściami, które były jedynie opowieściami, dopóki nie stanęła przede mną namacalna groźba ogni piekielnych.

– Wiem, że dla ciebie to po prostu piękna poezja, Maximusie, ale bez względu na to, czy Dante tak je sobie wyobrażał, czy miał bardziej wiarygodne źródła, ja wiem, że piekło to nie mit. – Nie jestem w stanie powstrzymać lekkiego drżenia. – Słyszałam o nim w dzieciństwie zbyt wiele opowieści, by wątpić w jego istnienie. – Strach mrozi mi krew w żyłach i drżenie przechodzi w dygotanie. – I Dante ma rację, ładnie to tam nie jest.

Maximus marszczy brwi.

– Ile takich opowieści słyszałaś?

– Wiele. Wystarczająco dużo, by nabawić się zdrowego lęku przed tym miejscem. – Odwracam wzrok. – No, może nie tak do końca zdrowego. Ale zdecydowanie musieliśmy się z tym pogodzić i szliśmy grzecznie spać.

Nie bardzo wiem, jak rozumieć nowy rodzaj energii bijącej z jego spojrzenia, zupełnie nieprzystającej do uwielbienia, które wciąż wypełnia mu duszę. Nie, intensywne spojrzenie jego niebieskich oczu mówi coś innego. Mam niemal wrażenie, że czyta w moich ponurych myślach, ale nie – wtedy inaczej by zareagował. Nie wyczuwam w nim współczucia, smutku czy próby pocieszenia. Czuję się po prostu... zauważona. I pomimo całej tej zgrozy jest mi jak w niebie.

Po chwili to spojrzenie znika i wraca czarujący Maximus, w którego przez całe przyjęcie u rektor McCarthy wpatrywałam się jak w obrazek. Znowu pochyla się nad moimi stopami w zabójczych szpilkach.

– Ja z kolei umieram ze strachu, że twój brat nie zostawi nam nic na ząb.

– I ani kropli dobrej szkockiej – dodaję z lekkim śmiechem.

– Dla ciebie wszystko, co najlepsze, kochanie.

A już myślałam, że nie mogę się czuć przy nim bardziej wyjątkowo. Te słowa i sposób, w jaki je wypowiada niczym obietnicę, są tym słodsze, że dalej idziemy, trzymając się za ręce. Mięśnie mam zdrętwiałe od obejmowania go nogami przez ostatnią godzinę, ale każdy krok stawiam z pewnością płynącej w powietrzu bogini. Przy Maximusie nie sposób czuć się inaczej. U mojego boku jest mężczyzna, którego kocham, i pewnego dnia mam nadzieję stać się częścią wszystkich jego planów. Jego dni, nocy, teraźniejszości i wieczności.

„Już wkrótce” – modłę się do jakiegokolwiek bóstwa mającego moją duszę w zasięgu słuchu. – „Błagam... Błagam, niech to będzie już wkrótce”.

Rozdział 23

Maximus

– A zatem.

W żyłach Jadena Valariego może i krąży co najmniej tuzin różnych substancji, legalnych i nielegalnych, ale wzrok, który wbija we mnie z drugiego końca długiej kuchni Rereka, jest jak najbardziej trzeźwy.

– A zatem? – Niepewnie upijam łyk szkockiej, rozkoszując się wyłącznie jej korzennym, karmelowym smakiem.

Jaden pochyla się nad wyspą kuchenną niczym gnuśny lew, opierając dłonie o kwarcowy blat.

– Zapytałbym cię o intencje wobec mojej siostry, ale to jest już dla mnie jasne jak słońce.

– Intencje? – Krzywię się, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Nawet w najbardziej tradycyjnym tego słowa znaczeniu to pytanie wydaje się co najmniej staroświeckie. Zwłaszcza w ustach znudzonego demona playboya.

– Ach. – Uśmiecha się złośliwie. – Zdaje się, że K-demon zapomniała wspomnieć, że słyszę, co się dzieje w Santa Monica.

Robię, co mogę, żeby się nie zakrztusić. Kara wyczuwa emocje, a Kell ich specyficzny zapach, więc zdolności Jadena nie powinny być dla mnie zaskoczeniem.

Odchrząkuję.

– Chyba rzeczywiście zapomniała.

Rozkłada ręce, przez co nawet z drinkiem wygląda jak nie przymierzając Chrystus z Malibu.

– Nie martw się, jeśli chcę, potrafię się wyłączyć. Bo wiesz, niektórych odgłosów nie można dosłyszeć.

Nie wiem, ale i tak kiwam głową.

– Żadne z nas nie wybrało sobie talentów – ciągnie, zwieszając smętnie głowę. – Okej, nikt ich sobie nie wybiera. To też rozumiem. – Upija drinka i podnosi głowę. Trójkącik gęstych włosów między jego oczami twardo ulega prawu grawitacji. Nieważne. Jaden wbija we mnie spojrzenie ciemnozłocistych oczu. – Mogę cię o coś zapytać?

Kiwam głową, nie rozstając się z obojętną miną.

– Jasne.

– Gdybyś miał szansę nie być bękartem Zeusa, wykorzystałbyś ją?

Cholera, tego się nie spodziewałem, ale szybko się opanowuję.

– To bez znaczenia. Taka możliwość jest nierealna, więc nie ma co się nad nią zastanawiać. Muszę zacisnąć zęby i żyć dalej.

Chichocze.

– Wow, naprawdę jesteście z moją siostrą dla siebie stworzeni.

Jestem zdumiony ciepłem w jego głosie. Valari są zaborczy, przebiegli i nadopiekuńczy. U Jadena po raz pierwszy wyczuwam coś na kształt uczucia. Podejrzewam, że te wyznania są zasługą jego odurzenia. Może nie powinienem tego wykorzystywać, ale jeśli rzeczywiście zebrało mu się na uchylenie rąbka tajemnicy o kobiecie, którą kocham, to nie jestem takim idiotą,

żeby zamykać mu usta.

– A więc nie trzymasz strony matki i siostry?

Między jego brwiami pojawia się bruzda w kształcie litery V, patrzy na mnie zdezorientowany.

– Co masz przez to na myśli?

– Myślałem, że wszyscy kibicowali Ardenowi, dopóki okoliczności bezpowrotnie zamknęły tę drogę.

Jaden wciąga powietrze.

– Nawet nie zdążyłem go poznać. Nie żebym musiał. Pełnokrwiste demony są... – Przerzywa, zerkając ostro na Rereka rozmawiającego cicho z Karą na balkonie. – Po prostu powiedzmy, że nie należy z nimi zadzierać. Zawsze się martwiłem, jak Kara sobie z tym poradzi. Jest inna niż ja i Kell. Nie gra w tę grę. – Opuszcza ręce i znowu opiera je na blacie. – Okej, nie jest w niej dobra. Tak to ujmijmy. Obawiam się, że gdyby trafiła w szpony Ardena, zmieniłaby się na gorsze. I to na zawsze.

Przełykam z trudem, wyobrażając sobie, że Kara należy do tego podstępного inkuba. Dziękuję niebiosom, że nie było mu dane nazwać jej swoją.

– Natomiast przy tobie... – ciągnie Jaden. – Wiem, że to wytarty frazes, ale zapytaj, kogo chcesz: całą promienieje.

– Dosłownie czy w przenośni?

Parska śmiechem.

– Chyba i jedno, i drugie, w zależności od sytuacji. A tak serio to nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wydawała się równie szczęśliwa, nawet w dzieciństwie. Nie obracamy się w tych samych kręgach, ale jeśli mam być szczery, zaprosiłem was tu też po to, żeby zobaczyć na własne oczy, czy nie udaje. Gdy musi, zawsze potrafi przykleić uśmiech do twarzy, ale ja i Kell już dawno ją przejrzelśmy. W jej grze zawsze czegoś brakowało.

Odstawiam szkocką i opieram się o blat.

– Czegoś, czyli... prawdziwych uczuć?

– Bingo. Ale to już wiesz.

Naturalnie. Kara jest moim największym skarbem, więc te sprawy nie są mi obce.

– Tak – przyznaję. – Sam, dorastając, musiałem tłumić emocje. Szczerze mówiąc, myślałem, że jestem po prostu wybrykiem natury i nigdy nie będę normalny.

Przy tym ostatnim zdaniu trochę się waham. Po paru wypadach z Z., podczas których poznałem upór i bezwzględność swojej rodziny, zobaczyłem dylematy mamy z innej perspektywy.

– No cóż, normalny to ty nie jesteś. – Jaden łagodzi cios wybuchem śmiechu. – Ale wybrykiem natury też nie.

– Co do tego ostatniego jeszcze nie jestem przekonany, ale dostajesz piątkę za starania.

– Phi. – Znowu podnosi ręce. – Zachowaj oceny dla studentów, którym na nich zależy, profesorku. Wierz mi, jestem ostatnią osobą, którą chciałbyś mieć w pierwszym rzędzie.

Przekrzywiam głowę, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Tak myślałem, że nie bez przyczyny nigdy nie zaszczyciłeś kampusu swoją obecnością.

– Uczęszczam do hollywoodzkiej szkoły życia. A dyplom robię z manipulowania mediami.

– Veronica na pewno pęka z dumy.

– Możesz się śmiać, ale to prawdziwa sztuka. Spiny nie są spontaniczne – odparowuje. – Podstawy fizyki się kłaniają. Trzeba je wprawić w ruch małym prztyczkiem. A w Hollywood trzeba być idiotą, żeby ich nie kontrolować. Kontroluj narrację, przyjacielu. Pisz własną historię.

Jego słowa uderzają w czułą strunę. „Pisz własną historię”. Czy nie to właśnie robił Dante w czasie politycznej zawieruchy, w której przyszło mu żyć? Nawet na wygnaniu nie przestał wymierzać prztyczków, nawołując do reform społecznych. Mnie co prawda nie przyświecają tak wzniosłe cele, ale to cenna rada.

– Kontroluj narrację – powtarzam za nim. – Bo ktoś inny zrobi to za ciebie.

– Hura. – Jaden unosi szklaneczkę. – Mów co chcesz o mojej matce, ale gdybyś słyszał, jak w środku nocy uprawia swoją magię, zmieniłbyś zdanie. To, że nauczyła się grać w tę grę lepiej od nas wszystkich, nie znaczy jeszcze, że nie jest nią zmęczona i przerażona. Szczególnie ostatnio...

Znowu przerywa, udając, że widzi coś szalenie interesującego na dnie swojej szklaneczki.

– Cała rodzina płaci za szczęście Kary. Nie myśl nawet przez chwilę, że jest inaczej.

Chcę się pokajać i wyrazić skruchę, ale nic przekonującego nie przychodzi mi do głowy.

– Wiem o tym – bąkam w końcu. – To żadne pocieszenie, ale gdybym wcześniej znał całą prawdę...

– ...zrobiłbyś dokładnie to samo.

– Tak. Dla twojej siostry wyrwałbym sobie serce z piersi.

Nic nie mówi, ale stuka się ze mną szklaneczką. Ten moment milczącego porozumienia uświadamia mi, że pod jego maską nonszalancji i wesołkowatości kryje się troska o Karę. Teraz przynajmniej wie, że mnie również na niej zależy. Bardziej niż na kimkolwiek w świecie.

– Dama zażyczyła sobie kawałek pizzy z bekonem i ananasem.

Dobiegający z wejścia do salonu głos Rereka jest niczym obosieczny miecz. Choć jestem mu wdzięczny za interwencję, obchodzę go szerokim łukiem. Teraz, gdy już znam prawdę – a przynajmniej jej prawdopodobną wersję – o tym demonie chaosu ubranym jak gwiazda rocka, z minuty na minutę coraz bardziej się utwierdzam w przekonaniu, że najlepiej trzymać się od niego z dala.

– Teraz chyba naprawdę będę cię musiał zabić – mruczy pod nosem Jaden.

– Jestem niewinny – protestuje Rerek. – Owoce tropikalne stworzono do drinków, mój drogi, nie do pizzy.

Zza rogu wyłania się Kara.

– Czy ktoś powiedział „pizza”? – Jej entuzjazm jest najlepszym balsamem na moje nerwy i momentalnie się rozluźniam. – Z drogi, ludziska, nadciąga głodna dziewczyna. Mój organizm potrzebuje stopionego sera i ananasa bardziej niż tlenu.

Jaden zakrywa oczy dłonią z cichym, przeciągłym jękiem.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją rozsądną siostrą?

– Nie odpowiadaj – wtrąca Rerek, wskazując palcem nad ramieniem Kary. – Wyjdź, wróć i powtórz dokładnie to samo. – Przenosi wzrok na Jadena. – Uwielbiam patrzeć, jak się nakręcasz – dodaje z szelmowskim uśmieszkiem.

Jego ostatnie zdanie aż kipi od aluzji, ale zdaje się, że nikt się tym nie przejmuje, a już na pewno nie Jaden. Najwyraźniej przywykł do grubo ciosanych prób flirtu ze strony swojego kumpla. To, czy kiedykolwiek okazały się skuteczne, nie powinno być zresztą niczyją sprawą. A poza tym teraz bardziej interesuje mnie inna strona natury Rereka, którą zapewne przez tysiąclecia zdążył doprowadzić do perfekcji: chaos wpisany w jego DNA.

Kara wsuwa się między mnie a wyspę, częstując się resztkami przystawek.

– Uch, nie został nawet jeden rożek z serem.

Jaden uśmiecha się leniwie.

– Proponuję wnieść toast. Za moją piękną siostrę i półboga, który ją uszczęśliwia.

Kara odwraca się i przytula do mnie. Unosimy szklaneczki, ale nieruchomiejemy na

widok władczej ręki Rereka.

– Mam lepszy toast – oznajmia, przenosząc wzrok na mnie i Karę. – Za naszych uroczych śmiałków łamiących wszystkie zasady w imię prawdziwej miłości.

– Za łamanie zasad, kropka – poprawia go Jaden. Wolną ręką wymachuje teatralnie i wychyla drinka, niby nie zauważając nagłej zmiany atmosfery w kuchni.

Skrepowana Kara sznuruje usta i w milczeniu odstawia szklaneczkę. Co prawda nie jestem obdarzony jej wyjątkową intuicją, ale mam dość mętnych krętałów Rereka. Jest zdecydowanie zbyt miły i sentymentalny. Obejmuję Karę, by ją uspokoić i jednocześnie dać znać, że oboje to czujemy. Coś jest ewidentnie nie tak.

Nagle Rerek we wszystkim się orientuje i w jego oczach pojawia się szatański błysk, zupełnie jakbyśmy go zaprosili do zabawy. Ale obawiam się, że „zabawa” dla siewcy chaosu oznacza tylko jedno...

– Wszystko gra? Palnąłem jakąś gafę? – dopytuje głosem niewiniątka.

– Twój toast zabrzmiał jak pożegnanie pasażerów Titanica – odpowiadam spokojnie, nie odrywając od niego wzroku.

Rerek uśmiecha się od ucha do ucha.

– Ach, piękne wspomnienia! Statek marzeń, ale rejs koszmarny.

Prostuję się gotowy na kres przyjacielskich pogawędek.

Rerek uśmiecha się jeszcze szerzej.

– No już, już. Czyżbym pana czymś uraził, profesorze?

Kara łapie mnie za biceps.

– Wszystko gra, piękna – szepczę, wciąż nie odrywając wzroku od Rereka. – Wszyscy trzej jesteśmy džentelmenami. Nie połamiemy żadnych mebli.

Na twarzy Rereka pojawia się grymas.

– Uwielbiam rozróby, ale racja, rękoczynny są dobre dla barbarzyńców.

– Niemniej byłbym wdzięczny za wyjaśnienia, co miałeś na myśli.

Demon wzrusza ramionami.

– Chyba jestem po prostu sentymentalny. Ale my tu gadu-gadu, a przecież powinienem zająć się gośćmi. To w końcu moja impreza. – To rzekłszy, odwraca się na pięcie i wychodzi.

– Rerek?! – woła za nim Jaden, ewidentnie zdezorientowany tak samo jak my. – Co on, do cholery, znowu wymyślił? – Jednym szybkim ruchem ześlizguje się z blatu i wychodzi za przyjaciелеm.

Odprowadzam go wzrokiem, przyciskając do siebie Karę.

– Teraz możemy się wymknąć.

Kara posyła mi spojrzenie mówiące, że ma ochotę się roześmiać, ale nie ma odwagi.

– Jaden pewnie za chwilę wróci. Nawet w salonie wyczuwałam, że dobrze mu się z tobą rozmawia.

Wciągam głęboko powietrze wewnętrznie rozdarty. Mam ochotę czym prędzej się stąd oddalić i mieć Karę znów tylko dla siebie, ale odmawiając jej spędzenia czasu z bratem, podważyłbym samą istotę jej wielkiego serca i ogromnej dobroci, za które również tak bardzo ją kocham. Z westchnieniem rezygnacji wsuwam rękę w jej dłoń.

Właśnie mam jej przynieść drugiego drinka, gdy nagle w salonie rozlegają się głośne takty walca. Zaskakujący wybór jak na hollywoodzką imprezę, ale już nic mnie tu nie dziwi.

– Wow, impreza wreszcie się rozkręca. – Kara posyła mi ożywiony uśmiech, podkreślony rozwianym przez nagły podmuch wiatru kosmykiem włosów. Ciepła bryza bawi się też jej tiulową suknią, owijając brzoskwiniowy materiał wokół jej subtelnych krągłości.

– Zatańczymy?

– Chętnie. – Chichoczę. – To się nazywa dzika balanga.

Tym razem parska śmiechem oświetlana płomieniami tańczącymi w szklanej skrzyni na balkonie. Jest ucieleśnieniem kalifornijskiego snu: zarazem jasna i ciemna, naturalna i radosna, seksowna i inteligentna. Nie mogę się powstrzymać, muszę pocałować tę olśniewająco piękną syrenę...

Nachylałam się nad nią, ale nie jest mi to dane.

– Wybaczcie, że przeszkadzam.

Gdy odwracamy się do intruza, jej włosy zaplątują się w moją brodę. W nozdrzach czuję korzenny zapach jej szamponu, który działa na mnie jak afrodyzjak, co bynajmniej nie pomaga mojej reakcji na wesoły uśmiech Rereka.

– Tak?

Pochyla głowę w moją stronę, ale wyciąga rękę do Kary.

– Mogę prosić?

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, o co tak prosi. Na szczęście Kara to wyczuwa i ściska uspokajająco moją rękę.

– Tylko jeden krótki taniec – mówi ze skinieniem, dając mi do zrozumienia, że tyle zdążyła wyciągnąć z jego umysłu.

Cofam się, przeklinając go w duchu. To w końcu niewinna prośba, a oni od dawna się znają. Mam ochotę dowiedzieć się więcej. Może nawet jeszcze dziś, ale nie teraz.

Nagle w kuchni robi się strasznie gorąco. Podejrzewam, że to przez kipiącą w moich żyłach krew i skwierczące zakończenia nerwów. Cała ta impreza jest wybitnie podejrzana, ale uprzejmość dla zaświatów jest teraz naszym priorytetem.

Po raz ostatni ściągamy jej wzrok, zadając nieme pytanie. „Na pewno chcesz?” W odpowiedzi daje mi słodkiego buziaka w brodę.

– Trzymaj mi miejsce – szepce.

– Należy tylko do ciebie.

Rerek zgrabnie porywa Karę do tańca, a z drugiej strony podchodzi do mnie Jaden.

– Czemu nie poprosił ciebie? – pytam burkliwie.

– Bo musiałbym odmówić i by się wściekł. Poza tym nie umiem tańczyć. Zupełnie. Mam dwie lewe nogi i tylko bym go podeptał.

Patrzę na niego badawczo z niemą prośbą, by mówił dalej.

– Wiąże mnie ta sama przysięga, co Karę i Kell. – Wzrusza ramionami. – Nie przeszkadza mi to. Kobiety są fascynujące i będę zadowolony z każdej, którą mi wybiorą. Rerek tego nie powiedział, ale odnoszę wrażenie, że będzie na mnie czekał, dopóki nie wypełnię swojego obowiązku. A upłynie jeszcze dużo wody, zanim to się stanie, więc na razie jesteśmy przyjaciółmi.

– Veronica też o tym wie?

– Gdyby to zależało od mojej matki, oszczędziłaby mi tego, przynajmniej jeszcze przez wiele lat. – Znowu wzrusza ramionami, kątem oka rzucając mi nonszalanckie spojrzenie. – Jeśli jeszcze nie zdążyłeś się zorientować, tam na dole jest dużo więcej facetów niż kobiet. Również dlatego mama tak się stresuje przyszłością Kary i Kell, a twoje pojawienie się komplikuje sprawy bardziej, niż mogłoby się w pierwszej chwili zdawać.

Może dlatego Hades był tak zafascynowany moimi wspomnieniami o Karze. Na samą myśl o wczorajszym spotkaniu z nim zaczynam się jeszcze bardziej stresować.

– Niech się lepiej przyzwyczajają do mojej obecności, bo nigdzie się nie wybieram – mówię w końcu.

Jaden odrzuca głowę do tyłu, pozbywając się włosów z oczu.

– To się rozumie samo przez się.

Jego zapewnienie nie powstrzymuje mnie przed powtarzaniem w myślach tej obietnicy. Jednocześnie nie spuszczam oka z Rereka i Kary. Prawie się do siebie nie odzywają, ale jej skrepowanie nie zaburza rytmu tańca. Ułożenie jej ciała jest nieskazitelne, a kroki poetyckie. Nawet jej profil działa mi na wyobraźnię. Przyglądam się jej z zapartym tchem, od gładkiego czoła po miejsce, w którym szyja łączy się z obojczykiem. Żałuję, że jednak prosto z plaży nie wróciliśmy do domu.

Gdy tylko się do mnie odwraca i nasze spojrzenia przelotnie się spotykają, zdaję sobie sprawę, jak bardzo te fantazje zawładnęły moim umysłem. I jej pewnie też.

Uśmiecham się do niej z zawstyżeniem, zanim Rerek robi kolejny obrót, wprawiając w ruch kaskadę jej włosów i tiulowe warstwy sukni.

W tańcu jest wcieleniem gracji i wytworności, ale nie wiedzieć czemu Rerek przesunął się z nią na drugi koniec salonu.

– Co on, do cholery, wyprawia? – Zwyczajna zazdrość byłaby łatwiejsza do przełknięcia niż ten dziwny zlepek uczuć, które mną targają. Ostatnio niepewność i podejrzliwość to moi stali kompani.

Na twarzy Jadena maluje się taki sam niepokój, co jeszcze wzmaga mój.

Rerek i Kara tańczą obok balkonu, jeszcze dalej od nas.

Moją pierś wstrząsa dreszcz zdenerwowania. Boże, zrobił się ze mnie taki paranoik – i chyba mam urojenia, bo mógłbym przysiąc, że koścista twarz i smukła sylwetka Rereka zaczynają się rozplýwać w powietrzu. Zupełnie jakbym oglądał w zwolnionym tempie jeden ze starych filmów Gio Valarięgo.

Co tam paranoja. Jestem tak zdezorientowany, że zastanawiam się, czy mój zmysł wzroku płata mi figle, dopóki Kara też nie robi wielkich oczu.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nie tylko Rerek rozplýwa się w powietrzu – reszta gości zaczyna bawić się tym samym efektem specjalnym.

– O cholera – szepczę. Wszyscy w salonie raz po raz tracą ostrość i ponownie ją odzyskują. Czy ja mam przywidzenia?

– Ty też to widzisz, prawda? – pyta szeptem Jaden.

– Tak, widzę.

I coś tu bardzo nie gra. Dzieje się coś dziwnego. Coś wykraczającego poza ten salon i dom. Moja intuicja zaczyna bić na alarm.

Rzut oka na Jadena mówi mi, że nie miał pojęcia o tym pokazie nie z tego świata.

Ale Rerek... zachowuje kamienną twarz, nachylając się, by powiedzieć coś do Kary. Coś równie gładkiego jak cieknąca lava.

Kara gwałtownie sztywnieje w jego objęciach i w tej samej chwili serce podchodzi mi do gardła.

Zaciskam pięść na rękawie Jadena.

– Co on jej mówi?

Jaden wciąga i wypuszcza powietrze. Całym jego ciałem wstrząsa dreszcz.

– Zabierz ją stąd. – W jego ochryłym głosie słycać niekłamane przerażenie.

– Czemu? Co się...

– Chcesz pełnego raportu czy bezpieczeństwa mojej siostry?! – warczy. – Wyprowadź ją stąd, do cholery. Natychmiast!

Wierzę mu. Nie mogę sobie pozwolić, by nie uwierzyć. Odwracam się na pięcie i rzucam do akcji. Udaje mi się zrobić raptem trzy kroki, gdy nagle pierwsza napotkana para przestaje tańczyć i zaczyna na mnie nacierać, jakby właśnie się najęła do ochrony imprezy. Pary z prawa

i lewa idą w jej ślady, rzucając się na mnie z nadnaturalną prędkością. I siłą, choć wciąż rozplywają się w powietrzu. Nagle wszystko pojmuję.

Korowód pięknych gości to nie dziwne hologramy. Ich olśniewające powłoki odpadają kawałek po kawałku, ukazując straszną prawdę.

Jeszcze parę minut temu bawiłem się na imprezie z piękniczymi ludźmi o idealnych ciałach. Teraz rezydencja jest pełna demonów w każdym tego słowa znaczeniu. Spod odpadającej skóry wyzierają kości, w miejsce uśmiechów pojawiają się bezzębne usta, a oczy to puste otchłanie.

Ale nie doceniają mojej miłości do kobiety, która znalazła się w szponach ich gospodarza.

Podnoszę rękę, obierając sobie za cel pierś sługusa numer jeden. Oczami wyobraźni widzę już, jak pada na swoją partnerkę. Jeśli tylko uda mi się wyprzedzić ich ruchy o sekundę–dwie, powinienem szybko się z nimi załatwić.

Ale nie mogę podnieść ręki powyżej pasa.

Warczę i próbuję jeszcze raz. Wciąż blokada.

„Co, do diabła?”

Nadal żyję – oddycham, pocę się, prężę, przeklinam – ale od szyi w dół jestem jak zaklęty w posąg. Stojącego za mną Jadena skuwa ten sam niewidzialny beton. Jak sparaliżowani patrzymy na Karę, która bezskutecznie próbuje się uwolnić z żelaznego uścisku Rereka. Moja ukochana wyciąga do mnie bezradnie ręce, jej oczy płoną przerażeniem, rozpaczą i wściekłością.

Mogę odpowiedzieć jedynie skowytem duszy. Ze wszystkich możliwych tortur Rerek sięgnął po najskuteczniejszą: strach, że stracę Karę.

Jedno spojrzenie wystarczy, by zobaczyć, jak rozkoszuje się każdą sekundą tej udręki, śmiejąc się niczym mały łobuz zacierający ręce na to, co się zaraz stanie. I już wszystko wiem.

To nie jest zwykła pułapka.

Znaleźliśmy się w potrzasku.

Rozdział 24

Kara

„Przestań się wyrywać. Wiedziałaś, co cię czeka”.

Upiorne słowa Rereka odbijają się echem w moim umyśle. Każda sylaba przepala drogę od mojego żołądka do gardła, a obrazu zniszczenia dopełnia gorzka gula żółci. Pieczenie sięga mi oczu, ale coś mi mówi, że ta publika jest nieczuła na łyzy.

Oprócz Maximusa, Jadena i mnie wszyscy zaczynają znikać jak hologramy odcięte od źródła zasilania ukrywającego ich demoniczną brzydotę.

Jeszcze nigdy w historii Hollywood wygląd nie był tak mylący.

Tłum demonów zdążył już otoczyć Maximusa i mojego brata. Obaj są pod jakimś paraliżującym urokiem rodem z piekła. Z gardła wyrywa mi się zbolący krzyk, ale wiem, że to nie zda się na nic. Mój mocarny ukochany, który potrafi kruszyć mury i przywoływać pioruny, jest przerażająco bezsilny wobec na wpół realnej tłuszczu.

W pełni rzeczywiste jest tylko krwawienie mojego poranionego serca, którego nic nie jest w stanie zatamować. Wściekła i bezradna patrzę, jak Maximusa ogarnia szaleństwo. Z przerażającym rykiem odpycha napastników, przeklinając i wymierzając na oślepie ciosy.

Rerek jakby przyrósł do podłogi i jest równie zdeterminowany, ani na jotę nie rozluźniając żelaznego uścisku, w którym mnie zamknął.

Ale dorastanie w fabryce snów z jej niekończącym się wyścigiem szczurów czegoś jednak mnie nauczyło. Tak łatwo się nie poddam.

– Rerek! Przestań!

W odpowiedzi nawet nie drgnie, ale jego gardłowe syknięcie mówi mi, że mnie słyszy. Na ułamek sekundy zrzuca z siebie ziemską powłokę, pod którą kryje się kreatura z poszarpaną skórą, haczykowatym nosem i zapadniętymi oczodołami.

– Obawiam się, że nie ma tego w planie, Karo.

„W planie?” Nieruchomieję.

Świadomość bezradności uderza mnie jak obuchem i boleśnie przybiera na sile, gdy zgaduję, na czym może polegać ten plan. I co gorsza, kto za nim stoi. Biorąc pod uwagę koszmar, który się tu rozgrywa, kandydatów jest przerażająco mało.

– Hades – ośmielam się rzucić z nadzieją, że Rerek zaprzeczy i wyeliminuje moje najgorsze obawy. – To on, prawda? Mów, do diabła. To on cię nasłał?

Czarne oczy Rereka błyszczą łajdacko.

– Czy on mnie „nasłał”? – Prycha ironicznie. – Jakbym potrzebował zachęty do siania chaosu.

Prawie mu wierzę. Prawie.

– Więc dlaczego? Teraz? Byliśmy przyjaciółmi. Zależy ci na Jadenie. – Zamykam usta, by powstrzymać drżenie głosu. Chcę dalej wymieniać argumenty przemawiające przeciwko jego zdradzie, ale przenosi wzrok i uwagę na mojego brata.

Zalewa mnie nowa fala przerażenia, mroząc mi krew w żyłach. Rano, gdy Jaden niespodzianie o nim wspomniał, powinnam była zrozumieć, że coś się kroi. Moją czujność uspiło jednak jego niespodziewane serdeczne zaproszenie, które z pewnością było pomysłem Rereka...

Rerek, który zawsze bał się zadzierać z naszą rodziną.

Rerek, który nigdy nie skrzywdziłby żadnego z nas z obawy przed utratą mojego charyzmatycznego brata, bożyszczą nastolatek.

– Nie. Rerek, błagam, nie – proszę chrapliwym głosem, znowu czując pieczenie w żołądku i oczach. Tym razem nie jestem w stanie powstrzymać tych cholernych łez, które spływają mi po policzkach. Wbijam w niego wściekłe spojrzenie, modląc się w duchu, by płomień w moich oczach choć raz doprowadził do prawdziwej eksplozji. „Błagam, ten jeden raz...”

Ale Wszechmogący nie wysłuchuje moich modlitw. Nawet Stwórca w niebie wie, kiedy należy się usunąć i pozwolić piekłu robić swoje. Hades musi mieć swoje zabawki.

Którymi tylko czasami się dzieli.

Przyglądam się twarzy Rereka. W jego pastelowych oczach błyszczy zadowolenie, a na ustach tańczy złośliwy uśmiešek podkreślający ostre kości policzkowe powleczone złudnie gładką skórą. Jego ziemską powłoka na kilka sekund wraca, by zaraz znowu zniknąć. Jego energia też się zmienia, dopasowując się do demonicznej postaci. Tym nowym elementem jest niemal namacalne podekscytowanie.

Nienawidzę go.

Nienawidzę Rereka.

– A niech cię piekło pochłonie – syczę.

Wybuchają śmiechem.

– Och, Karo. Skąd pomysł, że obchodzą mnie twoje uczucia, skoro za chwilę dostanę to, czego pragnę? A raczej kogo... – Przerzuca swoje rozognione, niebieskofioletowe spojrzenie z powrotem na Jadena. – To był jedyny sposób, cudnie nikczemny i z przytupem. Chaos i przygoda. A co najlepsze, już nie muszę czekać. Może cię to zdziwi, ale nigdy nie grzeszyłem cierpliwością.

Po policzkach spływają mi już łzy jak grochy. „Co ja zrobiłam?” Piekło wreszcie się o mnie upomniało, a cenę za mój bunt zapłaci również mój brat. Chyba że uda mi się go ostrzec...

– Uciekaj! – wrzeszczę, próbując się wyszarpać z uścisku Rereka. – Jaden, uciekaj!

Ale to na nic. Mój brat i Maximus nadal są unieruchomieni. Wszyscy troje jesteśmy zakładnikami. W potrzasku tych upiornych buntowników i ich mocodawcy, kimkolwiek jest.

Ich przywódcy.

Upadłego anioła kierującego ich każdym ruchem, oddechem i uczuciami. Władcy, do którego po wsze czasy należą ich dusze.

Hadesa.

Który z minuty na minutę wydziela im coraz mniej ziemskiej powłoki. Wkrótce tłum modnych aspirujących celebrytów wyparowuje. Ich twarze czernieją i robią się pomarszczone. Ich ubrania zamieniają się w łachmany, a ich energia w żalobną pieśń rozpacz. Są armią poruszających się na rozkaz wiecznych niewolników, z sekundy na sekundę zawodzących coraz rozpaczliwiej. Zaciskam zęby, walcząc z chęcią, by dołączyć do ich chóru, którego nieprzerwane pozbawione nadziei cierpienie wdziera się coraz głębiej w moją duszę.

„Przestańcie. Niech oni przestaną”.

Czy ja tracę zmysły? Mam wielką nadzieję, bo tego nie da się wytrzymać. Cały ten ból, udręka i żal...

„Przestańcie. Niech oni przestaną!”

Nagle w całym tym zamęciu rozpoznaję strach Maximusa. Cięży mi na piersi niczym kamień, przygniatając serce. Zalewa mnie fala bólu. Jestem wrakiem. Jestem załamana. Jestem

przerażona.

I już wiem...

Nadeszła ta chwila.

Z początku słyhać tylko cichy szmer, muśnięcie piórka. Podnoszę gwałtownie głowę. Kontrast z tamtym ogłuszającym zawrotem głowy jest tak wielki, że w pierwszej chwili jestem zdezorientowana. Nagle powietrze przecina inny dźwięk.

Ryk Maximusa.

– Hades!

Rozlega się trzeci odgłos, pierwotny i ogłuszający, jakby ściany zdrząły i zaczęły się walić. Żarówka zaczyna migać i pękać z trzaskiem. Obrazy spadają z trzęsących się ścian.

Już nie płaczę. Za bardzo się boję.

Zwłaszcza gdy ze wszystkich posążków w salonie zaczyna odpadać powłoka.

– Co... na wszystkie świę... – Głos mi się łamie, ale alabastrowe skorupy nie przestają odpadać i wyłaniają się z nich żywe stworzenia. Mam wrażenie, że oczy wyjdą mi na wierzch z osłupienia. Oszołomiona patrzę, jak posąg wierzgającego barana ożywa, błyskając czerwonymi ślepiami. Obok niego podrywa się do lotu sowa ze skrzydłami o ognistych koniuszkach. Z kolejnej skorupy wyłania się ogromny ogar. Jego szyja pęka na dwoje i wyrastają z niej trzy głowy.

Obok niego zaś materializuje się postać mężczyzny niczym odwrotność tamtych znikających hologramów.

Nie. To nie mężczyzna. Świadomość prawdy przeszywa mnie na wylot niczym ostrze zatapiające się w moich wnętrznościach i sięgające samej duszy.

– Nie! – krzyczę, ale intruz nawet nie zwalnia kroku, zbliżając się do mnie. Jest szczupły i zadbany, wytworny i elegancki. Porusza się lekkim krokiem niczym finansista idący spacerkiem do pracy.

Tylko że to nie człowiek.

„To. Nie. Człowiek!”

Raz po raz przypominam sobie o tym w duchu. Ale nie mogę oderwać od niego oszołomionego wzroku. Czemu wygląda tak... normalnie? Powinien być wyższy. Paskudniejszy. Mroczniejszy.

Czyż władca piekieł nie powinien mieć trzech nikczemnych twarzy i brody, z której wylatują nietoperze? Czy nie powinien być odziany w czerń zamiast w ciemnoczerwony garnitur podkreślający jego idealnie rzeźbione rysy?

– Karo, nareszcie się spotykamy.

Słyszając w myślach jego wezwanie, uświadamiam sobie, że moje spostrzeżenia na temat jego wyglądu są tylko głupimi założeniami, koślawą próbą ucieczki z tego koszmaru poprzez skupienie się na czymś logicznym. Ale podobnie jak w całym moim życiu nie ma tu nic logicznego. Jeszcze trzy tygodnie temu byłam z tym pogodzona i nie miałam żadnej nadziei na inny los. Aż pewnego dnia wszystko się zmieniło. Dotknęłam półboga i obudziło się moje serce.

Teraz sen znowu wzywa z ust zbliżającego się do mnie demona. Przy każdym jego kroku unosi się obłok srebrnego dymu, choć pod jego stopami podłoga się kruszy, jakby szedł po zamrzniętym jeziorze.

– Spójrz na mnie, moja miła.

Za sprawą jego władczych nakazów z gardła wyrzywa mi się cichy jęk bólu, ale podnoszę głowę. Nie mam wyboru. Zmusza mnie, bym spojrzała w bezkresne czerwone otchłanie jego oczu.

Nagle ryk Maximusa zmienia się zaledwie w szept. Ramiona boga powoli zastępują

Rereka. Są delikatniejsze, ale równie krępujące. Hades ucisza mój zboląły szloch, choć jego nieustępliwy, pozornie niewinny głos tylko wzmacnia moją udrękę.

Nie mam dokąd uciec, gdy król, przeciwko któremu się zbuntowałam, staje się władcą mojej przyszłości. Moje mięśnie to dogasające węgielki. Moja krew to kra lodowa. Jedyne w najgłębszym zakamarku mojego serca tli się płomień, którego strzegę niczym więzień w lodowym lochu.

Tym płomieniem jest światło miłości. Jasny obraz mojego pięknego półboga. Tego ognia nawet Hades nie jest w stanie mi wydrzeć – i przysięgam sobie, że nigdy go nie zobaczy. To oczywiste, że nie widzi go nawet teraz, gdy przyciskając dłoń do mojej skroni, wdiera się głębiej do mojego umysłu. Ze wszystkich sił próbuję z nim walczyć, ale już jest w środku. Przechadza się po nim, owiewając moje zmysły swoim hipnotycznym szeptem.

– Naprawdę jesteś fascynująca.

W głowie dźwięczy mi jego surrealistyczny głos, a potem mój przeciągły krzyk, gdy porywa mnie do królestwa, o którym wiem wszystko i nic.

Rozdział 25

Maximus

– Zabrał ją.

W chrapliwym głosie Jadena jest tyle samo udręki co w moim zbolałym sercu. Ale usłyszenie tych słów ani odrobinę nie zmniejsza mojego cierpienia.

Tak bardzo chciałbym cofnąć czas do momentu, kiedy zeszedliśmy z tej cholernej plaży, ale zmuszam się, by przypomnieć sobie cały wieczór ze wszystkimi jego koszmarными szczegółami. Tłumię je w sobie niczym zatrute szmaty, których nawet nie wolno mi spalić, bo mogą zawierać klucz do odzyskania Kary.

Nie jestem teraz w stanie myśleć o niczym innym. Podsycam to pragnienie niczym płomień lampy naftą, dopóki nie robi mi się ciemno przed oczami. Jeśli Kary naprawdę już nie ma, to chcę umrzeć.

Ale moje serce nadal bije. Wciąż krwawi wściekłością i pulsuje bólem. Otwieram oczy i nadal wszystko widzę. Teraz przynajmniej to miejsce naprawdę wygląda jak wrota piekieł. Wszystkie szyby są wybite i wszędzie walają się alabastrowe skorupy. Mam ochotę zetrzeć je w pył.

Na dokładkę sprowadzam na nas ulewę i wszystko przemaka do suchej nitki. Piorun przecina taras na pół, co w innych okolicznościach mogłoby robić wrażenie. Na przykład podczas uprawiania seksu z Karą, a nie opłakiwania jej porwania.

Bo mam ochotę wyć, dopóki reszta dachu nie zwali się nam na głowy, i bić pięściami w ściany, które jeszcze stoją. A nade wszystko zacisnąć dłonie na szyi Rereka i go udusić. Ten zdradziecki gnojek rozpląnął się jednak w powietrzu razem ze swoimi upiornymi przyjaciółmi oraz Hadesem i Karą.

„Dokąd on ją zabrał?”

Przez ściśnięte gardło nawet nie jestem w stanie rzucić tym pytaniem w Jadena. Brat Kary ma ściągniętą twarz i przekrwione oczy. Jego wyobraźnię ewidentnie pochłania ten sam pierwotny lęk, który widziałem u Kary na plaży. On też porusza ustami, jakby chciał ryknąć.

Wzburzone fale uderzają o brzeg, a mnie ogarnia bezradna wściekłość. Nie próbuję ich tamować, ale nie czerpię z nich żadnej satysfakcji. Podobnie jak pioruny i deszcz są tylko produktem mojej furii, nie jej towarzyszymi.

Moja miłość została uprowadzona. Odebrał mi ją piekielny łajdak, którego nie doceniłem – i to był mój błąd. Zostawił po sobie potłuczony gips i szkło pokrywające na wpół przemoczoną podłogę.

Rozdygotany Jaden stąpa ostrożnie między tymi skorupami.

– Nic – jęczy. – Ani śladu!

Tak bardzo bym chciał, żeby się mylił. Ale skoro bogowie potrafią przesuwać wejścia do swoich barów plażowych niczym kulki pod magicznymi kubeczkami, Jaden pewnie ma rację. Stoimy tylko w deszczu, za jedyne wskazówki mając skorupy posągów.

Padam na kolana i zaczynam je pośpiesznie zbierać.

– Pomóż. – Wskazuję brodą inną stertę białych skorup. – Musimy uratować ile się da.

– Po co? – pyta Jaden, ale spełnia moje polecenie. Dzięki Bogu, bo jestem jak w delirium,

za jedynych przewodników mając rozpacz i przerażenie. Czy kiedyś przebudzę się z tego koszmaru?

„Kara”.

Powtarzam jej imię szeptem pełnym uwielbienia. Wyobrażam sobie, że wciąż tu jest, a ja ujmuję jej twarz w dłonie i mocno ją przytrzymuję, by jeszcze głębiej w nią wejść...

„Kara, kochanie, trzymaj się”.

Tej myśli już nie powtarzam na głos. Bo czego ma się „trzymać”? I gdzie? Tak mało wiem. Tak niewiele mogę zrobić.

Fale zbliżają się coraz bardziej. Zanim nastanie świt, balkon zamieni się w dryfującą tratwę.

A okrutna prawda dopiero zaczyna do mnie docierać. Nie ma jej. Kara zniknęła. I czuję w trzewiach, że odnalezienie jej więzienia będzie graniczyło z cudem.

– Maximus, hej. – To, z jaką mocą Jaden wypowiada słowa, uzmysławia mi, że powtarza swoje wołanie już któryś raz z rzędu. Zaciska dłoń na moim ramieniu. – Nie panikuj, stary. Piekło rzadko na kogoś czeka. Odzyskamy ją.

Ten strzępek nadziei jest dla mojego serca jak kropla wody dla spragnionego wędrowca na pustyni.

Tylko...

– Jak?

– Nie mam pojęcia, ale na pewno przyda ci się pomoc. Możemy posklejać te wszystkie skorupy, ale wątpię, by to przybliżyło nas do jej odnalezienia.

Promyk nadziei jest lepszy niż nic, a ja muszę się szybko wziąć w garść. Czas jest tu na wagę złota.

Szukam w kieszeni kluczyków do furgonetki.

– Masz rację. Chodźmy.

Jaden przytakuje, po czym wskazuje brodą drzwi frontowe, za co mój rozdygotany zmysł orientacji jest mu wdzięczny. Biegniemy przez zgliszcza w stronę artystycznego westybulu Rereka.

Po chwili jestem już na dole, ale przestaję słyszeć kroki Jadena, więc zatrzymuję się przy fontannie. Nagle widzę, jak wpada na jakąś niewidzialną szybę i zwała się z jękiem na podłogę. Tyle że tu nie ma żadnej szyby.

– Co się stało?

Wciąż leży jak długi, przeklinając pod nosem. Dźwiga się z jękiem i ostrożnie rusza z wyciągniętymi przed siebie rękami, które jednak znowu napotykają niewidzialną ścianę. Jaden rzuca soczystą wiązkę przez zaciśnięte zęby i wali w nią pięściami.

– Jaja sobie robi, do cholery? – Splata dłonie za głową i spogląda w sufit. – Jaja sobie robisz?

Robię niepewny krok w jego stronę.

– To sprawka Hadesa?

Potrząsa głową z wściekłością.

– Rereka.

Przystaję, bo nagle mnie oświeca.

– Pomógł Hadesowi porwać Karę. Ty jesteś jego nagrodą.

Jaden opuszcza głowę. Ma rozszerzone nozdrza, a w oczach dziką furję.

– Ten kretyń chaosu się przekona, jaką cudowną „nagrodę” dostał.

Wciążam głęboko powietrze z nadzieją, że udzieli mi się siła jego złości. Ale nagle paraliżuje mnie jedna myśl: skoro nie potrafiłem uratować Kary przed tymi siłami, jakim cudem

mam uratować Jadena?

– Hej, nie martw się o mnie – rzuca Jaden, jakby czytał mi w myślach, choć zapewne po prostu całe zdenerwowanie maluje się na mojej twarzy. – Idź. – W jego ochrypłym głosie pobrzmiwa złość i rezygnacja. – Zajmę się Rerekiem, a ty... sprowadź ją do domu.

– Ale...

– Musisz ją odnaleźć. Zrobię stąd, co mogę, ale gwarantuję ci, że to nie wystarczy.

Wypuszczam powietrze, marząc, że zieję ogniem i podpalam to piękne patio. Zegar w mojej głowie tyka jednak nieubłaganie, więc w końcu się poddam i kiwam głową.

– Odnajdę ją, nawet jeśli będę musiał przetrząsnąć całe piekło – obiecuję.

– Być może będziesz musiał – szepcze Jaden. – Zmywaj się stąd. Rerek może lada chwila wrócić. Lepiej, żebyście się nie spotkali.

Chcę zapytać, czy na pewno sobie poradzi, ale rezygnuję z egoistycznych pobudek. To w niczym nie pomoże, a Jaden jest lepiej przygotowany do bycia więźniem Rereka niż Kara do roli zakładniczki piekieł.

Zakładniczki? Czy aby na pewno?

W drodze do furgonetki to pytanie nie daje mi spokoju. Co Kara znaczy dla Hadesa? Czemu zadał sobie tyle trudu, by przybyć po nią osobiście, skoro ma całą armię sługusów na posyłki?

Czy Kara jest jego więźniem? Czy może schwytaną buntowniczką, która dla przykładu musi ponieść karę z jego ręki? Jeśli tak, to jak chce ją ukarać?

Jadąc przez noc z rozwianymi włosami i deszczem smagającym mi twarz, wyobrażam sobie chyba wszystkie możliwe przerażające scenariusze. Na jakie sposoby Hades, król niedoli, cierpienia i bólu, będzie karał kobietę, którą kocham?

Znowu ogarnia mnie fala paniki, gorąca i dusząca. By od niej uciec, dociskam pedał gazu, przekraczając dozwoloną prędkość. Naciskam przycisk i warczę do bluetootha, by wybrał numer jedynej osoby, która nigdy nie zostawiła mnie na lodzie.

Jesse odbiera po trzecim sygnale.

– Lepiej, żeby to było coś dobrego.

– Nie jest. – Nabieram powietrza do płuc na dźwięk otaczającego mnie znajomego, bezpiecznego głosu. Mój własny muszę powstrzymać przed drżeniem. – Kurwa. Nie jest.

– Chryste, brzmisz strasznie. Co się dzieje?

– Teraz nie mogę wytłumaczyć. Zaraz będę w domu.

– Okej, jestem na dole. Ale to napięcie mnie zabija. Co się stało? Chodzi o Karę? Pokłóciliście się? Zachowałeś się jak dup...

– Nie! – praktycznie krzyczę. – Nic z tych rzeczy.

Jesse wzdycha z rezygnacją i już o nic nie dopytuje. Powiedziałbym mu więcej, ale potrzebuję tych dwudziestu minut, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Będzie musiał uzbroić się w cierpliwość.

– Jestem za dwadzieścia minut.

Kończę rozmowę i moje myśli znowu biegną do Kary. Przez resztę drogi skupiam się na dawno zapomnianej czynności.

Modłę się. Każdą komórką mózgu i włóknem serca.

Bo Kara jest ogniem, który czczę. Jedynym człowiekiem na tym świecie i poza nim, który wniknął w moją duszę i podarował mi swoją.

Odnajdę ją.

I sprowadzę z powrotem, nawet jeśli będę musiał zejść w najgłębsze czeluści piekieł.

Nawet jeśli przyjdzie mi za nią oddać własną duszę.

Podziękowania

Specjalne podziękowania dla moich beta-czytelniczek, Lauren i Jennifer, za uwagi do pierwszej wersji powieści. Scottowi Saundersowi i całemu zespołowi Waterhouse dziękuję za ich entuzjazm, talent i ciężką pracę przy jej redakcji i publikacji. Wielkie podziękowania dla mojego męża Jonathana oraz mojej mamy Colleen za wsparcie i motywację w trudnych momentach. I wreszcie ogromne podziękowania kieruję do współautorki, Angel Payne. Bez twojej poezji i wyobraźni historia Kary i Maximusa nie lśniłaby tak jasnym blaskiem!

Meredith

Cóż to była – i jest – za wspaniała przygoda! W pierwszej kolejności wielkie wyrazy miłości i wdzięczności kieruję do niesamowitej Meredith Wild. Jestem niezmiennie zaszczycona, że zaprosiłaś mnie w podróż z Karą i Maximusem. Dziękuję, że jesteś nie tylko wyjątkowo twórczą partnerką, ale i wspaniałą przyjaciółką. I za cudowną „burzę”, która nas czeka!

Jak mawiają wszystkie urocze kucyki: przyjaźń to magia. To absolutna prawda i w tym miejscu chciałabym podziękować moim siostram, dzięki którym jeszcze nie zwariowałam – i które podsuwają mi oklepane motywacyjne kawałki, gdy najbardziej ich potrzebuję. Victorio Blue, Carey Sabalo, Cynthio Gonzales, Shaylo Black, Jenno Jacob – jesteście prawdziwymi skarbami!

Ogromne wyrazy wdzięczności dla naszego redaktora, Scotta Saundersa, który cierpliwością i profesjonalizmem sprawia, że słowa zaczynają tańczyć.

Droga ekipo Waterhouse Press, jestem ogromnie wdzięczna za każde z was. Wielkie podziękowania dla Jonathana Maca, Robyna Lee, Haley Boudreaux i Kellie Jo Chen z działu marketingu i reklamy, dla Amber Maxwell i Dany Bridges z działu grafiki i mediów społecznościowych oraz Jessego Kencha, Yvonne Ellis, Jennifer Becker i Kurta Vachona z działu dystrybucji i wsparcia technicznego. Zaiste jesteście drużyną marzeń! Dziękuję za wszystko.

Martho Frantz, jak nikt utrzymujesz mnie przy zdrowych zmysłach. Dzięki Tobie płyniemy przez spokojne wody.

Stephanie Arrache, dziękuję za sokole oko przy Jessem. Jesteś moją bohaterką!

Thomasie i Jessico, zawsze jesteście centrum mojego świata i ogniem mojego serca.

Angel

Meredith Wild



Bestsellerowa pisarka z list „New York Timesa” i „USA Today” znana na całym świecie. Po opublikowaniu swojej debiutanckiej powieści *Hardwired* (polski przekład: *Jesteś tylko moja*) we wrześniu 2013 roku, czerpiąc z dziesięcioletniego doświadczenia przedsiębiorczyni w branży technologicznej, self-publishing zamieniła na półki księgarń w Stanach Zjednoczonych i poza nimi.

W 2014 roku założyła własny imprint Waterhouse Press, z którym osiągnęła status bestsellerowej pisarki „New York Timesa” i „Wall Street Journal”. Gościła w programach *This Morning* oraz *Today Show* stacji CBS, a także na łamach czasopism „Hollywood Reporter”, „Publishers Weekly” oraz „Examiner”. Jej powieści wydano w dwudziestu trzech krajach świata.

Strona internetowa autorki: MeredithWild.com

Angel Payne



Autorka bestsellerowych romansów z listy „USA Today”, specjalizuje się w gorących historiach niezapomnianych samców alfa i zakochanych w nich kobiet. Spod jej pióra wyszły liczne serie książkowe, w tym trzymająca w napięciu Bolt Saga oraz Honor Bound, Secrets of Stones (wraz z Victorią Blue), Cimarron wraz z częścią Temptationn Court, Suited for Sin, Lords of Sin. W jej dorobku znajdują się również pojedyncze tytuły.

Jako rdzenna mieszkanka Południowej Kalifornii uwielbia naturę, na której łonie często czyta i pisze. Została w swoim rodzinnym stanie, gdzie mieszka razem z ukochanym mężem i piękną córką, miłośniczką cosplayu. Uwielbia podróżować, kupować buty i degustować whisky.

Strona internetowa autorki: AngelPayne.com

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6
Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14
Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział
22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Podziękowania Meredith Wild Angel Payne Spis treści:
Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Heart of Fire

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Małgorzata Denys

Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska

Projekt i zdjęcie na okładce: © Regina Wamba

Copyright © 2020 Waterhouse Press, LLC

Copyright © 2021 for the Polish edition by Niegrzeczne Książki

an imprint of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Edyta Świerczyńska, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2021

ISBN 978-83-67014-64-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

